

Krzysztof Kotowski

Serwal

2006

trident

Wydanie polskie

Data wydania:

2006

Wydawca:

Świat Książki

Warszawa 2006

Bertelsmann Media sp. z o.o.
ul. Rosola 10, 02-786 Warszawa

ISBN 83-247-0210-5

Wydanie elektroniczne

Trident eBooks

*Wszyscy rodzimy się szaleńcami,
ale tylko niektórzy z nas nimi pozostają...*

Samuel Beckett

*Jeśli długo patrzysz w OTCHŁAŃ,
OTCHŁAŃ zaczyna patrzeć w ciebie...*

Fryderyk Nietzsche

ROZDZIAŁ 1

*A kiedy skończył się szalony bal
I maski rozeszły się do domów
A za oknami rozbiły się o ściany
Prorocze słowa dzwonów
Zamknięte w szklanym śnie
Jak w trumnie szklanej – miasto
Zakryło drżeniem nocy twarz...
...i zgasło.*

Wika jeszcze raz przeczytała wiersz.

Nieźle – stwierdziła w duchu.

Może te „prorocze słowa dzwonów” trochę za pretensjonalne, ale ogólnie w porządku. Najwyżej później poprawię – pomyślała, delikatnie oblizując górną wargę. Sięgnęła po *Dziennik*, leżący obok na biurku, lecz po chwili zrezygnowała. Nie dzisiaj. Może jutro. Za oknem zapadał zmierzch. Miasto nigdy nie kładło się spać, ale w sąsiedztwie, kilkadziesiąt metrów od bloku, w którym mieszkała, gdzie budowa potężnego biurowca wypełniała hałasem większość dnia, zachód słońca oznaczał odpoczynek. Wielkie maszyny, buczenie dźwigów, wind, nawet podniesione głosy ludzi wydających polecenia – wszystko cichło. Kontrast z pełnym agresywnych dźwięków dniem był tak duży, że musiało minąć dobrych kilka minut, aby uszy przyzwyczyły się do tej zmiany.

Dziewczyna wyjrzała przez okno. Zamknęła jedno skrzydło i przylepiła nos do szyby.

Rundi nie ma już trzeci dzień. Jest na jakimś szkoleniu czy praktykach.

Delikatne drżenie rąk, które odczuwała od dłuższej chwili, nie dawało za wygraną. Próbowwała skupić myśli na czymkolwiek innym, ale oddech stawał się coraz szybszy.

– Nie... – wyrwało jej się nagle.

Zamknęła oczy. Chwyciła ręką za nadgarstek, aby wyczuć tętno. Odczekała minutę.

– Sto dziesięć... – usłyszała swój głos i niemal natychmiast poczuła drobne skurcze na plecach.

Zerwała się z fotela i podbiegła do lustra. Uczucie braku powietrza stawało się coraz

bardziej nieznośne. Znowu... Raptowne uderzenie gwałtownej fali ciepła do głowy obudziło w niej stary lęk. Przychodzący nagle, atakujący podstępnie, chytrze i bezlitośnie. Myśli zaczęły przebiegać przez umysł Wiki coraz szybciej i szybciej, niczym ciężki pociąg bez maszynisty. Zawroty głowy i chłód znowu opanowały ciało. Twarz wykrzywił grymas przerażenia. Stare „imadło”, tak dobrze znane, zaczęło ścisnąć jej czaszkę. Spojrzała przez ramię na pokój. Był pusty, obcy i wrogi. Biurko z zeszytami, łóżko przykryte kocem, szafa. Drewniana podłoga. Zużyta klepka, podklejana pod ścianą, poobdrapywana. Drzazgi wchodzące w stopy. Białe ściany jak w szpitalu albo w domu dla obłąkanych. Tak przyjemnie byłoby pochłapać czymś te kurewskie mury. Nagły impuls, aby szybko czymś przeciąć przeguby i obryzgać ciemną czerwienią ten obmierzły tynk umazany farbą, podniecił ją, ale tylko na chwilę. Ponownie odezwał się w niej głos przypominający o lęku, który za kilka sekund całkowicie nią zawładnie. Nie da myśleć, spokojnie oddychać, wierzyć, że może się zdarzyć cokolwiek pięknego, trwałego, kolorowego...

W oczach Wiki malowała się dezorientacja, ale był to tylko odruch obronny, błagający własny umysł o litość i przebaczenie. Robaki pod skórą, których się spodziewała od kilku chwil, zaczęły już powolny marsz. Próbowała rozpiąć koszulę, lecz roztrzęsionymi rękami nie była w stanie tego zrobić.

– Spokojnie... spokojnie – szepnęła do siebie. – Może zaraz przejdzie. Mam dopiero dwadzieścia dwa lata, jestem ładna, mam piękne ciało, wszyscy tak mówią... Mam długie czarne włosy... Nie umrę teraz... Będę długo żyć... Jestem zdrowa... – Obraz w lustrze stał się niewyraźny. Wika szybko otarła dłonią łzy, aby móc dalej uważnie przyglądać się swojej twarzy. – Nie boję się... Boże, zaraz stracę przytomność. Pomóż mi!!! Boże, pomóż mi!!!

Podbiegła do łóżka. Położyła się na nim ostrożnie, jakby w materacu trzymała nitroglicerynę. Wczepiła palce w koc i wybuchła głośnym płaczem. Chwyciła wreszcie poduszkę, przyłożyła ją mocno do twarzy i najgłośniejszym, jak tylko potrafiła, zaczęła krzyczeć. Długo. Tak, aby poczuć ból gardła i oskrzeli. Przez kilkanaście sekund całą energię wkładała w przerażający wrzask, który, jak nagle odczuła, przyniósł chwilową ulgę. Rzuciła poduszkę na podłogę. Nabrała powietrza i wstrzymała oddech. Udało się. Za chwilę kilka urywanych oddechów i znowu to samo. Jak najdłużej nie oddychać. Łzy, jedna za drugą, ciekły jej po policzkach. Poczula na czole pot, na karku – przenikliwe zimno. Rozpięła szybko spodnie. Ciasne dzinsy nie chciały się zsunąć. Znowu wybuchła spazmatycznym płaczem. Wreszcie, po krótkiej szamotaninie, wyswobodziła się z nich. Chwyciła palcami koronkowe majtki i mocno szarpnęła. Poczula ból między pośladkami, ale nie rezygnowała, dopóki całkowicie nie porwała materiału. Wsunęła dłoń między uda, a po chwili gwałtownie, brutalnie włożyła środkowy palec najgłębiej, jak to było możliwe. Zabolalo. Mocno, nie zwracając uwagi na ból, zaczęła to robić, aż poczuła, że jest wystarczająco wilgotna. Spokojnie już oddychała, wierząc, że strach minie. Włożyła drugi palec i przyspieszyła ruchy. Dobrze... przyjemnie... Jeszcze chwilę. Wyjęła palce i przyłożyła do łechtaczki. I znowu mocno. Po minucie, może

dwóch, poczuła to cudowne odrętwienie i oba palce ponownie wylądowały w środku. Uderzyła mocno kolanem o ścianę. Tak szybko... jak szybko... cicho... cicho... Ulga. Na chwilę ustały dreszcze. Wyjęła rękę spod ud i ścisnęła mocno dłoń. Podniosła z podłogi poduszkę i położyła ją sobie pod głowę. Dreszcze powoli zaczęły wracać. Zsunęła lewą nogę na podłogę i z wysiłkiem uniosła się z łóżka. Wtoczyła się chwiejnym krokiem do łazienki. Otworzyła szafkę i sięgnęła po leżący na wierzchu lorafen*. Nie bez trudu wycisnęła z listka trzy tabletki i natychmiast je połknęła, popijając wodą z kranu.

Osunęła się na kolana i przytuliła twarz do wanny.

Jeszcze dwadzieścia minut – przemknęło jej przez głowę. – Zacznie działać za dwadzieścia minut.

Z ust dziewczyny znowu wydobył się żalony krzyk. Zwinęła się w kłębek i zaczęła się kołysać jak dziecko. Nagle, bez żadnego ostrzeżenia, kaszlnęła. Wiedziała, że nie będzie wymiotować, znała to uczucie, ale nudności spowodowały, że musiała szeroko otworzyć usta, aby powietrze szybciej dostawało się do jej płuc. Czekala...

– Boże... Rundi... wróć...

Wika – Dziennik, 24 kwietnia

Dziś wraca Rundi. Dziś będzie dobry dzień.

Wczoraj... wczoraj miałam atak. Znowu. Zawsze napada tak samo. Wyciąga zgrabiałe pazury. Myślałam, że umrę. Boję się. Ze śmiercią mogę pójść na spacer. Ze śmiercią mogę zagrać w szachy. Śmierć zatrzyma czas i w końcu odpocznę. Boję się STRACHU. Po co znowu o tym myślę? Wyrwane dziury w duszy... nie, to przecież tylko chemia.

Miałam pójść do lekarza. Zapyziały, obleśny szaman w białym kitlu. Siedzi tylko i kiwa głową. Wywierca mi tymi swoimi małymi oczkami dziury w mózgu. Pójdę, jak skończy mi się lorafen i seronil.*

Wiersz przyszedł do mnie wczoraj, jak zwykle – nagle. Usiadł na parapecie jak gołąb. Trzeba go było upolować. Zabrakło kilku słów. Też przyjdą. Kleją się do siebie jak zmarznięte koty.

Jutro... jutro będzie poniedziałek i muszę iść na uczelnię. Nie przygotowałam się na zajęcia z farmakologii. Ten biedny asystent kocha się we mnie od dwóch lat. Ciekawe, co by było, gdyby ktoś się dowiedział, że dałam mu się pocałować w kiblu. Pamiętam, że strasznie się podniecił, chyba mu stanął. Nie protestowałam, jak położył rękę na mojej piersi. Niech ma. Jest miły. Gdybym nie powiedziała, że chyba

* Lorafen – lek o silnym działaniu przedwłękowym i uspokajającym.

* Seronil – lek przeciwdepresyjny stosowany także w zespołach natręctw, czasem w bulimii.

już starczy, pewnie całowałby mnie tam do dzisiaj.

Nie wiem, dlaczego nie piszę tego na komputerze, tylko w zeszycie. Niedobrze, gdyby ktoś to znalazł.

Rundi, proszę, bądź już. Ściany wbijają we mnie białe zęby... Jeszcze chwila i zapomnę, jak pachniesz. Jeszcze chwila i rozpułniesz się w kałuży. Mogłabym się stać każdym centymetrem Twojego ciała. Wiesz, że zmieściłabym się w Tobie. Chodzę jak cień, błądzę jak zmierzch... szukam Twojego uśmiechu, może zgubiłaś go pod łóżkiem, za szafą. Muszę odpocząć...

Dzisiaj... dzisiaj kupiłam atlas. Zapach farby kleił się do podniebienia. Zdjęcia manula, margaja, ocelota i serwala. Ich oczy widzą wszystko... Dzisiaj jest dobry dzień.

W piątek po zajęciach znowu byłam w zoo. Dałam im te pieniądze, ale jaguar był chyba trochę osowiały. Chodził wolniej niż zwykle, patrzył smutno. Nie powiedzieli mi, co mu jest. Ale oczywiście forse wzięli. Dałam także „w łapę” dozorczy, ale on jest w porządku. W klatkach i na wybiegach jest czysto.

Nie mogę zasnąć. Zaczaiły się i czekały. Dogoniły mnie w łóżku – słowa z mokrymi łapami.

*Zabierzcie z sobą tamten strach
I Duszę moją weźcie
Gdy będę tańczyć jak ten clown
Co kiedyś bawił was w dzieciństwie
I będę patrzeć na moją starą twarz
I zostanę tam gdzie sny zostają...
I umrę kiedyś...
Bo clowni...
...też umierają.*

Nie umiem mówić o śmierci. Boję się mówić o strachu. Ciało jest takie nieposłuszne i zawodne. Boję się mojego ciała. Boję się, że ręka robi nie to, co chciałabym, noga stawia bezładne, brzydkie, nieharmonijne kroki. Twarz, której nigdy nie mogę zobaczyć, robi bezmyślne lub niezgodne z tym, czego oczekuję – miny. Wzrok, w którym ludzie dopatrują się symboliki i egzemplifikacji uczuć, jest w rzeczywistości stały, martwy i nieciekawy. Oczy, zwykle gałki oczne, obracające się we wszystkie strony, są tylko złudzeniem obrony przed samotnością. Widzimy, więc nie jesteśmy sami. Przywiązujemy się do tego, co mózg pochłania z wrażeń wzrokowych, kształtujemy uczucia do tych przedmiotów, osób i zjawisk. Całe życie bronimy się, bronimy i bronimy Pieprzyć to...

* * *

Dziewczyna szybko szła chodnikiem, nie zwracając uwagi na innych przechodniów. Jej jasne włosy, spięte w koński ogon, kołysały się w rytm energicznych kroków. Z daleka robiła wrażenie sportsmenki, wygimnastykowanej modelki lub instruktorki aerobiku. Jednak wielkie, jasnoniebieskie oczy zdradzały rodzaj refleksji, raczej niezwykły u ludzi sportu czy wyczynowego kultu ciała. Jej spojrzenie było zagadkowe, przyciągające, choć jednocześnie wzbudzające respekt. Ubrana była w sportowy T-shirt, dość obcisłe spodnie i adidas. Bluzę wraz z niewielką torbą podróżną przewiesiła przez ramię.

Z jej twarzy biła pogoda i dobry humor. Uśmiechała się w duchu do wspomnień z poprzedniego dnia, a umysł niemal całkowicie wypełniało to, o czym właśnie wczoraj się dowiedziała i co dodawało jej energii i nadziei, że wszystko jeszcze może się udać. Mimo wieczornej pory nie było jej zimno. Dzień był wyjątkowo ciepły jak na koniec kwietnia. Zatrzymała się przed domofonem swojej klatki schodowej i nacisnęła przycisk dwadzieścia pięć.

– Tak? – usłyszała głos Wiki.

– To ja – odpowiedziała.

– Rundi?! Nareszcie! – Zaskrzeczał bzyczek zwalniający zamek.

Dziewczyna się skrzywiła. Nie lubiła, kiedy Wika tak ją nazywała. Weszła na klatkę schodową i szybko wspięła się po schodach.

W drzwiach do mieszkania czekała przyjaciółka. Rozłożyła szeroko ręce, aby uściskać Rundi.

– Wszystko w porządku? – zdążyła spytać blondynka, zanim utonęła w mocnych objęciach Wiki.

– Jak zwykle... trochę pisałam.

– Wejdziemy?

– Jasne. – Wika puściła ją wreszcie i weszły do środka. – Dobrze, że wróciłaś, co za okropny dzień. Kolacja?

– Chętnie.

Wika zniknęła w kuchni. Blondynka weszła spokojnie do swojego pokoju, rzuciła torbę na podłogę i usiadła wolno na łóżku. Dotknęła czubkami palców czoła. Zamknęła oczy i potarła lekko skronie. Teraz dopiero poczuła, jak bardzo jest zmęczona. Przez kilka minut nie otwierała oczu. Nie miała ochoty na rozmowę z kimkolwiek, ale zrećźnie ukryła irytację, a nawet poczyniła pewien wysiłek, aby się uśmiechnąć, kiedy przyjaciółka stanęła w drzwiach.

– Za minutę będzie gotowa – usłyszała.

– Zaraz przyjdę.

– Miałam to – rzekła cicho, niemal szeptem, Wika i szybko spuściła wzrok.

– Co mówi lekarz? – Blondynka spoważniała.
– Nie byłam u lekarza.
– Wspaniale. – Dziewczyna pokręciła głową i zacisnęła zęby.
– Nie złość się – poprosiła łagodnie Wika. – Umiem sobie z tym poradzić. To zwykła depresja, ma ją prawie połowa Polaków.

– Nie taką.
– Leczy się co najmniej dwadzieścia procent dorosłej populacji, to już choroba społeczna.
– A te ataki lęku?
– Mój lekarz mówi, że to nieprzyjemny, ale raczej charakterystyczny objaw. Napisałam wierszyk, kupiłam nowy album z dzikimi kotami i jestem OK. – Wika podniosła ręce do góry i uśmiechnęła się od ucha do ucha.

Blondynka zmarszczyła brwi.

– Kupiłaś album z dzikimi kotami Sergeona?!
– Tak.
– Przecież miałam ci go kupić na urodziny, palantko jedna!
– Nie mogłam się doczekać – wyznała bezwstydnie Wika. – Ale wreszcie zobaczysz, komu zawdzięczasz swój piękny pseudonim.

Blondynka spuściła bezradnie głowę.

– Rundi? Nazywaj mnie już jakkolwiek, tylko nie tak. To głupie!
– Jaguarundi to jeden z najwspanialszych kotów. Jest ostrożny i trudny do obserwacji – zaczęła tajemniczo dziewczyna. – Żyje samotnie, czasem w parach. Na polowanie wybiera się zawsze tymi samymi ścieżkami...

– Boże... Wika – pokręciła z niedowierzaniem głową blondynka. – Jesteś jak dziecko – machnęła ręką. – Niech ci już będzie.

– Na urodziny kupisz mi co innego.

– Na urodziny kupię ci co innego... – powtórzyła jak echo.

Pole było ogromne. Trawy i zarośla sięgały półtora metra. Dziewczyna przygłnęła do ziemi i na kilka sekund wstrzymała oddech.

Dwieście kroków dalej, na drewnianym podwyższeniu, z którego było widać cały teren ćwiczeń, pułkownik Piotr Krentz, niezbyt wysoki, krępy mężczyzna o chłodnym, wzbudzającym respekt, ale i zaufanie spojrzeniu, rozmawiał z Tadeuszem Malinowskim, przysadzistym pięćdziesięcioletkiem w zielonym płaszczu. Obaj przyglądali się przez lornetki dziewczynie.

– To ona, tak? – spytał Krentz.

– Tak – uśmiechnął się Malinowski. – Popatrz, co się teraz będzie działo. Jej zadaniem jest co dwie minuty oddać strzał do któregoś z tych celów – pokazał porozmieszczane na skraju pola drewniane stojaki, do których przymocowano duże papierowe tarcze. – Będzie

łatwo zauważyć wynik, ma pociski z farby.

Pułkownik pokiwał ze zrozumieniem głową.

– Cała zabawa polega na tym, że tych tarcz pilnują chłopcy...

– Widzę, Tadziu – wtrącił Krentz. – Co dalej?

– Dasz sobie wytłumaczyć, do cholery? Co cię dzisiaj ugryzło?

– Przepraszam, miałem średnio miłą gadkę z prezydentem. Jest mały kłopot, ale pewnie już o tym wiesz?

– Córka tego jego kuzyna?

– Tak.

Malinowski opuścił lornetkę i spojrzał na Krentza.

– Jesteś pewien, że elitarna agencja, której zadaniem jest zagwarantowanie bezpieczeństwa państwa, powinna się zajmować wypadkiem dwudziestolatki?

– Morderstwem dwudziestolatki.

– Nawet morderstwem dwudziestolatki. Pułkownik mocniej zacisnął usta, po czym wyjął z kieszeni przyciemniane okulary i umieścił je na nosie.

– Wiesz przecież, jak jest, Tadziu – mruknął cicho. – Zajmujemy się politykami. Ich bezpieczeństwem i wszelkimi sprawami, które mogą wpływać na stabilność rządu. Jeśli któryś z nich ma kłopoty, to i my je mamy. A teraz problem ma sam szeryf.

Krentz lubił nazywać tak prezydenta, choć pozwalał sobie na to tylko w obecności zaufanych osób. Malinowski rozłożył ręce.

– Ja podlegam premierowi, ty prezydentowi. Nie chcę się wtrącać. Tak tylko mówiłem. My na pewno tym nie będziemy się zajmować. Nawet zdaniem tego żółtodzioba to sprawa zwykłej policji. No, niech to nawet będzie CBS, ale nie my.

Krenz znał krytyczne zdanie Malinowskiego o premierze, ale nigdy nie podejmował rozmów na ten temat. Nawet kiedy nazywano pułkownika „Mister lodówką” czy „Krokodylem”, nie obrażał się, ale we wszelkiego rodzaju dyskusjach na tematy oficjalne, a szczególnie polityczne, zachowywał charakterystyczny dla siebie dystans i chłód. Własnych poglądów na ogół nie zdradzał, nawet rzadko o nich rozmawiał z żoną. Ograniczał się wyłącznie do pobłażliwych przezwisk swojego bezpośredniego szefa, i to zdecydowanie wystarczało. Usłyszeli pierwszy strzał.

– Gdzie ona jest? – spytał pułkownik.

– A właśnie... – uśmiechnął się z satysfakcją Malinowski. – Przed chwilą była tam – wskazał palcem.

– Co robią chłopcy przy tarczach?

– Strzelają do niej. Jeśli trafią, koniec ćwiczenia. Liczymy wtedy, na ile metrów udało jej się podejść do naszego stanowiska.

– Nie ma szans.

– Tak myślisz? – Malinowski uniósł z rozbawieniem brwi. – Chłopcy dostają furii, kiedy

ona wchodzi na pole. Zresztą sam zobaczysz.

– Aby strzelić, musi się wychylić.

– Jasne. Tylko oni z kolei muszą wiedzieć, gdzie ona jest, aby trafić. Wychyla się tylko na sekundę. Potem bezszelestnie zmienia pozycję i zabawa zaczyna się od nowa.

– Będzie widać po ruchu traw, usłyszą ją. – Krentz przykleił się do lornetki.

– Tak? No to patrz.

Usłyszeli kolejny odgłos karabinka. Farba rozbryzgnęła się na jednym z celów. Zanim pułkownik znalazł lornetką odpowiednie miejsce, dziewczyna zdążyła ukryć się w trawie. Kilka strzałów żołnierzy spod tarcz było zdecydowanie spóźnionych.

– Nieźle – przyznał Krentz.

Malinowski przybrał tajemniczy wyraz twarzy.

– O co zakład, że podejdzie pod samą werandę i uśmiechnie się do nas z odległości dziesięciu metrów?

– Nie szalej. Jest dobra, ale to zupełnie niemożliwe.

– Skrzynka Johny Walkera?

– Stoi.

Kolejny celny strzał dziewczyny kompletnie zmylił pilnujących tarcz. Zmieniła pozycję o dobre dwadzieścia metrów zupełnie niezauważalnie.

– Jak długo tu jest? – spytał Krentz.

– Półtora roku, w tym trzy miesiące w Quantico.

– Ładnie. Skąd ją wzięliście?

– Prosto ze studiów. Teraz – piąty rok resocjalizacji. Wyróżniała się. Dobre wyniki, bardzo wysportowana. Uprawia sztuki walki od ośmiu lat, pasowała.

– A profil?

– Sangwinik, spokojna, introwertyczna, cierpliwa. Bardzo inteligentna, niewielkie grono przyjaciół, nie ma faceta, ale hetero. Wynajmuje mieszkanie ze studentką weterynarii.

Krentz wciąż obserwował bezskuteczne próby trafienia dziewczyny przez pilnujących tarcz.

– A ta studentka weterynarii? – spytał.

– Atrakcyjna brunetka. Dość ekscentryczna, interesuje się dzikimi afrykańskimi kotami, pisze wiersze, podobno dobre. Samotnik, jak nasza panienska.

Pułkownik pokręcił z niedowierzaniem głową, widząc kolejny popis dziewczyny.

– Niemożliwe... – mruknął pod nosem, ale Malinowski go usłyszał.

– Masz na tego Johny Walkera? – spytał złośliwie.

– Studiuje dalej? – Krentz zlekceważył pytanie.

– Eksternistycznie. Kończy.

Dziewczynę dzieliło od ambony najwyżej pięćdziesiąt metrów.

– Bierzesz ją? – spytał Malinowski.

- Pogadam z nią. Robi dobre wrażenie. Dlaczego ty jej nie chcesz?
- To nie tak. Mam już Olenę. Nie potrzebuję na razie więcej agentek.
- Mówisz o Sil?
- Tak.

– Boże, przecież ona nie ma za grosz serca!

– A ta ma go za dużo – podsumował Malinowski. – Ale ty lubisz takie. Refleksyjne, zapatrzone w sens istnienia i nieboskłonów, idealistki.

– Pieprz się.

– Dogadacie się. Tutaj wszystkich wkurzała.

– Jak się prezentuje?

– Zobaczysz. Świetnie zbudowana, ładna. Dobra do waszej roboty.

Dziewczyna wyłoniła się z traw kilkanaście metrów od ambony. Wyprostowała się jak struna i próbując wstrzymać przyśpieszony oddech, przyłożyła rękę do czoła.

– Melduję się! – krzyknęła w stronę oficerów.

Malinowski pokiwał z zadowoleniem głową.

– Bądź za dziesięć minut u mnie. Pułkownik chce z tobą porozmawiać! – rozkazał.

– Tak jest! – Dziewczyna miała na sobie zielony dres i łaciatą, maskującą czapkę koloru khaki. Jej umorusana czarną farbą i ziemią twarz nie wyrażała specjalnego zaskoczenia wynikiem ćwiczeń. Widać było, że przywykła do takich małych sukcesów.

Krentz obserwował, jak zbliża się do chłopców przy tarczach, którzy, zrezygnowani, zdążyli już położyć się na ziemi, aby odpocząć.

– Niesamowite – przyznał pułkownik.

– Wiesz, jak ją tu nazywają?

– No?

– Ultra.

– Ultra?

– No wiesz, niesłyszalna jak ultradźwięki. Zabawne. Nie znosi swojego imienia.

– Taaa. Pogadam z nią.

Dziewczyna weszła do pomieszczenia, gdzie Tadeusz Malinowski miał swój polowy gabinet. Przy biurku siedział jednak nie on, tylko mężczyzna w czarnym garniturze, którego widziała już na poligonie. Wyglądał na czterdzieści kilka lat, ale dbał o kondycję, co było widać na pierwszy rzut oka.

– Przepraszam, szukam...

– Wiem, proszę usiąść – mężczyzna wskazał jej krzesło. – Nazywam się Piotr Krentz, prosiłem agenta Malinowskiego, aby pozwolił nam porozmawiać, o czym wspomniał na poligonie.

– Tak jest, panie...

– Pułkowniku – przyszedł z pomocą mężczyzna.

– Tak jest, panie pułkowniku.

Dziewczyna usiadła, uważnie przypatrując się rozmówcy. Na pierwszy rzut oka robił wrażenie flegmatycznego, ale w rzeczywistości jego sposób bycia wynikał raczej, jak oceniła, ze spokoju i cierpliwości. Jak na wojskowego był jednak zbyt – nie mogła przez kilka sekund znaleźć odpowiedniego słowa na określenie tej cechy – „polityczny”. Tak jakby uważał na każdy ruch, gest, a nawet odpowiednie dla chwili spojrzenie. Wszystko to było jednocześnie niezwykle naturalne, płynne, choć dość chłodne i czynione z rezerwą. Dziewczyna czekała dobrych parę minut, aż pułkownik nieśpiesznie przejrzy jej teczkę leżącą na stole. Unosił przy tym raz po raz wzrok, jakby sprawdzał dane, które dopiero co przeczytał. Cały ten czas dziewczyna mogła wykorzystać na wstępną ocenę faceta, który, jak coś jej mówiło, odegra istotną rolę w jej przyszłej karierze. Dwa dni temu Tadeusz Malinowski wspomniał, że dziś na ćwiczeniach będzie się jej przyglądał ktoś bardzo ważny i być może zechce z nią porozmawiać. Wdzięczna była szefowi, że pozwolił popisać się numerem z tarczami, czym potrafiła doprowadzać do furii kolegów ze szkolenia nawet jeszcze skuteczniej niż podczas zajęć z logiki dochodzeniowej. Zdaniem wielu przyszłych tajnych agentów te przymusiaste krzyżówki bardziej przypominały rozwiązywanie szkolnych słupków niż cokolwiek potrzebnego w ich przyszłej pracy. Według niej jednak były to zadania niezwykle uniwersalne i istotne w procesie prawidłowego myślenia, i to nie tylko dla oficera dochodzeniowego, ale również dla agenta wywiadu, kontrwywiadu czy nawet po prostu szpiega. Zdawała sobie sprawę, że prezentując wyjątkową aktywność na tych zajęciach, ujawnia, niestety, zbyt szczerze potrzebę bycia prymusem, tam gdzie tylko to możliwe, ale opinia „kujona”, mówiąc otwarcie, guzik ją obchodziła.

– Ultra, tak? – spytał spokojnie i tak cicho Krentz, że dziewczyna musiała dodatkowo się skupić, aby móc dokładnie zrozumieć, o co mu chodzi.

– Tak jest.

– Proszę powiedzieć, nie odwracając się, oczywiście, co znajduje się w tym pokoju za pani plecami? – spytał ponownie pułkownik, przeglądając papiery.

No, za oryginalny to facet nie jesteś – pomyślała dziewczyna, ale umiejętnie zapanowała nad wyrazem twarzy i zaczęła recytować:

– Po prawej stronie niewielka szafka z lampką i łóżko polowe, puste, bez koca. Dalej stółek, nad nim obraz, który zawieszono dopiero dzisiaj, wcześniej go nie widziałam. Kopia *Zegarów Dalego*. Przy drzwiach popielniczka, w niej dwa niedopałki papierosów. W samym rogu ciemnoczerwone pudło. Jego również wcześniej tu nie widziałam i nie wiem, co w nim jest.

Krentz oderwał się wreszcie od teczki.

– Wyróżnia się pani na większości zajęć, nawet z samoobrony i sztuk walki. Jak ocenia psycholog, rozumuje pani szybko, spokojnie i logicznie. Łatwo przystosowuje się pani do sytuacji. Mimo że jest pani atrakcyjna, nie cieszy się sympatią kolegów. Nie ma pani

właściwie przyjaciół. Kiepsko radzi sobie pani na zajęciach wydolnościowych porucznika Zwrota, umie pani rozpoznać obraz surrealisty w polowej ziemiance swojego dowódcy. Nie ma pani męża ani narzeczonego, nie lubi swojego imienia, uwielbia słodczy. – Pułkownik ostentacyjnie zamknął teczkę.

– Tak jest – potwierdziła krótko Ultra.

– Jak to możliwe?

– Staram się przykładać do wszystkiego, co...

– Pytam – przerwał Krentz – jak to możliwe, że utrzymuje pani taką figurę, wpychając w siebie całe ciężarówki, jak to ujął agent Malinowski, słodczy.

– Mam dobrą przemianę materii.

– Nie psują się pani zęby?

– Chyba są w porządku – dziewczyna się zarumieniła.

Pułkownik patrzył na nią spokojnie, ale poważnie i nie wyczuła, aby jego uwagi mogły mieć cokolwiek wspólnego choćby z najsztelniejszym flirtem. Jeśli już trzeba by było oskarżyć go o jakiegokolwiek odstępstwa od procedury, to najpewniej wynikały z dziwaczności, ale jednak poczucia humoru. Wszystko to, zdaniem Ultry, było wpisane w rytuał stworzony do przeprowadzenia kolejnych sprawdzianów jej ewentualnej przydatności do zawodu, czego teraz już była niemal pewna.

– Nasza rozmowa, niezależnie od jej wyniku, jest całkowicie poufna.

– Oczywiście, panie pułkowniku.

Krentz odczekał chwilę, wciąż przyglądając się uważnie dziewczynie.

– Pracuję dla agencji zajmującej się bezpieczeństwem politycznym, i nie tylko zresztą państwa. Dbamy o spokój osób sprawujących władzę, prowadzimy wszelkiego rodzaju dochodzenia i utajnione akcje, mające na celu wyeliminowanie zagrożeń wynikających z działalności obcych wywiadów i przestępczości zorganizowanej, jeśli ma wpływ na przebieg procesów politycznych. Kontrolujemy różne objawy i próby korupcji, szantażu, nadużywania władzy. Prowadzimy także dość energiczną działalność za granicą, ale o tym porozmawiamy dokładniej, kiedy będzie już pani w naszych szeregach. Widzę, że jest pani trochę zdezorientowana – zauważył Krentz. – Chce pani o coś zapytać?

– Proszę nie brać tego za arogancję, ale nie rozumiem, o czym pan mówi, pułkowniku – oznajmiła Ultra.

– Proszę mówić jaśniej.

– Znam dość dokładnie strukturę Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji, Biura Ochrony Informacji Niejawnych i Spraw Obronnych, Urzędu Ochrony Państwa i kilku innych, ale nie słyszałam o agencji, o której pan mówi.

– My nie podlegamy premierowi ani nawet sejmowej komisji do spraw służb specjalnych, tylko prezydentowi. To jest agencja prezydencka.

– Jak to możliwe?...

– Stanowimy, jak by to powiedzieć... pierwszą linię frontu. Większością spraw, o których wspomniałem, zajmują się oczywiście odpowiednie służby rządowe. My jednak pilnujemy, aby nic nie uszło ich uwagi. Wykrywamy, analizujemy i na pewnym etapie przekazujemy służbom podległym premierowi. Przy okazji stanowimy ich kontrolę, a przede wszystkim jesteśmy uszami i oczami prezydenta. To za jego pośrednictwem efekty naszej pracy trafiają na biurka odpowiednich ministrów.

– I nikt o tym nie wie?

– I nikt o tym nie wie. Ale jesteśmy te dobre chłopaki. I nie dbamy o reklamę.

– Kontrolujecie nawet NIK?

– Tak.

– Wszystkich ważniejszych polityków?

– Tak. I dbamy, aby nie narobili sobie kłopotów.

– Wpływacie na politykę?!

– To nie komunizm, agentko Ultra. My tylko pilnujemy w imieniu prezydenta, aby wszystko grało. I prowadzimy różnorakie działania tak długo, jak to konieczne. Potem przekazujemy sprawy dalej. No i jak wspomniałem, działamy w imieniu prezydenta za granicą. Wszystko ma jeden cel – maksymalne bezpieczeństwo państwa.

– Czy to duża agencja?

– Nie. I będę szczery. To elita. Jak to lubią mówić Amerykanie w głupawych filmach – najlepsi z najlepszych. Oczywiście, to bardzo ogólne informacje, ale dopóki nie zdecyduje się pani przystąpić do nas, musi to wystarczyć. Decyzję proszę podjąć w ciągu najbliższych godzin. Proponuję pani dokończenie szkolenia u nas i pracę.

– Odejdę stąd na zawsze?

– Tak. I nigdy nie będzie pani mogła, nawet z najbliższymi, rozmawiać o tej agencji. Będzie pani miała fikcyjny zawód, fikcyjne nazwisko, a nawet życiorys. Będzie pani mogła dalej mieszkać z tą studentką weterynarii, choć zwykle zalecamy mieszkanie samodzielne. Pseudonim już pani ma. To wszystko. Ile pani potrzebuje czasu?

– Godzinę – odparła niemal bez namysłu.

– Zgadzam się. Już półtora roku temu wybrała pani ten zawód, teraz tylko trzeba sobie zadać pytanie, czy gotowa jest pani pracować w agencji, której oficjalnie nie ma, na stanowisku, którego nie ma, wśród ludzi, którzy nie istnieją.

– To trochę egzotyczne... – skomentowała wolno, starając się zachować równowagę umysłu.

– Egzotyczne... no proszę. Takiego określenia jeszcze nie słyszałem. – Krentz uśmiechnął się po raz pierwszy w trakcie tej rozmowy. – Ale być może dlatego, że nowych pracowników przyjmujemy bardzo rzadko. I raczej nie są to ludzie z ogłoszenia w prasie.

Karol Bożęcki był pewien, że po odejściu szefa to on zostanie dyrektorem działu

marketingu firmy „Skawiński i Krupa”, zajmującej się produkcją „wiesideł trójkątnych, prostych”.

Oczywiście nikt, kto nie był mniej lub bardziej ściśle związany z firmą i jej interesami, nie miał zielonego pojęcia, czym, do cholery, są te wiesidła, ale ich oficjalna nazwa została już bardzo dawno zarejestrowana, opatentowana, obwarowana tysiącami papierków i umów, tak że zmienienie jej na bardziej ludzką graniczyło z cudem. Przypominało to jako żywo czasy, kiedy na polskim rynku królowały krawaty o słynnej już nazwie „zwis męski luzem”, stołki z napisem na metce „siedzisko niskie, płaskie” czy chyba najbardziej makabryczne „podgardle dziecięce”, czyli po prostu śliniaczek dla niemowląt.

Firma „Skawiński i Krupa” po prostu produkowała i sprzedawała prawie w całej Polsce drewniane, metalowe i plastikowe... wieszaki na ubrania, w dowolnych kolorach i o przeróżnych kształtach. Zgodnie jednak z oficjalną nazwą, wieszakowy lider rynku musiał produkować wieszaki zbliżone przynajmniej do trójkąta, najlepiej w takim kształcie, aby można było powiesić na nich płaszcz czy marynarkę w szafie. Nie było to wcale takie oczywiste, bo artyści z firmy „Skawiński i Krupa”, którzy tak uparcie dążyli do samorozwoju, że raz po raz zasypywali dział marketingu nieprawdopodobnymi wręcz bohomazami na projektach, łatwo w ten sposób udowadniali, że nowoczesny wieszak właściwie nie musi przypominać wieszaka. Potrafiło to popsuć humor Karolowi Bożęckiemu na długo, a do tego przedłużało niekiedy znacznie jego czas pracy, tak właśnie jak dziś. Dlatego nie był zadowolony, kiedy o dziewiętnastej, tuż po tym, jak wrócił z firmy, w jego willi odezwał się dzwonek. Na ekranie wideofonu zobaczył ku swojemu zdziwieniu atrakcyjną brunetkę z brązową, dość dużą teczką pod pachą.

Wika, stojąc przed bramą, starała się, aby jej dawno już wyćwiczony uśmiech wzbudzał zaufanie od pierwszego wejrzenia. Głos w minigłośniku przy furtce brzmiał jednak surowo.

– Słucham?

– Przepraszam, że przeszkadzam – zaczęła dziewczyna. – Działam w imieniu Instytutu Badań Społecznych, jestem studentką. Czy zgodziłby się pan na krótką ankietę?

Chwila ciszy, jak rozumiała, oznaczała zastanawianie się.

– Długo to potrwa?

– Pięć, do dziesięciu minut – uspokoiła.

Bzyczek zwalniający blokadę dał sygnał Wice, aby pchnąć furtkę.

W drzwiach domu dziewczyna zastała szczupłego, łysiejącego czterdziestolatka, wysokiego i eleganckiego. Wprawdzie piętnaście minut wcześniej widziała, jak właściciel willi wjeżdża do garażu, ale najwyraźniej dała mu zbyt mało czasu, aby mógł się przebrać. Tak więc tkwił wciąż w garniturze, który usztywniał i tak już pozbawioną swobody sylwetkę Bożęckiego.

– Proszę – wymusił uśmiech.

– Jak mówiłam, nie zajmę dużo czasu – dziewczyna śmiało wkroczyła do przedpokoju.

- Proszę do salonu, niech pani nie zdejmuje butów.
- Przepraszam, nie przeszkadzam rodzinie?
- Żona i córka wracają dopiero jutro, proszę usiąść – wskazał fotel. – Zaraz będę.

Bożęcki wyszedł do kuchni.

Wika rozejrzała się po salonie. Najbardziej zainteresował ją płaski telewizor na ścianie i drewniana podłoga. Na drogie szafki z trunkami, skórzany zestaw wypoczynkowy czy sprzęt muzyczny niemal w ogóle nie zwróciła uwagi.

Uklękała i pogładziła delikatnie podłogę.

– Prawdziwe drewno – zauważył z dumą Bożęcki, wchodząc z dwoma kieliszkami i butelką koniaku. – Napije się pani?

– Raczej nie – uśmiechnęła się, podnosząc z kolan. Usiadła na kanapie i zlustrowała jeszcze raz gospodarza. Zdjął marynarkę i krawat, zostając w białej koszuli. Twarz mu wypogodniała i wydawał się nawet miły.

– Dorabia sobie pani w ten sposób? – spytał, siadając naprzeciwko niej na fotelu po drugiej stronie drewnianego stolika.

– Raczej uzupełniam edukację.

– Zwykle ankiety są nudne.

– Ta jest ciekawa, zapewniani pana. – Wika otworzyła teczkę i wyjęła przedmiot do złudzenia przypominający pistolet.

– Co to jest? – spytał rozbawiony gospodarz.

– Pistolet do usypiania zwierząt. W środku jest niewielka dawka, starczy najwyżej na piętnaście minut.

– Po co to pani?

– Żebym mogła pana uspić. Jest pan silniejszy ode mnie – odparła spokojnie.

Wymierzyła i strzeliła w jego stronę, trafiając w górną część powłok brzusznych, po prawej stronie.

– Co pani robi?! – jęknął, wrywając strzykawkę z ciała. Zerwał się na nogi, ale za chwilę osunął z powrotem na fotel. Wika spokojnie patrzyła, jak opada z sił. Położyła na stoliku teczkę, aby wygodniej było wyjąć sprzęt do znieczulenia podoponowego. Wyjęła także skalpel i kilka innych narzędzi, które uznała za potrzebne, a następnie podeszła do nieprzytomnego już mężczyzny. Ujęła go mocno pod pachami i przeciągnęła na środek salonu. Ułożyła na boku na podłodze i wróciła po swoje narzędzia. Wzięła przygotowaną jeszcze w domu strzykawkę z marcaina i uklękała przy bezwładnym ciele gospodarza domu. Zręcznie zagarnęła prawym przedramieniem jego nogi pod kolanami, lewym chwyciła głowę z tyłu tak, aby czoło znalazło się jak najbliżej kolan, i w ten sposób wygięła odpowiednio kręgosłup „w pałąk”. Podwinęła koszulę, wymacała umiejętnie odpowiednie miejsce między kręgami i wprowadziła tam ostrożnie długą igłę ze strzykawką zawierającą dziesięć miligramów marcainy. Następnie odwróciła ciało na plecy i znowu wróciła do stolika, wyjęła

z teczki długie stalowe gwoździe i spory młotek. Jeszcze raz uklękła, aby przesunąć delikatnie palcami po podłodze, po czym włożyła rękawiczki operacyjne.

Odpowiednio ukształtowane drewniane bale, to musiało kosztować majątek – pomyślała z podziwem, zmierzając w stronę Bożęckiego. Rozłożyła jego rękę, wzięła do ręki młotek, potężny gwóźdź i przymierzyła do prawego przegubu. Przymrużyła jedno oko, aby dobrze wymierzyć, i opuściła z dość dużą siłą żelastwo na główkę gwoździa. Usłyszała trzask kości, a krew, która bryzgnęła niewielkim, ale zwartym strumieniem – zachlapała jej oko. Puściła na chwilę młotek, aby je wytrzeć. Końcówka gwoździa, niestety, nie doszła jeszcze do podłogi, więc nakierowała go ponownie pod odpowiednim kątem i kilka razy uderzyła. Poczula, jak zagłębia się w podłogę. Otarła ręką pot z czoła, następnie ujęła drugi przegub Bożęckiego i powtórzyła czynność, choć tym razem poszło trochę trudniej. Gwóźdź ześlizgnął się z kości i przebił skórę z boku, trzeba więc było całą operację powtarzać.

– Chrystus... – szepnęła cicho, niemal wzruszona. Wstała z kolan i przez kilkanaście sekund przypatrywała się uważnie przybitemu do podłogi mężczyźnie. Krew sączyła się z ran na przegubach, chociaż mniej intensywnie, niż się spodziewała. Małe kałuże dookoła dłoni powiększały się dość wolno, ale sukcesywnie. Wika wyjęła z torby jeszcze jedną strzykawkę z przygotowanym już środkiem i zaaplikowała Bożęckiemu kolejny zastrzyk. Następnie podeszła do drzwi wejściowych, aby sprawdzić, czy są dobrze zamknięte. Wróciła do salonu i jeszcze przez minutę przyglądała się swojemu dziełu, po czym zamknęła oczy. Przez jej umysł popłynął ulubiony fragment *Jeziora łabędziego* Czajkowskiego. Powoli, nieśpiesznie, nie otwierając oczu, zaczęła tańczyć. Stawiała nogi delikatnie, z wyczuciem, obracając się z wdziękiem co pewien czas dookoła i wsłuchując w prawie niesłyszalne dźwięki. Jej wydawały się one realne, piękne i zmysłowe. Tańczyła po całym pokoju, wciąż z zamkniętymi oczami, lecz nie wpadała na meble. Dokładnie zapamiętała układ salonu i teraz z satysfakcją odnotowała, że nie pomyliła się w żadnym szczególe. Wydawało jej się, że czuje odbijające się od niej leciutko najmniejsze cząsteczki powietrza. Subtelnie i bardzo powoli zaczynały dochodzić do niej całe gamy zapachów. Nęcących, ledwie wyczuwalnych, ale wyraźnych. Muzyka w jej głowie rozbudziła dziesiątki niesłyszalnych do tej pory dźwięków. Teraz z łatwością dociera do jej uszu i w rytm kroków wypełniały głowę jak orkiestra. Podłoga, ściany, meble, nawet wiatr w ogrodzie za domem grał klasterami dla Wiki, przywołując znów na jej twarz słodki uśmiech.

– Cooo... – usłyszała nagle jęk z podłogi. – Ja... co się dzieje?

Wika podbiegła do Bożęckiego i pogładziła go czule po głowie.

– Ciii – szepnęła mu prosto do ucha.

– Nie mogę... – jęknął ponownie, czując straszny ból w przegubach. Z trudem otworzył oczy. Na twarzy powoli zaczęło się malować potworne przerażenie. – Ja nie mogę... – wybełkotał jeszcze raz.

– Jest pan sparalizowany od pasa w dół – wyjaśniła Wika. – A rękę ma pan przybite do

podłogi – zakończyła lapidarnie i rzeczowo.

Karol Bożęcki odzyskiwał przytomność. Kształty stawały się wyraźniejsze, ból coraz bardziej rozdzierający.

– Przestań... błagam – wydusił z siebie.

Wika ponownie pogładziła go po głowie.

– Nie mogę – odparła tonem rozkapryszonego małego dziecka.

Wstała, podeszła do teczki i dopiero teraz wyjęła duży myśliwski nóż. Wzięła także skalpel i ku jeszcze większemu przerażeniu Bożęckiego zbliżyła się do niego. Przyłożyła skalpel do szyi i przejechała po niej niemal dookoła. Pierwszy raz mężczyzna wrzasnął na całe gardło. Krzyk, jak nieartykułowane wołanie katowanego zwierzęcia uwiązał mu w gardle, a następnie przerodził się w charkot. Bożęcki próbował się unieść, ale natychmiast opadł na podłogę, czując potworny ból, który od nadgarstków promieniował w kierunku ramion.

– To tylko nacięcie, nie doszłam do tętnicy szyjnej – wyjaśniła Wika. – Krew cieknie małym strumyczkiem. Proszę zobaczyć – przejechała palcem po cienkiej, czerwonej linii na szyi i pokazała jego umazany czubek Bożęckiemu.

– Nie zabijaj mnie... – zaczął błagać. – Kim jesteś? Czy coś ci zrobiłem?

– Przechodziłam tędy – odparła Wika tonem naburmuszonej nastolatki. – Co pan czuje? – spytała nagle śmiertelnie poważnie.

– Strach... boję się! – krzyknął niemal natychmiast.

– Jak bardzo?

– Dlaczego ty?...

– Proszę odpowiedzieć! – rzekła z naciskiem, biorąc do ręki nóż myśliwski.

– Tak!!! Odchodzę od zmysłów! Chcę zobaczyć moją żonę, Marysię, moją córkę!!! Daj mi żyć! To jest jakieś szaleństwo, błagam!!!

– Czy widzi pan przed oczami całe życie? – spytała z życzliwym zainteresowaniem.

– Co?! – jęknął.

– Odpowiedz!!! – wrzasnęła z furją, jeszcze chyba głośniejsze niż on przed kilkunastoma sekundami.

– Nie, nic nie widzę... – zaczął płakać. – Chcę żyć...

– Nie czuje pan miękkości? Błogości? Pogodzenia się z losem? Czy jest coś, co panu pomaga?

– Nie... nie zabijaj mnie...

Wika przyłożyła nóż do tętnicy i szybko przecięła ją, nie uszkadzając krtani.

Krew buchnęła teraz potężnym strumieniem. Nastawiła dłonie, nabrała jej trochę, szybko wstała i chlusnęła nią o ścianę.

– Białe ściany... – szepnęła do siebie.

Podbiegła do mężczyzny, aby nabrać jeszcze trochę krwi w dłonie, po czym ochlapała przeciwległą ścianę. Zerknęła na Bożęckiego. Wpadł w drgawki. Szeroko otwarte, przerażone

oczy patrzyły teraz tępo w sufit. Całym ciałem targały coraz silniejsze konwulsje. Wika spokojnie uklękła przy nim, wymacała na jego klatce piersiowej przerwę międzyżebrową, przyłożyła tam ostrze noża myśliwskiego i wbiła go aż po rękojeść.

– Dlaczego? – zdążył wyszeptać Bożęcki.

– Ze strachu – odpowiedziała ledwie słyszalnie prosto do jego ucha. – Ze strachu...

*to było tak
daleko stąd
gdzie wszystkie drogi się kończą
nieznany ptak
utulił mnie
zaśpiewał wtedy złotą pieśń
zapalę świeczki
srebrnych gwiazd
by ujrzeć nuty
jego słów
wspomnienie mocno
trzyma mnie
w zapadłe oczy
wbija sen
zazdrosny księżyc
śledzi noc
chwytą w swe
czarne ramiona
nie mówisz nic
przyglądasz się
a z twoich oczu
płynie strach
otwierasz ścianę
szarego dnia
i krzyczysz głośno
by nastał świt*

Wika – Dziennik, 6 maja

Koty lubią wiosnę. W ustach czują słodki smak nowego życia.

Dzieją się cuda, biel wsiąka w ziemię. Czas jak zając schował się w krzaki...

Wkroczyłam jak wiosna zapachem pierwszej nadziei, skrzypiec, co uciekły z rąk i strachu. Nie zaśpiewał nikt.

Na kolację podałam mu śmierć... świeżą i krwistą. U tuliłam go i pożegnałam. Liście zagrały marsza funèbre. I zatańczyłam lekko, wiosennie, dla Ciebie. Chciałam zostać, ale wróciłeś – STRACHU.

ROZDZIAŁ 2

Podkomisarz Ryszard Snopczyk, niewysoki i – jak na policjanta – raczej niezbyt imponującej postury blondyn, pochylił się nad przybitym do podłogi ciałem. Otarł ręką pot z czoła i przez kilka minut uważnie przyglądał się Karolowi Bożęckiemu, lustrując go kilkakrotnie od stóp do głowy.

– Ktoś chyba bardzo go nie lubił, panie komisarzu – usłyszał za sobą niepewny głos.

– Taaa – mruknął pod nosem Snopczyk. – Ty jesteś ten nowy? – spytał, nie odwracając się.

– Tak! Melduję się! Młodszy aspirant Roman Szewczyk! – wyprężył się nowy.

Podkomisarz, nie zwracając na to uwagi, wciąż przypatrywał się ciału Bożęckiego.

– Widzisz tego grubego w skórzanej marynarce, rozmawiającego przy wejściu? – spytał po chwili, nachylając się nad twarzą denata z zamkniętymi oczami.

– Tak, panie komisarzu!

– To poproś go tutaj – rozkazał cicho, ale zdecydowanie. – I powiedz naszym wspólnym kolegom, żeby z łaski swojej nie zdeptali do reszty miejsca zbrodni, bo zachowują się jak na dyskotece.

Facet w zielonej kurtce, robiący zdjęcia, usłyszał tę uwagę, więc przerwał na moment, spoglądając z niepokojem pod nogi. Chwilę później błysnął jeszcze kilka razy fleszem i ostrożnie się wycofał.

Rudolf Williams, policyjny psycholog, zawdzięczał swe niesłowiańsko brzmiące nazwisko ojcu Anglikowi, który przybył niegdyś do Polski jako dyplomata, ożenił się z Polką, dorobił się dwojga dzieci, a następnie wyjechał do Londynu, by powrócić w roku dziewięćdziesiątym. Syn, choć skończył studia w Anglii, z powodzeniem pracował od dwóch lat w warszawskiej policji, tatuś zaś, korzystając ze sprzyjających, jak mu się wydawało, warunków, założył firmę produkującą ekskluzywną odzież męską, rezygnując tym samym na stare lata z kariery dyplomatycznej, którą był już szczerze znużony. Ku jego rozpaczy syn nie był zainteresowany interesem ojca, za to córka wsiąkła w garniturowy biznes, poświęcając mu się całkowicie. Rudolf mówił po polsku bez obcego akcentu, miał, jak uważali koledzy z wydziału, miłą osobowość, zachłanne i hedonistyczne podejście do życia oraz – co wcale się nie wykluczało – zadatki na pracoholika. Dwadzieścia kilo nadwagi było efektem

nieograniczonej miłości do jedzenia, zarówno tłustego, jak i słodkiego, a także wyjątkowej niechęci do joggingu oraz siłowni czy innych bezsensownych miejsc tortur, dających szansę na przestanie bycia grubasem.

– No i co powiesz? – spytał Williams, podchodząc do Snopczyka.

– Raczej, co ty powiesz? – odpowiedział pytaniem na pytanie podkomisarz. Przy potężnym psychologu drobny policjant wyglądał na jeszcze niższego.

– Podobnie jak poprzednio. Ofiara przybita do podłogi, najprawdopodobniej dość długo i okrutnie dręczona. Musiała trafić na potwornie silnego i szybkiego skurwiela. Ciężka jatka... Który to?

– Trzeci.

– No to teraz już masz pewność, że to seria.

Snopczyk przez chwilę wyglądał tak, jakby to on sam wymagał opieki psychologa.

– Sprzątnijcie to, na Boga – jęknął Williams. – Jego żona i córka są w fatalnym stanie. Nie powinny zobaczyć tu żadnych śladów.

– Żadnych śladów, powiadasz?! – warknął rozdrażniony policjant. – Krew jest wszędzie! Na ścianach, na podłodze, na meblach, nawet na kolumnach wieży stereo!

– Uspokój się, ludzie patrzą! – upomniał go konspiracyjnym szeptem psycholog.

– Nie pieprz, Rudi! Lepiej wymyśl wreszcie, gdzie mam szukać tego jebanego psychopaty!

– Niekoniecznie.

– Co niekoniecznie?

– To niekoniecznie psychopata.

– Nie rozumiem.

– Psychopata cierpi na zanik uczuć wyższych, nie ma wstydu ani sumienia, traktuje ludzi przedmiotowo.

– Ciężko o lepszy dowód – Snopczyk wskazał leżącego na podłodze.

– Tak, ale klasyczny psychopata ma także obniżony poziom lęku, a osoba, która to zrobiła, moim zdaniem, wykazuje cechy przeciwne.

– Trzeba mieć sporo odwagi, aby tak torturować człowieka – zaproponował policjant.

Rudolf pokręcił głową.

– Może trudno ci to zrozumieć, ale podejrzewam, że w mniemaniu człowieka, który to zrobił... to nie była tortura. To raczej... misterium. Coś w stylu poświęcenia, ofiary. Zobacz, jaki był dokładny. Jak przygotował każdy element zbrodni. Najpierw najprawdopodobniej szybko unieszkodliwił faceta. Mało śladów walki, jak przy poprzednich morderstwach, a więc Bożęcki mógł znać mordercę, a nawet jeśli nie znał, to był kompletnie zaskoczony jego zamiarami. Potem oprawca dokładnie i powolutku przybił go do podłogi jak do krzyża...

– Dlaczego nie przybił mu nóg? – przerwał Snopczyk.

Williams wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Mogę się tylko domyślać. Jest konsekwentny i dokładny ale tkwi w nim moim zdaniem... posłuszeństwo.

– Co takiego?!

– Robi to dla kogoś lub dla czegoś, czy raczej – w imię czegoś. Oczywiście tego „kogoś” najprawdopodobniej sobie wyimaginował lub ta osoba nie jest tego świadoma. Może to ktoś nadprzyrodzony albo nawet sam Bóg.

– Robi to, bo ktoś nieistniejący mu rozkazuje?!

– Nie. Robi to, bo się boi lub zazdrości. A idea mu to tylko racjonalizuje.

Rudolf zrobił jeszcze jeden krok w kierunku Snopczyka, aby móc mówić do niego szeptem.

– Psychopatia, Rysiu, to zdaniem wielu autorytetów nie choroba, a tylko stan mieszczący się... powiedzmy, w szeroko rozumianej normie zdrowia psychicznego – kontynuował Williams. – A tu mamy osobę bardzo... bardzo chorą, o kompletnie zaburzonej osobowości. On nie nienawidzi ofiar. Nie bije, nie demoluje domu. On je poświęca. Krew na ścianach to pewnie jakaś symbolika, a nie wyraz sadyzmu czy okrucieństwa. Cierpienie ofiar w ogóle do niego nie dociera. Jest otoczony murem, przez który nie przebijają się krzyk, ból czy błagania o litość. Nasz „Kubuś-krzyżowiec” prezentuje kompletnie inny punkt odniesienia niż tak zwani zwykli ludzie. Wychodzi z innych założeń i dochodzi do wniosków dla niego logicznych i oczywistych, a dla nas przerażających i sięgających do najbardziej mrocznych zakamarków duszy. Zwykły psychopata przy nim, Rysiu, to skaucik biegający po mieście z puszką na datki na swoją drużynę.

Snopczyk zerknął w głąb salonu. Ekipa nie przerywała pracy. Zaznaczali ślady, zbierali odciski palców, numerowali. Podkomisarz kiwnął na wysokiego blondyna w białych gumowych rękawiczkach, który szybko do niego podszedł.

– Co macie? – spytał ubrudzonego barwnikami śledczego.

– Na razie niewiele. Musiał mieć albo jakieś filcowe buty, albo dokładnie wytrzeć miejsca, po których chodził, albo fruwać. Ślady należą tylko do denata, reszta to kilka rodzajów damskich butów. Nawet nie ma konkretnych kosmków. W całym mieszkaniu są dziesiątki odcisków palców. Na klamkach, szklankach, meblach, nawet na tej skórzanej kanapie.

– Wszystko zbierzcie.

– Wszystko?!

– Tak, wszystko. Może któreś z tych odcisków mamy w kartotece. I szukajcie dalej.

– Tak jest! – Blondyn odszedł w stronę kuchni.

Zrezygnowany Williams pokiwał głową.

– Co go łączy z poprzednimi ofiarami? – spytał, obserwując, jak ciało Bożęckiego policjanci przykrywają czarnym materiałem.

– Nic. W każdym razie do tej pory na nic nie wpadłem. Studentka, nauczycielka od

polskiego i biznesmen. Wszyscy przybici do podłogi, no, zresztą sam wiesz. Studentka to córka VIP-a, reszta – normalni ludzie.

– Słyszałem nawet, że ta studentka to daleka rodzina prezydenta.

– Nie rozumiem tylko tej ich bezbronności. – Rudolf zignorował ostatnią uwagę Snopczyka. Sięgnął po chusteczkę, aby wytrzeć twarz. – Albo wszystkie ofiary znały naszego „Kubusia”, albo wpuściły do swoich domów obcą osobę i bez walki kompletnie się poddały. Psychologicznie to trudne do wytłumaczenia. Instynkt obrony życia jest najsilniejszy.

– Myślę, że on ich jakoś ogłusza – powiedział spokojnie Snopczyk.

– Byłyby ślady na głowie.

– Niekoniecznie. Są różne metody. Nie mamy środków, aby wszystko zbadać w laboratorium.

– Znajdź środki, idź do waśniaków. Skoro pierwsza ofiara była z rodziny prezydenta, choćby dalekiej, będzie ci łatwiej.

– Nie mów mi, kurwa, co mam robić! Gdybym mógł, dawno bym miał wszystkie badania.

Podkomisarz zamknął na chwilę oczy.

– Przestań okazywać przy ludziach bezsilność i wściekłość. Taki masz zawód. Jeszcze nie jeden świr przed tobą – upomniał go Williams, widząc mocno zacisnięte usta kolegi.

– Mógłbyś się odpiardolić i skupić swoje talenty na profilu zabójcy? – Snopczyk machnął ręką zniecierpliwiony. – Przyjdzie tu ktoś wreszcie wyrwać te gwoździe z rąk ofiary?! – wrzasnął w kierunku ekipy i sięgnął po papierosa.

Pasztecik wyglądał na smakowity, więc Ultra, nie zważając na ostrzeżenia Kaja, postanowiła skonsumować go bez strachu.

– Pani Kazia chyba nie jest dziś w formie – po raz kolejny przestrzegł agent. Siedzieli w dużej eleganckiej stołówce agencji. Kaj był szczupłym blondynem o wąskiej twarzy bez zarostu, orlim nosie i poważnym spojrzeniu. Miał najwyżej trzydzieści lat i wbrew temu, co sugerowało pierwsze wrażenie, był jednym z najweselszych i najdowcipniejszych pracowników pułkownika Krentza. – Nie dasz się tak łatwo zastraszyć – uśmiechnął się, godząc z porażką.

– Jesteś stronniczy. – Pasztecik zniknął w ustach dziewczyny. – Bardzo fajne żarcie. A ty co dzisiaj jadłeś?

– Kotlet z indyka. Za życia ptaszysko musiało mieć końskie zdrowie, nikt tyle czasu nie żyje!

Ultra spojrzała na niego karcąco.

– Spróbuj żywić się na mieście, zobaczymy, co wtedy powiesz.

Kaj machnął ręką, uznając temat za zakończony.

– Jak ci się u nas podoba? – spytał, zaglądając jej dyskretnie za dekollet.

– Trochę dziko się jeszcze czuję, ale chyba jest fajnie.

– A Krentz?

– Rozmawiałam z nim parę razy. Tajemniczy gość.

– Pułkownik jest w porządku – zapewnił agent. – Trochę mrukliwy i sprawia wrażenie chłodnego, ale to pozory. Nie da tu nikogo skrzywdzić. Za krótko go znasz i dlatego ci się wydaje, że to taki „Mister lodówka”, ale zmienisz zdanie, zobaczysz.

– A zawodowo?

– Moim zdaniem, nie ma lepszego. Zresztą przekonasz się. To pupilek prezydenta. „Pierwszy” gada z nim częściej niż z własną żoną.

Dziewczyna zamilkła, analizując słowa Kaja.

– Nikt tu nie chodzi w mundurze? – spytała po chwili.

– Większość to wojskowi, ale teraz są w agencji, a tu mundurów już się nie nosi. Wiesz – uśmiechnął się – jesteśmy Jamesy Bondy.

– Jasne – rozbawiona Ultra pokiwała głową.

– Hej! Nowa! – usłyszeli od strony drzwi głos dyżurnego. – Do pułkownika!

– Wiesz coś o tym? – spytała na wszelki wypadek Kaja.

– Nie – agent rozłożył bezradnie ręce.

Dziewczyna wstała, wzięła pusty już talerz, zaniósła do okienka i wyszła ze stołówki.

Pułkownik Piotr Krentz siedział przy biurku i rozmawiał przez telefon. Kiedy otworzyły się drzwi, zaprosił Ultrę ruchem ręki do środka, wskazał jej krzesło i przez chwilę jeszcze tłumaczył coś przez telefon.

– Przecież mówiłem pani, że stół ma być prostokątny, brązowy i bez ozdób, a to... nie, proszę pani, nie chcę okrągłego... chyba wyraźnie mówiłem. Przywieźcie mi normalny mebel, a nie jakąś dekorację z budżetowego filmu o królu Arturze! Nie, nie chcę, abyście go piłowali... Chcę dostać to, co zamówiłem, do jutra!

Odłożył słuchawkę.

– Przepraszam, że musiałaś czekać – rzucił do Ultry. – Napijesz się czegoś?

– Nie, dziękuję – odparła, zaskoczona nieco jego uprzejmością.

– Jak ci się podoba w firmie?

– Jestem pod wrażeniem. Podporucznik Kaj zaznajomił mnie z większością spraw, które mogą mnie dotyczyć.

Krentz uważnie słuchał dziewczyny.

– No dobrze. Poznałaś już Sokratesa?

– Chodzi panu o oficera naukowego?

– Tak – uśmiechnął się Krentz, co nawet bardziej zdziwiło Ultrę niż szarmanckość, którą wykazał, przeprasząc za kłótnię przez telefon.

– Słyszałam tylko o nim.

– Może rzeczywiście z tym jeszcze poczekajmy, chyba że nie tak łatwo cię przestraszyć?

– Myślę, że nie łatwo.

– To dobrze – podsumował pułkownik. – Pomyślałem o tobie w związku z pewną robotą.

– O mnie? – spytała nieco głupkowato, ale szybko się opanowała.

– Coś nie tak?

– Jestem tu dopiero dwa tygodnie... uczę się.

– Wiem. Ale to akurat bardzo pasuje do ciebie. Potrzebna nam komunikatywna, atrakcyjna studentka... jak by to dobrze wyrazić... zaangażowana politycznie.

Ultra odpowiedziała mu pytającym spojrzeniem, choć włożyła sporo wysiłku, aby jej wyraz twarzy był jak najbardziej profesjonalny.

– Jesteś katoliczką, ateistką? – spytał Krentz.

– Agnostyczką.

– Rozumiem. A poglądy polityczne? Pytam oczywiście o prywatne poglądy, wybacz, ale w tym wypadku może to mieć znaczenie.

– Umiarkowany liberał.

– Dobrze. Przejrzyj te materiały – pułkownik podał jej brązową, dość obszerną teczkę. – Dotyczą tak zwanej Konserwatywnej Partii Polskich Patriotów. Niewielkiego ugrupowania politycznego działającego od półtora roku głównie na terenie Warszawy, ale nie tylko. Jej liderem jest Stanisław Korecki, skrajnie prawicowy ekstremista, znany z rasizmu, antysemityzmu i poglądów ksenofobicznych. Oczywiście nieoficjalnie. Oficjalnie partia działa na rzecz „oczyszczenia Polski z nieprawości i wypaczeń”. Z pozoru to tylko niegroźni krzykacze, ale mamy podstawy do podejrzeń, że działają także nielegalnie. Chodzi o zastraszanie działaczy organizacji żydowskich, czarnoskórych studentów i tak dalej.

– To jacyś skini – podsumowała Ultra, przeglądając pobieżnie teczkę.

– Niezupełnie. Co wiesz o prawdziwych skinach?

– To, co wszyscy.

– Czyli nic. Początki ruchów skinheadowych sięgają biedoty londyńskiej i młodzieży zbuntowanej przeciwko konsumpcjonizmowi i kulturze mieszczańskiej. Ich członkowie wyznawali ideały rastafarianizmu. Ręka w rękę szli z czarną kulturą rastafariańską, czerpiąc z niej całymi garściami. Ich drogi rozeszły się znacznie później. Poczytaj o tym – uśmiechnął się Krentz. – A chuligani i zwyrodnialcy, których laicy nazywają dziś skinami, z prawdziwym ruchem nie mają nic wspólnego.

– Na pewno poczytam – przytaknęła dziewczyna. – Od czego mam zacząć?

Krentz wstał, aby przejść się po gabinecie. Zrobił kilka kroków w tę i z powrotem, poprawił okulary i zatrzymał się, ale nie usiadł. Postukał przez chwilę palcami po blacie, jakby się jeszcze nad czymś zastanawiał, po czym wyjął z szuflady kolejną teczkę, tym razem bardzo cienką, i wręczył ją Ultrze.

– To jest artykuł, który jako pilna studentka, zbuntowana przeciwko wielu nieprawidłowościom i galopującemu, nieludzkiemu kapitalizmowi, napisałaś dla gazетки

„Nasze Jutro”.

– Skąd znam tę gazetkę?

– Poznałaś przypadkowo... i dostałaś egzemplarz od Edka Głińskiego – studenta trzeciego roku. Znasz go?

– Tylko z widzenia.

– Współpracuje z nami, ale to amator. Nie da sobie rady. Załatwia ci tylko wejście bez podejrzeń. „Nasze Jutro” to kilkustronicowe szmacidło, które rozprowadzają w swoim środowisku. Edek pozna cię z docent Grażyną Warachowiak, z którą ma stały kontakt. Dał jej artykuł, który „dostał” od ciebie.

– Warachowiak uczy pedagogiki specjalnej – przypomniała Ultra.

– Wiem, ale pani docent jest też aktywną działaczką partii. Ciebie nie zna, ty miałaś zajęcia z doktorem Szacem. Przeczytaj uważnie od dechy do dechy, co jest napisane w ostatnich trzech numerach, ale chwal się wiedzą tylko na temat ostatniego. Wszystko oczywiście jest w teczce. No i naucz się, o czym chyba nie muszę mówić, na pamięć „swojego” artykułu. Warachowiak pewnie już go przeczytała i jutro wezwie cię na rozmowę. Jeśli ją zainteresujesz, może zaprosi cię na zebranie partii, a o to nam chodzi. Jakies pytania?

Ultra przez chwilę siedziała zmieszana.

– Nawet nie wiem, od czego zacząć...

– Nie martw się. Po prostu wczuj się w rolę i staraj się mówić ich językiem. Dalej pójdzie ci jak z płatka. Wierzę w ciebie. Od dzisiaj stajesz się agentką do zadań specjalnych o pseudonimie „Ultra” – pułkownik powiedział to jakby nigdy nic, ale dziewczyna poczuła, jak żołądek podchodzi jej do gardła. – Gratuluję – uśmiechnął się na pożegnanie i podał jej rękę.

Ultra szybko uściśnęła dłoń szefa. Jej podniecenie i zdenerwowanie zauważyłby nawet Piłsudski na pomniku przy Belwederze, gdyby akurat tam teraz stała.

Krentz uspokoił ją wzrokiem.

– Będzie dobrze – rzekł cicho, ale ciepło i przyjaźnie. – Mam trochę doświadczenia i myślę, że nie mylę się co do ciebie. Wiesz... to taki głos wewnętrzny. Jak na amerykańskich filmach – dokończył wesoło.

ROZDZIAŁ 3

*Ależ ja jestem
To fakt
Gdzieś pomiędzy „co prawda”
To nie takie proste
być tak „co prawda”
ci którzy choć raz
byli tak „co prawda”
zrozumieją
ale nie Ona
bo Ją ktoś zaplanował.*

Wika – Dziennik, 16 maja

Oczy ma jeszcze zaklejone nocą. Za moment brzask spełni się w kolorach. Czuje piasek na skórze, zaciska dłonie, w nich jeszcze drzemie sen. Czeka na chwilę, kiedy słońce przypelznie jak służa, żeby umyć jej twarz. Dobrze pamiętam – pierwsza rzecz, jaką zrobiła po wejściu do tego pokoju, to zerwanie zasłon. To wtedy odebrała mi oddech, nie chce go oddać do dziś. Między połamami jej białej koszuli zgubiłam marzenia...

Nie używa budzika, twierdzi, że to zabójca poranka. Lubi delektować się chwilami. Mówi, że każda ma swój zapach i smak. Jeszcze tylko kilka minut. Chce odwlec rozstanie z miękkim kocem. Ścisza go mocno udami. Wyłuskana z ciepłego „wczoraj”, przyjmuje jeszcze chłodne „dzisiaj”.

Nareszcie przekrawa świetlistą Ciszę – krzykiem dodaje sobie animuszu.

Stoi przed szybą wyklutego świtu, z kubka paruje erva matę. Kontury dnia poprawiają się z każdym tykiem.

Okna... na takim blokowisku zamiast ludzi poznajemy... okna. Mówi im dzień

dobry i dobranoc. Uśmiecha się do nich, nie do mnie... ja zawsze jestem w tyle.

* * *

– Wstawisz wodę?! – krzyknęła ze swojego pokoju zaspanym głosem Ultra, siadając na łóżku.

– Wstawię, zaraz idę do kuchni! – Kroki Wiki dochodziły z okolic łazienki.

– Która godzina?

– Ósma!

– Cholera, spóźnię się na uczelnię! – Ultra zrzuciła z siebie kołdrę i szybko dopadła szafy z bielizną i ubraniami. – Nie mogłaś mnie wcześniej obudzić?! – burknęła przez drzwi z wyrzutem.

– Nic nie mówiłaś – odparła usprawiedliwiająco Wika. – Robię jajecznicę, zjesz?

– Jasne! – Ultra przetarła jeszcze raz oczy. – Tylko tym razem nie przesól.

Kiedy wtoczyła się niepewnym krokiem do łazienki, z kuchni dotarła do niej miła woń podsmażanej cebuli. Obmyła szybko twarz, sięgnęła po szczoteczkę i co najmniej dwie minuty poświęciła na czyszczenie zębów. Wysmarowała kremem nawilżającym twarz i pobiegła do kuchni. Na stole stygła już jajecznicza z pieczarkami i cebulą, Wika krzątała się jeszcze przy palnikach z gazem, nalewając herbatę.

– Może chcesz kawę? – spytała z uśmiechem.

– Nie, wystarczy herbata – odparła bez entuzjazmu Ultra. – Siadajmy już. O której idziesz na uczelnię?

– Zaraz, tak jak ty.

– Dasz mi przejrzeć ten album Sergeona?

– Nie przy śniadaniu, ubrudzi się.

Ultra podsunęła sobie krzesło, chwyciła widelec i zaczęła jeść.

– Dobrze – stwierdziła po chwili.

– A co ty myślisz?! – mruknęła z dumą Wika, przysiadając się do stołu. – Ja nie odwałam chałtury jak ty wczoraj z tymi kotletami.

– Nie przesadzaj, miały swój urok.

– Gorzej ze smakiem – prychnęła Wika.

– Świnia! – oburzyła się Ultra, rzucając w przyjaciółkę ścierką. – W ramach buntu nie zmywam dzisiaj.

Docent Grażyna Warachowiak nie była po prostu grubą kobietą. Była bardzo grubą kobietą. Zwykle krzesło, niestety, nie wystarczało, by mogła spokojnie i bez obawy spędzić na nim wykład. W związku z tym pan Józek, odpowiadający za stan techniczny ławek, krzeseł i wszelkich drewnianych sprzętów służących wydziałowi resocjalizacji, postanowił, że

wykona dla obszernej pani docent specjalne siedzisko, na którym mogłaby czuć się bezpiecznie. Na nim to właśnie siedziała teraz Warachowiak, przyglądając się Ultrze i co pewien czas wykrzywiając twarz w uśmiechu lub czymś, co ona, ale niekoniecznie wszyscy dookoła, za uśmiech uważała.

– Pani jest z piątego roku? – spytała uprzejmie.

– Tak – odparła Ultra.

– Dziękuję, że pani wpadła. Nasze spotkanie nie ma zbyt wiele wspólnego ze sprawami ściśle uczelnianymi. Spodobał mi się po prostu pani artykuł.

– Dziękuję.

Małe oczka docent Warachowiak badały uważnie każdy gest i ruch dziewczyny.

– Interesuje się pani polityką?

– Umiarkowanie, raczej dziennikarstwem.

– Celnie krytykuje pani przemiany, które nastąpiły w naszym kraju po Okrągłym Stole – stwierdziła Warachowiak.

– Ja raczej skupiałam się w tym artykule na perspektywach studenta kończącego uczelnię i jego szansach na godne życie – poprawiła dziewczyna.

– No właśnie – westchnęła pani docent. – Trudno nie zgodzić się z pani tezami. Właśnie ta dysproporcja między oczekiwaniami po obaleniu komunizmu a tym, co widzimy na ulicach, pchnęły mnie ku partii...

– Partii? – zręcznie udała zdziwienie agentka.

– Tak. Jest wiele partii, ale akurat ta, o której myślę, chyba by panią zainteresowała.

– Staram się, jak powiedziałam, raczej nie angażować w działalność partyjną – uśmiechnęła się Ultra.

– To, niestety, dziś dość powszechna postawa młodzieży inteligenckiej. Takie czasy. Ale właśnie dlatego, co zabrzmiało z pani punktu widzenia paradoksalnie, działać trzeba ze szczególnym zaangażowaniem. – Wyraz twarzy Warachowiak stał się dobroniosny. – Proszę mi zaufać, drogie dziecko, i wpaść choć na jedno spotkanie. Ma pani zdecydowane poglądy, a jeśli to, co tam moje koleżanki i koledzy będą mieli do powiedzenia, nie będzie pani odpowiadało, zawsze można wyjść.

Ultra, jak prawdziwa uczennica, zastanawiała się przez chwilę nad słowami nauczycielki. Potem programowo pozwoliła sobie jeszcze na kilka sekund ciszy i przystąpiła do delikatnego wejścia w temat.

– Tak po prostu mogę przyjść?

– Nooo, nie zapraszamy byle kogo – pokiwała profesorsko głową Warachowiak. – Wiele osób nie jest przygotowanych na prostą i często surową prawdę o naszym kraju, ale myślę, że pani możemy zaufać. Pan Edward Gliński jest podobnego zdania. To bardzo wartościowy, ideowy człowiek. Spotkanie za dwa dni, w środę o dwudziestej, tu ma pani adres – podsunęła jej wizytówkę.

Dziewczyna wzięła ją ostrożnie, jakby przejmowała od pani docent łaskę dynamitu, i schowała do kieszeni.

– Nie gryziemy i nie jesteśmy żadną sektą – roześmiała się Warachowiak.

– Oczywiście – przytaknęła nieśmiało Ultra. – Spróbuję wpaść. Czy muszę mieć jakieś pieniądze na składki, czy coś podobnego?

– Nie, nie. A już na pewno nie w tym momencie. Jest pani naszym gościem.

– Rozumiem. Wpadnę... znaczy się, spróbuję wpaść.

Kremowy, niewielki pałacyk na tyłach warszawskiego Nowego Świata służył za siedzibę kilku organizacjom i firmom, w większości o dziwnych i nieznanach szerzej nazwach. Na tablicy informacyjnej przy wejściu można było wyczytać, że na kolejnych piętrach zainteresowani mogą znaleźć siedzibę na przykład firmy farmaceutycznej Silapol, Stowarzyszenia Ochrony Niedźwiedzia Polskiego, Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Mozambickiej, redakcji miesięcznika „Kot Domowy” i między innymi zarządu głównego Konserwatywnej Partii Polskich Patriotów.

Ultra w okolicach pałacyku pojawiła się co najmniej pół godziny przed dwudziestą, aby dokładnie obejrzeć sobie otoczenie budynku. Dyskretnie, jak jej się wydawało, przyjrzała się także wchodzącym i wychodzącym, wreszcie sama wkroczyła do środka, badając ostrożnie teren, jak zdezorientowany turysta szukający odpowiedniej drogi.

Ożywiony wyjątkowym wieczorem cieć, chętny do pomocy każdemu, z nadzieją oczekiwał pytań od dziewczyny, przybierając odpowiednio reprezentacyjny wyraz twarzy. Wreszcie nie wytrzymał i sam zagadnął kręcącą się po głównym holu nieznajomą.

– Pani do górali czy do partii?

Ultra odwróciła się raptownie w jego stronę.

– Jakich górali?

– No, tych od ochrony niedźwiedzi. Tak ich tu nazywamy. Mają dziś zebranie, ale już trwa od pół godziny.

– Nie – zaprzeczyła nieśmiało dziewczyna. – Staram się dostać do siedziby KPPP.

Cieć spojrzał na zegarek.

– No, oni już też niedługo. Zbierają się, zbierają. Drugie piętro. Schodami lub windą.

– Dziękuję – rzuciła Ultra, wchodząc szybko na schody, mimo że portier z pewnością miał jej jeszcze sporo do przekazania na temat tego, w jaki sposób można dotrzeć do sali konferencyjnej numer sześć.

Na prawo od szerokich, eleganckich schodów zielony chodnik prowadził do brązowych drzwi, przed którymi stał stolik obłożony różnego rodzaju drukami. Uprzejmie uśmiechnięty mężczyzna w średnim wieku przywitał dziewczynę eleganckim ukłonem i gestem zaprosił, aby usiadła obok niego.

– Pani na zaproszenie docent Warachowiak? – spytał na wszelki wypadek.

– Tak – odparła Ultra.

– Zechce pani wypełnić naszą ankietkę?

– Ankietkę?

– Taki mamy zwyczaj. Goście dobrowolnie wypełniają ankietę, w ten sposób lepiej się poznajemy. Tu nie ma żadnych strasznych rzeczy.

– Może ankietka później – usłyszała za sobą zmęczony głos docent Warachowiak, która właśnie wysiadła z windy. – Zajmę się tym, Kazimierzu – zapewniła, obejmując przyjacielsko Ultrę.

– Zanim jednak pani wejdzie, muszę zapytać, czy jest pani polskiej narodowości? – nie rezygnował Kazimierz.

– Tak – przytaknęła Ultra.

– Czyli nie miała pani w rodzinie żadnych osób pochodzenia żydowskiego?

– Nie – odparła pewnie, jakby facet pytał ją o pogodę. – Nie mam w rodzinie takich osób.

– To tylko niewinne pytania – poklepała ją po plecach Warachowiak. – Piętro niżej pytają, czy nigdy nikt z obecnych nie był na polowaniu.

– Jakie to ma dla was znaczenie? – spytała Ultra, wchodząc do sali.

– Wiesz, dziecko, jesteśmy partią typowo polską. Obcokrajowców nasze problemy po prostu by nie zainteresowały. Szanujemy Francuzów, Anglików, Niemców czy osoby pochodzenia izraelskiego, ale to obcokrajowcy. A my tu omawiamy nasze sprawy – uśmiechnęła się dobrotliwie Warachowiak.

– Jasne. – Ultra zdobyła się na uśmiech i rozejrzała. Sala była duża i wysoka. Ogromny kryształowy żyrandol dodawał jej elegancji. Przy trzech równoległe do siebie ustawionych, bardzo długich stołach siedziało około czterdziestu osób. Na podwyższeniu, przy stole przydzielonym, kręciło się jeszcze kilka, ale wszyscy powoli już się sadowili. Pośrodku niewysoki, łysy człowieczek o surowym wyrazie twarzy zajął miejsce i czytał tekst z kartki, którą właśnie mu podano.

– To pan Stanisław Korecki – wyjaśniła Warachowiak. – Nasz przewodniczący. Muszę tam teraz iść i zostawić panią. Porozmawiamy po zakończeniu. Proszę się tu ulokować – wskazała miejsce przy stole najbliższym wejścia.

Ultra usiadła, spokojnie odprowadzając wzrokiem panią docent aż do stołu na podwyższeniu, a następnie podsunęła sobie krzesło. Obok, po prawej stronie, ujrzała plecy jakiegoś mężczyzny zawzięcie dyskutującego z sąsiadem. Facet nagle się odwrócił, gdy dostrzegł dziewczynę.

– Przepraszam – natychmiast zaprezentował szeroki uśmiech. – Kamil – przedstawił się i wyciągnął do niej rękę – Kamil Lechowicz.

– Emilia – odparła Ultra.

– Ładne imię – zauważył, lekko się kłaniając. Był niewiele starszy od niej i sprawiał wrażenie dość pewnego siebie. Jego uśmiech miał w sobie coś nie tylko uprzejmego, lecz i

uwodzicielskiego.

– Przystojny, ale zarozumiały – usłyszała nagle szept z drugiej strony. Dwudziestokilkuletnia brunetka z krótkimi włosami uśmiechała się do niej zawadiacko.

– Nie judź, Kaśka! – pogroził palcem koleżance Kamil. – Bo cię nie odwiozę i będziesz wracała do domu na piechotę.

– Twoja strata – prychnęła wesoło dziewczyna i pokazała mu język. – I tak jadę dzisiaj z Jędrkiem.

– Proszę państwa, proszę zajmować miejsca. – Kędzierzawy, tęgi jegomość stojący na podwyższeniu próbował uciszyć szmer na sali. Prócz niego i Stanisława Koreckiego znajdowało się tam jeszcze sześć osób.

– Teraz będzie poważnie – szepnął Kamil do ucha Ultry, powstrzymując się od śmiechu. – Pierwszy raz?

– Tak, zaprosiła mnie pani docent Warachowiak.

– Podziałasz trochę z nami?

– Na razie tylko patrzę.

– Chciałbym, drogie koleżanki i drodzy koledzy, przedstawić na początku plan obrad – zagrzmiał kędzierzawy. – Pierwszy punkt – omówienie protestu, który mamy zamiar przesłać do prezydenta w sprawie mniejszości niemieckiej na Mazurach, następnie przedyskutujemy ocenę naszej akcji z pierwszego maja, na koniec chcielibyśmy rozstrzygnąć sprawę organizacji naszej nowej komórki w Bydgoszczy. Na drugą część zebrania, którą planujemy za około półtorej godziny, zapraszam tylko stałych członków KPPP. Proszę, panie przewodniczący!

Stanisław Korecki wstał, uklonił się nieznacznie w kierunku zgromadzonych, wziął do ręki kartkę maszynopisu i w milczeniu rozejrzał się po sali.

– Teksty rozdane – szepnął cicho w jego stronę kędzierzawy.

– Szefowie wszystkich komisji mają przygotowany tekst przed sobą. Staraliśmy się zgodnie z uchwałą z poprzedniego zebrania zwrócić szczególną uwagę na ochronę polskich obywateli na tak zwanych byłych ziemiach niemieckich i groźbę przejęcia ich majątków przez obcokrajowców. Sytuacja staje się coraz bardziej niebezpieczna. Aby nie doszło do tragedii, musimy działać.

– Panie przewodniczący! – tubalny głos, należący do potężnego, brodatego sześćdziesięciolatka wypełnił salę. Mężczyzna podniósł się ciężko z krzesła, w rękę trzymając wydruk protestu. – Dlaczego działamy na tak małą skalę? Tylko prezydent?! A rząd? Parlament?

– Na rząd, niestety, nie możemy liczyć – odparł spokojnie Korecki. – Nie jest polski.

Ultra drgnęła. Spojrzała pytająco na siedzącą obok Kaśkę.

– Nie wiedziałaś? – uśmiechnęła się dziewczyna.

– Czego? – agentka zręcznie ukryła zaskoczenie.

– Premier jest Żydem. Korecki dawno już o tym mówił, tylko nikt go nie chciał słuchać. I teraz mamy za swoje.

– Ach tak... – przytaknęła Ultra.

– Precz z żydokomuną! – usłyszeli krzyk z lewej strony sali.

– Precz! – odpowiedziało mu kilkanaście głosów.

Kamil Lechowicz pokręcił z dezaprobatą głową.

– Starsi zawsze tak – machnął ręką, puszczając uwodzicielsko oko do Ultry. – Krzyczą jak oszołomy. Nie przejmuj się. Pogardlują i się uspokoją.

– Komunizm chyba już raczej upadł – zauważyła agentka.

– Oczywiście, że tak. Ale ci goście mają klapki na oczach i już ich nie zmienisz, Emilio. Będą fanatyczni i głośni.

– Jest pan zbyt umiarkowany panie przewodniczący – ciągnął potężny brodaty delegat. – Mówię to w imieniu członków naszej komórki z Woli. Nie powinniśmy protestować, ale żądać! Jesteśmy we własnym kraju! Mamy prawo czuć się bezpiecznie! Powinniśmy się również zwrócić z petycją o wybór polskiego premiera!

– Spokojnie, koledzy! – Korecki uniósł dłoń, aby uspokoić szmer na sali. – Nasz kraj, niestety, nie jest jeszcze w pełni wolny i instytucje państwowe nie są gotowe na przyjęcie tego typu petycji, a nasz protest powinien być sformułowany w sposób rozsądny i przynoszący jak najwięcej korzyści.

– Chwileczkę, jeśli mogę coś powiedzieć! – odezwała się nagle starsza kobieta, siedząca kilka krzeseł od Ultry. – Pochodzę ze starej rodziny kultywującej tradycje piłsudczykowskie. Idee wolnościowe nie podlegają dyskusji, a sprawy mniejszości narodowych powinno się uporządkować według dawno sprawdzonych praw. Czy państwo nie za bardzo wszystko komplikują?

– Rozumiem, co pani nam chce powiedzieć – Korecki zwrócił się teraz w jej stronę. – Pani jako nasz gość reprezentuje poglądy które szanujemy, tyle tylko, że nie są to poglądy Konserwatywnej Partii Patriotów Polskich. Ale dziękujemy za głos w dyskusji.

– Czy mogę kontynuować? – spytał brodac.

– Oczywiście, bardzo proszę – wskazał na niego ręką Korecki.

– Tak więc chciałbym poddać pod głosowanie nieco zmieniony tekst listu skierowanego do prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej. Czy mam przedstawić kolejne punkty, w których zaproponowaliśmy te zmiany?

– Jednak chyba w drugiej części zebrania – zdecydował przewodniczący. – Widzę, że sprawa jest bardziej skomplikowana. Proszę teraz o sprawozdanie z obchodów pierwszomajowych, a do tamtego tematu wrócimy za godzinę.

– Co się działo tego pierwszego maja? – spytała szeptem Ultra niemal do samego ucha Kamila.

– Kontrmanifestacja – odparł z konspiracyjnym uśmiechem. – Trochę posprzeczaaliśmy

się z postkomunistami.

– Pobiliście ich?

– Nie, no co ty? Bądź poważna! – Lechowicz rozejrzał się dookoła, czy nie są słyszani i czy nie przeszkadzają kolejnemu sprawozdawcy, który właśnie wstał i zaczął czytać swój raport. – Skini trochę narozrabiali.

– Słyszałam, że współpracują z waszą partią – zaryzykowała Ultra.

– To niepoważni ludzie... i niestety, trochę wstydlivy temat – przerwał na kilka sekund, jakby rozważał ważną myśl. – Czy nie wpadłabyś po zebraniu na małą kawę do kawiarni, tam moglibyśmy porozmawiać w trochę... dogodniejszych warunkach?

– Znamy się niecałą godzinę – skarciła go agentka, udając niewinną nieśmiałość.

– Czuję się w obowiązku wyjaśnić nieporozumienia nagromadzone wokół KPPP.

– Nieporozumienia nagromadzone wokół KPPP?

– Tylko polityka. Obiecuję.

Podkomisarz Ryszard Snopczyk siedział przy biurku, wpatrując się w zdjęcia ostatniej ofiary „Kubusia”. Było po dziesiątej wieczorem i na drugim piętrze komendy chyba tylko w jego pokoju paliło się światło. Kiedy Rudolf Williams zapukał do drzwi, Snopczyk od razu domyślił się, że to psycholog. Wiedział, że grubas dziś również miał zostać dłużej.

– To ty, Rudi? – spytał na wszelki wypadek, nie odrywając wzroku od zdjęć.

– Tak – mruknął Williams, wolno wtaczając się do gabinetu. – Sprzątaczką mi powiedziała, że jeszcze siedzisz.

Podkomisarz teraz dopiero odwrócił się w stronę kolegi.

– Oglądałeś dokładnie te zdjęcia? – spytał.

– Oczywiście, jak i wszystkie poprzednie. Po co głupio pytasz?

– Zwróciłeś uwagę na to, jak precyzyjnie rozmieszczone są rany?

– Tak. Kiedy przybijał ich do podłogi, byli z pewnością nieprzytomni. Możliwe nawet, że nie budzili się aż do śmierci, choć to mało prawdopodobne.

– Dlaczego?

Williams westchnął i usiadł na najbliższym krześle.

– On, moim zdaniem, czuje potrzebę kontaktu z ofiarą. Nie wstydzi się, jak wielu seryjnych morderców. Świadczy o tym jego spokój, precyzja, opanowanie i brak tak zwanych atrybutów obronnych i symboli naznaczających racjonalizację przesłanek wywołujących u niego lęki związane z kontaktem z osobą, której robi krzywdę.

– Mów jaśniej.

– Są zabójcy, którzy zawiązują ofiarom oczy lub nawet okaleczają je, oślepiając na różne sposoby. Zanotowano kilka przypadków, kiedy morderca zostawiał kawałki zbitego lustra na oczach nieżywych już ciał. Czasem „bezpieczeństwo” zapewniają im malunki na ścianach lub skórze ofiar, niekiedy zostawiają nawet ekskrementy przy zabitym, wyrażając w ten sposób

pogardę czy broniąc się przed wyimaginowaną oceną powstałą z tak zwanej jaźni odzwierciedlonej. Tutaj niczego takiego nie ma. Nasz „Kubuś” jest zimnokrwisty jak gad. Sprawia wrażenie kompletnie pozbawionego takich odczuć.

– Ten świr jest absolutnie bezlitosny i okrutny – dopowiedział Snopczyk.

– On tego tak nie odczuwa – zaprzeczył Rudi. – Moim zdaniem, to raczej kwestia odmiennego rozumienia empatii. Stworzył sobie swój świat odczuć, w którym istnieją inne prawa dotyczące bólu, cierpienia, miłości, nienawiści czy sensu życia oraz śmierci i według tych praw postępuje. Może mu się wydawać, że wcale nie krzywdzi ofiar, a na przykład je „wyzwala” albo daje im jakąś szansę. Może też odpowiadać sobie tymi morderstwami na różnego rodzaju pytania. Taki profil seryjnych morderców psychologowie nazywają „badaczami”.

– Na jakie, do cholery, pytania można dostać odpowiedzi, katując człowieka?!

– Na takie, które dotyczą najskrytszych lęków. Gajusz Juliusz Cezar, słynny cesarz rzymski, zwany popularnie Kaligulą, wiele z ofiar kazał mordować w swojej obecności, a umierających pytał, co czują, co widzą, do samego końca agonii. Badał śmierć, panie komisarzu. Tajemnicę, której wszyscy lękamy się najbardziej – uśmiechnął się smutno Williams. – Nawiasem mówiąc, najprawdopodobniej miał bardzo ciężką schizofrenię paranoidalną.

Snopczyk sięgnął po papierosa.

– Zapalisz?

– Nie, dzięki.

– Nie masz chyba racji do końca z tymi symbolami. Ta krew na ścianach, jakby malował jakiś makabryczny obraz abstrakcyjny, zawsze ten sam układ ran. Cios w serce, podcięta tętnica szyjna, gwoździe w nadgarstkach...

– To trochę co innego – upierał się Rudi. – Zauważ, że krew rozlewana jest zawsze na czymś białym, najczęściej na ścianach. Ale w domu nauczycielki, gdzie ściany były żółte i jasnobrązowe, oblał krwią biały sufit. Z jakiegoś powodu nie lubi bieli.

– Biel to nie kolor.

– Słucham?

– Mówię, że biel to nie kolor, tylko mieszanka barw widma.

– Wiem, ale tutaj dopatrywałbym się raczej źródeł w jego erudycji. W wielu kulturach biały to kolor śmierci, na przykład w wierzeniach Dalekiego Wschodu. Może to rodzaj rytuału, ale niewynikającego chyba z lęku przed ofiarą, raczej z poczucia przywiązania do jakiegoś systemu zwyczajów czy obrzędów. To skomplikowana szarada, Rysiu, trochę potrwa, zanim ją rozwiążemy.

– Trochę mi się śpieszy – mruknął rozdrażniony Snopczyk.

– Wiem – westchnął Rudi, podnosząc się z krzesła. – Pogadamy jeszcze jutro. Idź się prześpij.

– Za chwilę, nie czekaj na mnie.

– Jak chcesz. – Williams wzruszył ramionami i wyszedł z pokoju.

Podkomisarz wziął ponownie do ręki jedną z fotografii.

– Czego ty chcesz? – spytał zdjęcia, jakby widniał na nim „Kubuś”. – Czego ty od nich chcesz?!

Wika – Dziennik, 18 maja

Spacer. Ten czerwony ludzik stoi na baczność. Kiedy byłam dzieckiem, stałam tak jak on. Jeden pas, drugi... Obok mnie idzie tłum, jak zielone ludziki – raz, dwa, trzy, cztery. Śmierdzą niedomocy, ich myśli kroczą, czarnymi skrzydłami uderzają mnie w twarz. Zniewagi jedna za drugą – wiem, że się na mnie gapią.

Staruch z laską myśli, że jak przeżył tyle lat, to ma prawo mnie osądzać. A tak naprawdę przez całe życie był nikim – nie kochał swojej żony, a na dzieciach wyładowywał wszystkie swoje frustracje. Najbardziej odpowiedzialna rzecz, jaką zrobił, to wymienienie żarówki w kiblku, po ciemku nie potrafił się nawet wysrać. Teraz jest obłądnie sam, czuje się skrzywdzony i opuszczony. I wszystkiemu jest winna ta okropna młodzież. Ta kobieta ma na sobie jakieś pięć tysięcy złotych, jest taaak wartościowa. Chowa się za odorem kosztownych perfum i butów od „Bianca”. Poluje jak hiena, nieważne, czy będzie miał tłuste paluchy, czy za chudą szyję, ważne, żeby miał szmal. Może nawet jeśli będzie miał kupę szmalu, to ta lafirynda wyda ze swojego anorektycznego łona jakiegoś bękarta. On w przyszłości, z brzuchem napchanym bananami, zaćpa się na śmierć.

Lawiruję pomiędzy płytami chodnika, trafiam dokładnie, nigdy na granicę, zawsze w sam środek. Łapy stawiam miękko i pewnie, jedna za drugą. Wylapuję każdy promień światła, refleks odbity od liścia... podobno zieleń ma wiele odcieni, ale jakie to ma znaczenie? Czuję skurcz. Żrenice mam zwężone, dziś nie będzie polowania.

Pochylam głowę, tego miejsca nie lubię najbardziej. Mijają mnie witryny, nie chcę, ale widzę – Moje Odbicie. Stawiam za duże kroki, ciotka mi zawsze powtarzała, że chodzę jak chłop przez skiby. Głowa schowana między ramionami i te ręce – dyndają jak u popsutej lalki. Uciekam na drugą stronę jezdni.

Dookoła bloki, wczesny socjalizm – duże okna i jeszcze grube mury, zanim nas wsadzili do tych pudełek, mieli całkiem niezłe pomysły. Raz, dwa, trzy, cztery okna – nowe z brązowymi ramami. Trzy pokoje z kuchnią. Standardzik – jeden dla dziecka, jeden to salon i jeden sypialnia... ile łez w poduszce tej po prawej stronie, ile spermy w materacu po lewej i papierosy schowane w skrzynce z licznikami. W przedpokoju

już dawno zdarta boazeria, wielkie szafy wnękowe z lustrami, które ona klnie przy każdym sprzątaniu. Jeśli są „nowocześni”, otworzyli przestrzeń – kuchnia połączona z salonem, obok łazienka – czasem gacie śmierdzą im smażonymi kotletami. Obok dwa okna z obdrapanymi, czarnymi od brudu framugami. Zasyfione matowe szyby, zamiast zasłon szmaty. Sąsiedzi pewnie klną rozłazące się stąd przewodami wentylacyjnymi karaluchy, fedyni wierni, bezinteresowni towarzysze biedy. Ciekawe, kto czeka na śmierć właścicielki. Pewnie jakaś wnusia – dziś nie pamięta, gdzie mieszka stara. Jutro, jak tylko babcię wyniosą nogami do przodu, będzie w dziurawych skarpetkach i śmierdzących majtach szukać skitranych, pachnących jeszcze farbą banknotów.

Wchodzę do parku. Wielkowiejska namiastka natury, karykatura lasu. Przepelnione śmietniki rzygają niedzielnymi odpadkami z imprez. Skacowane twarze przemykają w cieniu, śpieszą się, żeby jak najszybciej zacząć pracę, a potem skończyć. Może w ten weekend uda mi się wyciągnąć Rundi do lasu. Tęsknię za miękką trawą i zapachem drzew.

WIERSZ...

Dziś w metrze zobaczyłam
nie tylko
niedopięte suwaki
poplamione plecaki
panią z dużym nosem
kurtki z troczkami
torby skórzane
koszule z zeszłego poniedziałku
zgubiony szalik

Dziś w metrze
wszyscy mieli
białe skrzydła
i strasznie się tego bali.

* * *

Wika odłożyła *Dziennik*. Zerknęła na zegarek i zaniepokojona pokręciła głową.
– Miałaś wracać przed jedenastą, Rundi – mruknęła do siebie. – Mogłabyś chociaż zadzwonić.

Wstała z krzesła i poszła do kuchni. Wstawiła wodę na herbatę i zamknęła oczy, aby chwilę pomedytować.

– Wszyscy mieli białe skrzydła... – szepnęła, składając dłonie jak do modlitwy.

– Jak ci się podobało? – spytał Kamil Lechowicz, przełykając kawałek sernika.

– Nudno nie było – odparła Ultra.

Siedzieli w kawiarni „Marika” przy dwuosobowym stoliku. Ziewający kelner snuł się po lokalu, pytając zmęczonym wzrokiem klientów, czy mają, co trzeba. Na ich stoliku stało już ciastko, kawa dla Lechowicza i sok pomidorowy Ultry.

– Pytam poważnie – nalegał Kamil.

– Trudno powiedzieć. Do tej pory starałam się trzymać z dala od polityki. Namówiła mnie nauczycielka akademicka z mojego wydziału.

– Wiem, ja też czytałem twój artykuł – oznajmił tryumfalnie Lechowicz. – Emilia Słomska: *Niepokoje młodzieży akademickiej po upadku komunizmu*. Raczej nie owijasz tam w bawełnę.

– To mój pseudonim artystyczny – roześmiała się Ultra.

– To nie jest twoje prawdziwe nazwisko?

– Nie.

– A jak masz naprawdę na imię?

– Nie lubię swojego prawdziwego imienia. W domu rodzice i dziadek wołali na mnie Emilia, po babci.

– Niech ci będzie – machnął ręką.

Dziewczyna zatrzymała wzrok na jego twarzy.

– Tobie też, tak jak twoim kolegom, zdarza się wrzeszczeć „precz z żydokomuną” i biegać z bejsbolami za postkomunistami?

– Nie – roześmiał się Lechowicz. – Nie lubię ich, ale nie znam się na biciu ludzi.

– Co sądzisz o premierze? – spytała ostrożnie, zachowując obojętny wyraz twarzy.

– Zszokowało cię, że szef nie uważa go za Polaka?

– Nie wiem, czy zszokowało, nie wiedziałam, że jest Żydem.

Kamil przytaknął głową, jakby rozumiał i odgadywał jej wątpliwości.

– To skrót myślowy, do którego u nas w partii się przyzwyczailiśmy. Oczywiście, że on ma obywatelstwo polskie, mówi po polsku i tu się urodził. Nie mam zupełnie nic przeciwko niemu. Ale widzisz... naród żydowski jest niezwykle spójny, świadomy własnych korzeni i bardzo wewnętrznie związany. Podziwiam ich za to. Tyle tylko, że ja jestem Polakiem. Pomyśl, jeśli naszym premierem byłby Anglik czy Francuz... Czyich interesów w sytuacjach ekstremalnych broniłby najsilniej? Polaków?

– To na pewno to samo?

– Żyd, Niemiec, Francuz – to narodowości. Żydzi mają własne państwo. U nas są

mniejszością. Uważam, że rządzić moim krajem nie powinien nikt pochodzący z mniejszości, tylko Polak. To chyba nic złego. To nie rasizm. Niczego im nie zarzucam, nie uważam za podludzi, nie szerzę hitlerowskich poglądów. Jestem tylko za tym, aby we Francji rządili Francuzi, w Izraelu – Żydzi, w Polsce – Polacy. To chyba nic złego?

Ultra uśmiechnęła się do niego tajemniczo.

– Może rzeczywiście jest w tym coś, co mówisz. Ja po prostu nigdy nie słyszałam, żeby premier przyznawał się do tego, że jest pochodzenia żydowskiego. Skąd o tym wiecie?

– Jest na to kilka dowodów. W naszej partii paru kolegów interesuje się takimi rzeczami i potrafią zdobywać te dowody. Jeśli będziesz kiedyś ciekawa, pokażemy ci, co trzeba.

Ultra sięgnęła po sok.

– Nie wyglądasz na agresywnego, prawicowego polityka – przyznała, udając rozbawioną.

– Nie jestem agresywny. Nie uważam się też za polityka. Po prostu kiedyś, podobnie jak ciebie, przyprowadzono mnie na zebranie i zostałem. Moim zdaniem, komunizm zniszczył nasz wielowiekowy dorobek kulturalny i intelektualny. Wyrobił nieuczciwą i korupcyjną obyczajowość. Obalił i zbezczeszczył prawdziwie godne patriotyczne postawy i autorytety. Jesteśmy teraz głusi i ślepi, a ja chciałbym żyć w zdrowym kraju, stąd dość daleko mi do lewicy, ale nie jestem oszołomem, Emilio. – Kamil zajrzał jej w oczy, jakby była Ewą, która właśnie podała mu rajskie jabłko.

– Nie mówiłam, że jesteś oszołomem. A agresywni politycy w wielu kręgach odnoszą sukcesy i niekoniecznie musi to oznaczać coś złego. Piłsudski był jednym z najbardziej agresywnych, a jednocześnie najbardziej szanowanych mężów stanu – zakończyła dość oficjalnie i patetycznie.

– Polacy go kochają do dziś, bo to lewicowiec. Wciąż jesteśmy narodem lewicowców. Prawica stale nieufnie jest traktowana przez wyborców. Nie umiemy zrozumieć prawdziwej wolności, która w prosty sposób oznacza niezależność i samodzielność.

– A nie obilo ci się o uszy, że Piłsudski „wysiadł z czerwonego tramwaju na przystanku Wolność”?

– Emilio... – zachnął się Lechowicz. – Wyrastał z takiej tradycji, sama to zresztą rozumiesz, wyczytałem to w twoim artykule. Z tego tekstu bije czystą, zdrową prawicą, choć odnoszę wrażenie, że sama nie zdajesz sobie z tego sprawy. Nie zachowuj się, jakbyś wykleiła sobie ściany w domu „Gazetą Wyborczą”. – Kamil pokręcił głową. – Nie ulegaj popularnej propagandzie, zajrzyj głęboko w siebie, a będziesz wiedziała, co słuszne. Nie zamierzam ci tu prawić morałów ani zgrywać się na agitatora, ale czuję, że nadajesz się na jedną z nas. Przemyśl to.

Ultra wzięła głęboki oddech, aby zdobyć się na szeroki uśmiech.

– Jasne – odparła spokojnie. – Jest dość późno, będę musiała zaraz lecieć.

– Masz samochód?

– Tak – sięgnęła po portmonetkę.

– Nie, nie – powstrzymał ją Kamil. – Ja zapraszam.
– To miło z twojej strony. – Dziewczyna z ociąganiem włożyła pieniądze z powrotem do torebki.

– Wpadniesz jeszcze do nas?

– Możliwe.

– Poczekaj... – Lechowicz delikatnie dotknął jej dłoni. – To tylko polityka, nie przejmuj się tak bardzo.

– Nie przejmuję się. – Ultra cofnęła rękę. – Masz bardzo ciekawe poglądy, choć przyznam, że dla mnie dość egzotyczne.

– Z trudem, ale jednak potraktuję to jako komplement. Mam propozycję...

– Muszę już iść.

– Rozważ ją. W sobotę jadę do pałacyku moich rodziców. Kilka lat temu kupili mały dworek i wyremontowali. Jest tam teraz bardzo przyjemnie. Zapraszam cię na weekend. Będą rodzice, moja siostra. Tam porozmawiamy sobie spokojnie, wypoczniesz.

Ultra roześmiała się zaskoczona tym, co powiedział.

– Kamil, jesteś przemiłym facetem, ale znamy się zaledwie od kilku godzin!

– Jesteś już właściwie moją koleżanką z partii, wiesz, ilu członków KPPP było w tym dworku? Chciałbym ci się pochwalić.

– Słuchaj...

– Wiem, że to wygląda na podryw, jesteś atrakcyjna, nie ukrywam, ale przysięgam, nie mam złych zamiarów. Jeśli tylko poczujesz, że ci się tam nie podoba, natychmiast odwieziemy cię do domu.

Ultra odczekała przepisowe kilkanaście sekund.

– No dobrze, zastanowię się.

– Tu jest mój telefon – szybko podał jej wizytówkę.

– Do widzenia, dziękuję za miły wieczór.

– Zadzwonisz?

– Zadzwonię.

Kiedy skrzypnęły drzwi, Wika siedziała w koszuli nocnej na łóżku. Usłyszała, jak Ultra zdejmuje kurtkę i wchodzi do swojego pokoju. Zaczekała chwilę, wstała, przeszła przez przedpokój i zapukała do jej drzwi.

– Nie śpisz? – spytała, nie wchodząc do środka.

– Nie.

Wika nacisnęła klamkę. Zobaczyła przyjaciółkę zdejmującą spodnie.

– Późno wróciłaś – powiedziała z delikatnym wyrzutem.

– Przepraszam, że nie zadzwoniłam. Ktoś po prostu zaprosił mnie na kawę.

– Chłopak?

– No... powiedzmy. Nowy kolega. Moja nauczycielka akademicka namówiła mnie, abym przyszła na zebranie pewnej partii. Tam go poznałam.

– Ty i polityka?

– Z ciekawości poszłam.

– Przystojny ten facet?

– Bardzo, ale spokojnie, to tylko kolega.

– Fajne masz te stringi – zauważyła Wika.

Ultra zsunęła majtki i rzuciła je na podłogę. Sięgnęła po koszulę nocną.

– Jeszcze raz przepraszam, że się spóźniłam – przyznała z żalem.

Wika podeszła i przytuliła się do niej mocno.

– Denerwowałam się, Emilia.

– Nazwałaś mnie po imieniu... – zdziwiła się dziewczyna, ale również przytuliła ją i pocałowała w policzek. Wyczuła przyśpieszony oddech przyjaciółki. – Źle się czujesz?

– Nie. – Wika nagle przywarła do jej ust. Pocałowała ją kilkakrotnie i wypuściła z objęcia, aby spojrzeć w oczy.

Ultra stała zdezorientowana z koszulą nocną w dłoni, patrząc trochę bezradnie i próbując odgadnąć, czy chodzi rzeczywiście o to, co podejrzewała.

– Ty ze mną tak nigdy... – zaczęła, ale Wika pogładziła jej policzek, a następnie ponownie objęła i mocno pocałowała.

Ultra nie broniła się i zamknęła oczy. Po chwili, gdy dziewczyna wypuściła ją z uścisku, usiadła powoli na swoim łóżku. Przez moment milczała, po czym spojrzała w górę, aby poszukać jakiejś odpowiedzi.

– Ja tak nie umiem... Wika – szepnęła cicho.

– Skąd wiesz?

– Pierwszy raz pocałowała mnie w ten sposób kobieta.

– Ja też po raz pierwszy całowałam kobietę. Do tej pory tylko chłopcy.

– Co więc się stało?

– Nie wiem, potrzebowałam tego. Chciałam. Podnieciło mnie to.

Ponownie nastąpiła cisza. Ultra wolno pokręciła głową.

– Wiesz, że jesteśmy przyjaciółkami, ale tak się zachowywać potrafię tylko w stosunku do mężczyzn. Przepraszam...

– Jesteś pewna? – Wika uniosła brwi, zajrzała w oczy dziewczynie i wolno wyszła z pokoju.

* * *

– To wszystko? – spytał pułkownik Piotr Krentz zza biurka, kończąc czytać raport Ultry.

– Tak jest! – odpowiedziała szybko dziewczyna.

– A więc nawiązałaś kontakt z niejakim Kamilem Lechowiczem...

Do pokoju wszedł major Krzysztof Bauer, zastępca Krentza.

– Major specjalnie badał tę sprawę – wyjaśnił pułkownik. Bauer, jak zwykle świeży, uśmiechnięty i zadbany, podał rękę dziewczynie i usiadł na kanapie.

– Jak podobało się zebranie? – spytał z przekąsem.

– To świry, panie majorze – odparła szybko Ultra. – Przepraszam...

– Nie szkodzi – rozpogodził się Krentz. – Jeśli twój raport jest prawidłowy, ci goście rzeczywiście żyją w zupełnie innym świecie.

– Większość oszołomów w naszym kraju nie jest groźna – zauważył major.

– To dlaczego się tym zajmujemy? – spytała śmiało agentka.

Oficerowie spojrzeli na siebie porozumiewawczo, po czym pułkownik sięgnął do szuflady i podał dziewczynie dużą szarą kopertę.

– Przejrzyj to – rozkazał. – To raporty z aktów przemocy na Żydach, Cyganach i cudzoziemcach z ostatnich dwóch tygodni.

– Pan Jakub Kronic – przejął pałeczkę Bauer – polski obywatel pochodzenia i wyznania żydowskiego, właściciel dużego sklepu jubilerskiego. Ciężko pobity wraz z rodziną. Zastraszony od ponad pół roku.

– Przez kogo? Czego od niego chcą? – spytała Ultra.

– Chcą, żeby sprzedał sklep i wyjechał. A kto? No tego właśnie chcemy się dowiedzieć. Ale to ci sami, którzy podobnie postąpili z Emanuelem Karibu – czarnoskórym studentem politechniki, jego kolegą Akimem Zabadim i z wieloma rodzinami polskich Romów. To teczka, jak wspomniał pułkownik, tylko z dwóch ostatnich tygodni. Podejrzewamy twoich nowych kolegów partyjnych, dlatego tam jesteś.

– Wszystkie drogi prowadzą właśnie do KPPP – dodał Krentz. – Ale nie mamy dowodów ani nawet nie wiemy, kto wydaje tam takie rozkazy. To nie zwykli skini, jak mówiłaś. To regularne bojówki rasistowskie.

– Na zebraniu o niczym takim nie było mowy, a starcie pierwszego maja z, jak to nazywają, „czerwonym pochodem”, uznali za błąd.

– Bo dali się sprowokować i niepotrzebnie zwrócili na siebie uwagę – wyjaśnił Bauer. – Zresztą zanim zaproszą cię na „prawdziwe” zebranie partii, minie trochę czasu.

– Ten Kamil... – zaczęła Ultra. – To bardzo miły chłopak. Wygląda na rozsądnego.

– Kamil Lechowicz, w zeszłym roku ukończył wydział historii – wyrecytował Bauer. – Bardzo zdolny, inteligentny. Pochodzi z bogatej rodziny. Na uczelni odbierany był jako szczególnie wrażliwy młody człowiek o umiarkowane prawicowych poglądach.

– Według mnie to szara eminencja młodych z KPPP – stwierdził Krentz.

– Mnie też tak się wydaje – zgodził się Bauer. – Jak myślisz, spodobałaś mu się? – zwrócił się do Ultry.

– Chyba tak.

- Podrywał cię?
- Delikatnie. Zaprosił mnie do dworku swoich rodziców.
- Uuu, szybki – roześmiał się major. – I co odpowiedziałaś?
- Że się zastanowię.
- Bardzo dobrze. To już się zastanowiłaś, pojedziesz tam.
- Czy to rozkaz?
- Tak. Taki nieprzyjemny?
- Nie wiem, zorientuję się – uśmiechnęła się dziewczyna.
- Kiedy jedziecie?
- W sobotę.
- Weź ze sobą koleżankę, z którą mieszkasz, to cię trochę osłoni.
- Nie przesadzasz? – wtrącił Krentz.
- Myślę, że to dobry pomysł. Co ty na to, Ultra?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

Bauer puścił do niej oko.

– Doskonale. Postaraj się, aby po powrocie szalał za tobą z miłości.

– Daj jej spokój, i tak jest zaaferowana pierwszą robotą. – Krentz zauważył, jak policzki dziewczyny robią się coraz bardziej czerwone.

– Mogę iść? – spytała Ultra.

– Tak, jesteś wolna – skinął głową pułkownik.

Po jej wyjściu Bauer wstał i przeszedł się po gabinecie, wyraźnie nad czymś się zastanawiając.

– No co jest? – spytał niecierpliwie Krentz.

– Myślisz, że ona rzeczywiście się nadaje do tej roboty?

– Tak myślę. Jest dobra.

– To grzeczna dziewczynka, w dodatku trochę sztywna. Nam potrzebna taka jak Sil od Maliniaka.

– Nie masz racji, przyjacielu. – Pułkownik odwrócił się w stronę okna. – Potrzebna nam właśnie taka jak ona.

Wika – Dziennik, 20 maja

ODRZUCENIE. To ciekawe, jeden wyraz, a tyle elementów – przebrzmiewa, ma zapach, zawsze wygląda, smakuje, maca i daje się dotknąć, i w końcu znaczy. Słowo jest jak panna młoda – nigdy nie jest niewinne. A akurat to bębni mi w głowie. Zawładnęło każdym centymetrem mojego ciała i kłuje raz w rękę, raz w brzuch, czasem w policzek... jak myślisz, co się stanie, kiedy ukłuje mnie w serce?

Ogromne fioletowe chmury gromadzą się właśnie gdzieś nade mną, nad Tobą pewnie też i nad sąsiadem spod pięćdziesiątki. Tak jakby się umówiły, Zebranie Pierzastych, Ponurych...

Rozesłały zaproszenia. Dostałam jedno na dwie osoby... Wiem, nie pójdziesz ze mną. Trudno. Będę grzmieć z burzą sama. Zawsze o tym marzyłam, być choć przez krótką chwilę deszczem. Wiosennym, tym, który robi bąbelki na kałużach... tym, który pachnie jak sen niemowlaka, tym, który przyprawia Cię o zawrót głowy. Pamiętasz tydzień temu, kiedy wracaliśmy do domu, przemokliśmy. Chlapało nam w butach, mokre włosy oblepiały Ci twarz, a Ty rozłożyłaś ramiona i powiedziałaś, że będziesz musiała wysuszyć... skrzydła. Cały czas czuję zapach piór... Niechciany dotyk, Aniele, jedna kropla goryczy, jedna kropla słodyczy – jak jing-jiang. Tyka we mnie szklana, czarno-biała kula. Ktoś zawiesił ją i przywiązał czerwoną wstążką do skołatanej duszy. Ciężka jest. Dzisiaj wszystko jest miarowe. Oddech – Zegar – Serce. Wdycham Czas Bez Ciebie – proszę, daj mi wytchnąć, uduszę się, jeśli znikniesz.

Co będzie jutro?

Czy ktoś zapłaci za moją modlitwę? Moje łzy, warte trzydzieści srebrników, spłyną znów krwią po dębowej podłodze...

A potem znów wstanie niewyspane słońce, zliże mi z twarzy makijaż brata śmierci, źrenice się zwężą, a majaki zwiną materac i odbiegną w siedmiomilowych butach. I nic się nie zmieni, zostanie strach i te pytania bez odpowiedzi.

wbrew Tobie
niespodziewanie
wrócił do mnie
mój piękny sen
nie ruszyłaś
nawet ręką
żeby odkryć
puchową koldrę
uzbrojona po zęby
zagryzasz wargi
pachniesz krwią
jak tchórz
a ja znowu
chodzę po chmurach
trzymając się za rękę
z Diabłem

ROZDZIAŁ 4

Żwir i niewielkie kamienie uderzały o spód samochodu. Za oknami wysokie trawy sięgały okien. Ultra z nosem przyklejonym do szyby podziwiała ogromną łąkę, przez którą jechali.

– Aż dziwne, że w naszym zepsutym świecie pozostało jeszcze kilka takich miejsc jak to, nie sądzicie? – Kamil oderwał się na chwilę od przedniej szyby, aby spojrzeć na Wikę i Ultrę.

– Uważaj na drogę! – zwróciła mu uwagę Agnieszka Lechowicz, jego siostra siedząca na przednim fotelu obok kierowcy.

Nierównomiernie zielona plama łąki biegła wysokimi trawami niemal pod horyzont, gdzie kończył ją las, doskonale z samochodu widoczny i kołyszący się na wietrze niczym ciemna kurtyna, o nierównych konturach, zakończona spiczastymi wierzchołkami drzew, na tle rzadkich tego dnia chmur. Było późne popołudnie, ale słońce, choć zachodziło powoli ku ścianie lasu i blisko już było czubków sosen, świeciło jeszcze rażno, oślepiając pasażerów dużego volva combi, a nawet trochę przeszkadzało prowadzić Kamilowi.

Wika wyjęła swój zeszyt, w którym rysowała, a czasem pisała krótkie wiersze. Nie było tam nawet fragmentów dziennika, więc często pokazywała go Ultrze, domagając się, aby oceniła jej nowe osiągnięcia artystyczne. Teraz jednak rysowała ołówkiem bezkresną łąkę z wyimaginowanymi, dziwnymi zwierzętami, bardziej przypominającymi groźne wytwory wyobraźni malarzy fantasy niż cokolwiek, co mogłoby się tu kiedykolwiek pojawić. Nie przeszkadzało jej trzęsienie samochodu ani rozmowy, w których zresztą, jak tylko było to możliwe, nie uczestniczyła. Ultra nie musiała jej długo namawiać na taką wycieczkę, dawno już chciała wyrwać się z miasta i wypocząć gdzieś w górach lub na wsi, chodząc na długie spacerunki po łąkach albo lesie. O tym, co zdarzyło się wieczorem, kiedy Ultra wróciła z zebrania, na razie nie rozmawiały, ale w ich stosunkach bardzo niewiele się zmieniło. Obie starały się traktować nawzajem tak, jakby nic się nie stało.

– Już niedaleko – rzucił przez ramię Kamil.

Wika odpowiedziała mu uprzejmym uśmiechem, nie przerywając rysowania, ale Ultra wyjrzała zza ramienia Agnieszki, aby obserwować, co dzieje się za przednią szybą.

Dojeżdżali do niewielkiego jeziora, nad którym znajdował się biało-brązowy dworek. Do jeziora, a właściwie stawu, prowadziła od drzwi frontowych stumetrowa ścieżka

wyłożona z dwóch stron zdobiacymi ją bialo-czarnymi kamieniami. Od frontu domu widać bylo cztery biale kolumny, po dwie z kazdej strony wejścia, oraz cztery brązoworamienne okna. Kolumny wspieraly znajdujacy sie na pierwszym pietrze balkon, osloniety z gory spadzistym dachem. Biale, zadbane sciany tworzyly klasyczny i swojski kontrast z brązowymi dachówkami i ramami okien, a calosc wieńczyły nieduże, ale fikuśne dwa kominy.

Samochód zajechal przed wejście i sie zatrzymal. W drzwiach dosłownie przed kilkunastoma sekundami pojawila sie elegancka pięćdziesięciolatka i niewiele od niej starszy, szpakowaty pan w stroju myśliwskim.

– To nasi rodzice – zawiadomil pasazerów Kamil.

Wika dopiero teraz oderwala sie od rysowania.

Lechowicz wyskoczyl szybko z samochodu i otworzyl dziewczynom uprzejmie tylne drzwi. Agnieszka wygramolila sie sama, z ulga konczac podroz. Podeszla szybko do rodziców, cmokajac ich przepisowo, i zniknela w srodku.

Wika i Ultra staly przez chwile przy samochodzie, rozgladajac sie dookolą, wreszcie na znak Kamila zblizyly sie do obojga gospodarzy, ktorzy przywitani ich uprzejmie i cieplo.

– Nazywam sie Stanislaw Lechowicz, to jest moja zona Zofia – przedstawil siebie i malzonke wlasciciel dworku. – Syn pokaże paniom pokoje.

– Chca spac w jednym pokoju – powiadomil wesoło Kamil.

– W takim razie zaprosz obie panie do „zielonego”.

Chlopak skinal glową i dal znak dziewczynom, aby poszly za nim.

– Na dole jest duza jadalnia, salon i sypialnia rodziców – wyjasnil, kierujac sie w strone schodów. – Na gorze sa cztery pokoje. Dwa dla mnie i siostry i dwa gošcinne.

– W tym „zielonym” pokoju zmiescimy sie obie? – spytala Ultra.

– Jest przystosowany nawet dla trzech osob, ale mozece zajac oba wolne...

– Nie, nie. Damy sobie rade – uspokoila Wika.

– Odpocznijcie, rozgošcie sie i za pol godziny zejdzcie na obiad... znaczy sie, obiadokolacje – usmiechnal sie od ucha do ucha.

– Slyszalem, ze obie panie studiuja – podjal temat gospodarz domu, wycierajac serwetka usta.

– Daj im spokojnie zjesc, tato – usmiechnal sie Kamil. – Inaczej nie pochwalą kuchni mamy.

Siedzieli przy duzym okraglym stole, bogato zastawionym jedzeniem.

– Jestem na piątym roku resocjalizacji – odpowiedziala uprzejmie Ultra.

– Weterynaria, rowniez piaty rok – dodala Wika, niespecjalnie zainteresowana dotychczasowa rozmowa.

Pan Stanislaw podniosl swój kieliszek wina.

– Życzymy naszym gościom wspaniałej kariery i satysfakcji! – lakonicznie zatoastował, uśmiechając się szeroko.

– Zapomniałeś o pieniądzach! – zauważył wesoło Kamil.

– To prawda – przyznał gospodarz domu i upijając odrobinę bordeaux, postawił z powrotem kieliszek na stole. Po chwili ciszy skierował spojrzenie na Ulrę.

– Wierzy pani w nasz system penitencjarny? – spytał, przyjmując znacznie poważniejszy wyraz twarzy. – Wiem, że to bardzo ogólne pytanie, ale ciekaw jestem, czy jest pani całkowicie przekonana o skuteczności tego, proszę się nie obrazić, co ma pani robić przez resztę życia.

– Raczej tak – odparła dziewczyna. – To trudna dziedzina wiedzy, ale biorąc pod uwagę warunki, liczę na względną satysfakcję.

– Warunki? – zainteresował się Kamil.

– Żyjemy w kraju silnie zdemoralizowanym poprzednim ustrojem. Mamy słabo wykształcony system prewencji, dopiero co reformującą się policję. Niejasny system kar i nagród społecznych, zachwiana kryzysem autorytetów moralność. Prócz drogowskazów, jakie wyznacza Kościół, trudno dziś o rozsądny system wartości i potrzebę głębszych ideałów. Musimy się powoli tego uczyć.

– Od czego w takim razie zacząć? – spytała pani Zofia.

– Może każdy powinien po prostu robić swoje – zauważyła Wika.

– To za bardzo liberalne – wtrącił Kamil. – Jesteśmy zbyt podzielonym narodem, skończy się na anarchii.

– Nie za bardzo upraszczasz? – pokręcił głową pan Stanisław.

– Jesteśmy nie tylko społeczeństwem wielonarodowym, ale i kompletnie nieczytelnym. Polacy, Żydzi, nawet Niemcy żyjący tutaj zasymilowali się tak, że trudno określić, kto jest kim, a wiadomo, że każda grupa będzie dążyła do zaspokojenia własnych interesów.

– Bzdura! – zaprzeczyła pani Zofia. – Przed wojną byliśmy społeczeństwem wielokrotnie bardziej złożonym, a kulturalnie i gospodarczo, moim zdaniem, staliśmy znacznie wyżej niż teraz.

– Zgoda, ale teraz nastąpił kompletny brak przejrzystości. To wszystko jest nieklarowne.

– A po co ci, jak to mówisz, klarowność? Chcesz znowu dzielnic żydowskich, jeszcze większych podziałów?

– A sprawiedliwość polityczna? – Kamil uniósł do góry brwi.

– Nie ma czegoś takiego – wtrąciła spokojnie Wika, nie odrywając wzroku od talerza zupy jarzynowej.

– Jak to? Ale o co chodzi? – odezwała się chyba po raz pierwszy tego wieczora Agnieszka.

– Mniejsza z tym – zawyrokowała, czując zbliżającą się burzę, pani Zofia. – Po powrocie Piłsudskiego z Magdeburga aż do trzydziestego dziewiątego byliśmy krajem

demokratycznym i wolnym.

- Szczególnie w czasie przewrotu majowego – zauważył zgryźliwie Kamil.
- Piłsudski był jednym z największych Polaków! – oburzyła się pani Zofia.
- Lewicowy awanturnik i podżegacz! – mruknął cicho Kamil, ale ojciec go usłyszał.
- Synu! – uderzył dłonią w stół, oburzony.

Nastąpiła chwila kłopotliwej ciszy.

- Przepraszam państwa – pan Stanisław schylił lekko głowę, jakby się kłaniał. – Obawiam się, że Kamil nie przemyślał swojej ostatniej uwagi, stąd to małe nieporozumienie.
- No to może teraz kotlecika, ziemniaki i buraczki?! – zaproponowała wesoło pani Zofia.

* * *

Na niebie nie było widać ani jednej chmury. Noc była ciepła, bezwietrzna. Wika szła wolnym krokiem w stronę jeziora po zwirowej alejce. Dotarła do kamiennych schodków, zeszła kilka stopni i usiadła. Widok z tego miejsca wydał jej się skończenie piękny. Otworzyła zeszyt, który trzymała w dłoni, wyjęła z wewnętrznej kieszeni skórzanej kurtki długopis i zaczęła pisać. Słowa jak zwykle przychodziły same, bez wysiłku. Zapisywała je z dumą, ale także z lekką obawą, która nigdy jej nie opuszczała. Absolut – jak go nie było, tak dalej nie istniał, a tezy i antytezy jakoś nie układały się w sensowną syntezę. Pieprzyć to, trudno o większy burdel we wszechświecie niż tu na Ziemi. Wika była przekonana, że ewolucyjne dojście do świadomości to jeden z najokrutniejszych błędów natury, chybionego Boga czy jakkolwiek nazwać to, co było i jest przyczyną rzeczy. Dało to trochę chleba filozofom przez ostatnich kilka tysięcy lat, ale raczej, mimo zwierzęcej radości życia, dla pętającej się po Ziemi bandy ludzików interes nie był opłacalny. Cudowny porządek na przykład panuje na Tytanie*, gdzie wiatr słoneczny skutecznie likwiduje każdą próbę wybicia się ponad kawał lodu niezdolnego do sublimacji, o paranoicznej temperaturze, gdzie woda nie może brać udziału w jakichkolwiek reakcjach. Na Marsie ktoś ponoć nawet próbował żyć, na razie jako bakteria i co? Dupa. Wniosek – niebo pełne gwiazd naprawdę jest nieskończenie piękne. Może mi powiesz, szanowny Panie Boże, jak umrzeć bez strachu? Wszyscy, których do tego namawiałam, odchodzili w przerażeniu. Dlaczego? Bo najpewniej było to dla nich tak wielkie zaskoczenie, że w stresie kompletnie wyrastało poza zdolność pojmowania. A jak likwiduje się strach? Oswajając przyczyny. Boisz się jeździć windą? – Jeżdż codziennie, aż wreszcie przekonasz się, że to nic takiego. Obawiamy się przede wszystkim zjawisk i rzeczy, których nie znamy. Jak uczy historia, każdą, nawet najstraszniejszą, prawdę natura ludzka jest w stanie zaakceptować. W *Roku 1984* Orwella główny bohater przyznaje się do tego, że w końcu pokochał torturującego go dręczyciela, można więc zaprzyjaźnić się nawet ze śmiercią. Jim Morrison umierał bez lęku w tej jebanej paryskiej wannie, Petroniusz wołał podciąć sobie

* Najwcześniej odkryty księżyc Saturna. Pierwszy opisał go C. Huygens w 1655 roku.

żyły, niż wysłuchiwać kiepskiej poezji, wyprawił nawet z tej okazji niezłą balangę. Leonidas widział tak wiele śmierci, że nie lękał się zginąć za Grecję. „Powiedz, przechodniu, Sparcie, że widziałeś tu nas poległych w imię posłuszeństwa świętym prawom ojczyzny”. Niezły tekst.

– Nocne rozmyślenia? – usłyszała za plecami głos Kamila. Nie zaskoczył jej. Od pewnego czasu wiedziała, że idzie w tę stronę. Zamknęła spokojnie zeszyt.

– Nie możesz spać? – zapytał ponownie Lechowicz.

Wika odwróciła głowę i uśmiechnęła się delikatnie.

– Chodzę spać dość późno.

– Jest druga w nocy – zauważył uprzejmie Kamil.

– Nie mam zegarka – rozłożyła ręce dziewczyna.

– Nie przeziębisz się na tych kamieniach?

– Mam ciepłe dżinsy. A ty dlaczego nie śpisz?

– Miałem coś do zrobienia, musiałem napisać pewną rzecz. Widzę, że ty też...

– To... rodzaj pamiętnika. Lubię pisać.

– Mogę zobaczyć?

– Raczej nie – odmówiła uprzejmie Wika. – To dość osobiste.

– Oczywiście – Kamil uniósł do góry ręce w geście przeprosin. – Gwiazdki na niebie zmuszają do romantyzmu.

– Raczej nie bywam romantyczna – przyznała Wika.

– Czyżby? – Lechowicz wskazał wzrokiem zeszyt, który trzymała na kolanach. – Nie mów mi, że nie ma tam choćby kawałka jakiegoś wiersza.

– Może jakiś kawałek wiersza by się znalazł, ale raczej nie o świteziankach.

Kamil usiadł obok Wiki i przez chwilę przyglądał się jej oczom.

– Piękna i tajemnicza dziewczyna nad jeziorem – oświadczył odważnie.

– To ma być ten romantyzm? – uśmiechnęła się nieznacznie.

– Oraz próba bycia miłym.

– Rozumiem. – Tym razem uśmiech Wiki stał się bardziej przyjazny, może nawet uwodzicielski. – I tak wiem, że nie chodzi ci o mnie.

– O nikogo mi nie chodzi – Kamil zręcznie udał oburzenie.

– Widziałam, jak na nią patrzysz. A ja jestem tu, abyś nie pożarł jej żywcem.

Lechowicz pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Znam ją dopiero od kilku dni – zauważył po chwili.

– To niczego nie zmienia. Na *Titanicu* Leo DiCaprio znalazł się z Kate Winslet cztery dni, a spłakało się przez to trzy czwarte świata.

Kamil przyznał jej w duchu rację, ale postanowił bronić się dalej.

– Emilia to tylko koleżanka – zauważył mało oryginalnie. – Mamy wspólne poglądy polityczne. To fakt, jest delikatna i wrażliwa, ale czuję w niej odwagę i chęć sensownego działania.

Wika spojrzała na Lechowicza z politowaniem.

– Biedaku... – pokiwała głową ze współczuciem.

– Nie rozumiem...

– Delikatna, wrażliwa... – zamknęła oczy, próbując powstrzymać śmiech. – Nie wiesz nawet, w co wdepnąłeś, znawco damskich dusz.

– Wyczuwam ironię, może nawet sarkazm – Kamil udał oburzenie. – Uważam się raczej za niezależnego.

– Tak? Sprawdźmy to – Wika niespodziewanie przysunęła się do niego i dotknęła lekko ustami jego ust, a po chwili chwyciła dłońmi jego włosy i mocno pocałowała. Jak wyczuła, chłopak ochoczo przystał na to, zamknął oczy i zdecydowanie nie miał zamiaru się bronić.

Wika delikatnie puściła go i zajrzała głęboko w oczy.

– Słabeusz – prychnęła niemal z pogardą.

Lechowicz wstał, mimo wszystko zaskoczony.

– Jesteś taka naprawdę, czy taką udajesz? – spytał urażony.

– Daj spokój, to tylko zabawa – roześmiała się dziewczyna, rozbawiona jego bezradnością.

Kamil zacisnął zęby i szybkim krokiem odszedł w stronę domu.

Wika odprowadziła go wzrokiem, po czym ponownie otworzyła zeszyt.

Wika – Dziennik, 21 maja

Nawet jak spadają, to w nicość. Nie budzi ich w nocy strach, nie wrywa krwawych ochłapów ze snu. Zapaćkane, poplamione nuty na niebie... To jedyna wycieczka, na którą pojedą wszyscy. Czego mam oszczędzić, co odkładać? A Ty boisz się, że nie zdążysz wszystkiego zrobić...

Poczęcia, poszczęcia poszczute szmatławe. Usiądzie oddechem na zdtławionych piersiach. Naje się do syta, odfrunie, nie zapamięta. Jest dzika, niepogłaskana. Nie próbuj jej oswoić, nie możesz być odpowiedzialna za śmierć.

Kiedys cię „nie było” i kiedys cię „nie będzie”. W sumie nieważne, ile za „i”. Zostanie tylko czas, spokojny – on nie musi się spowiadać, on nie zakręcał, zazdrość mu.

Wytropiona, zatopiona drapieżna ofiara, tak, dobrze znam ten zapach. Już idzie Nocny Kataryniarz. Jak zwykle monety umarłych zabręczą o ziemię. Wkupię się za nie w ramiona obłędu. Ile jest „ja” między krzyżami? Nie wiem, zaplotę siebie w warkocz.

Spacer brzegami jeziora okazał się bardzo przyjemny. Całe towarzystwo tuż po śniadaniu postanowiło, korzystając ze słonecznej pogody, powdychać jak najwięcej świeżego powietrza i odpocząć od męczących realiów Warszawy. Nie było wśród nich Ultry i Agnieszki, ale obie zgodnie obiecały, że dołączą później.

– Dobrze spałeś? – spytała beztrąsko Wika, dotykając lekko ramienia Kamila. Dogoniła go przed chwilą, bo przez większość spaceru trzymała się raczej z tyłu.

Chłopak odwrócił się raptownie, jakby go wystraszyła. Sprawdził, jak daleko są rodzice, i skarcił dziewczynę krytycznym spojrzeniem.

– Spokojnie, rodzice są dwadzieścia metrów za nami – roześmiała się. – Rozprawiają o pogodzie i o tym, jakie z Emilią jesteście sympatyczne.

– Dlaczego taka jesteś? – spytał Lechowicz z irytacją. – Co ja ci zrobiłem?

– Uspokój się! – odparła spokojnie, ale zdecydowanie. – Nie chcę niczego złego. Ciągłe dąsasz się za wczorajszy żart?

– Był średnio śmieszny.

– Już będę grzeczna. Chcę po prostu porozmawiać.

– A ty umiesz rozmawiać?

– Podobno umiem nawet słuchać – oznajmiła z rozbawieniem.

– To rzadkie u kobiet takich jak ty.

– U kobiet takich jak ja? – powtórzyła z sarkazmem. – A co ty możesz o mnie wiedzieć?

– Kpisz z ludzi, z ważnych rzeczy, może nawet ze wszystkiego, co jest cokolwiek warte. Czym ty żyjesz?

– Ho ho... – zaskoczona Wika pokręciła głową. – Jakie wielkie słowa! Z grubej rury, muszę przyznać. Może trochę za melodramatycznie jak na mój gust, ale chyba szczerze. – Tym razem dziewczyna odwróciła głowę, aby nabrać pewności, że nikt ich nie słucha. – Zależy mi na wielu rzeczach, jeziorowy filozofie – rzekła z naciskiem. – Ale niekoniecznie muszę mieć to napisane na czole jak ty. Lubię cię. Masz w sobie pasję. Szukasz i choć jak dla mnie traktujesz się zbyt serio, coś w tym jest. Ale ją – tu wskazała ręką dom w oddali, w którym została Ultra – jeszcze bardziej lubię. Dlatego tak sobie właśnie tu miło rozmawiamy...

– Nie martw się – odparł już spokojniej Kamil. – Wiem, że to świetna dziewczyna. Poza tym...

– Poza tym jest lepsza niż ja – dopowiedziała z delikatnym uśmiechem Wika.

– Nie to chciałem...

– Chciałeś, ale nie musisz się niczego wstydzić. Ja też tak myślę. I od razu uprzedzając twoją prośbę, nie powiem jej o wczorajszym wieczorze – zakończyła niemal obojętnie.

– Dziękuję... – jęknął prawie szeptem Lechowicz. Spuścił wzrok, jakby był czymś zdecydowanie zakłopotany. – Mówiła rano, że dziś się trochę źle czuję. Nie wiesz, o co

chodzi?

– Bolała ją głowa. Wzięła procha i pewnie niedługo nas dogoni.

– Aha... – Kamil rozejrzał się w sobie chyba tylko wiadomym celu. – To dobrze.

Ultra wślizgnęła się bezszelestnie do pokoju Kamila. Zatrzymała się na chwilę, nasłuchując, czy przypadkiem nie ma w pobliżu Agnieszki, a następnie wolno podeszła do szafki stojącej przy łóżku. Pokój nie był zbyt duży, miał najwyżej piętnaście metrów kwadratowych, ale drewniany wystrój oraz idealna czystość i porządek sprawiały, że robił wrażenie nadzwyczaj przytulnego i przyjaznego. Dziewczyna poświęciła kilka sekund niegroźnemu uczuciu zazdrości, dotyczącemu całego zresztą dworku, a następnie wzięła się do pracy. Szuflady szafki, co nietrudno dało się przewidzieć, były zamknięte. Wyjęła z kieszeni „niezbędnik” i po kilku próbach udało jej się uporać z pierwszym zamkiem. Przerwała na chwilę, aby jeszcze raz skontrolować, czy nikt nie idzie na górę, i zaczęła przeglądać wnętrze szuflady. Były w niej oprócz kilku długopisów i ołówków właściwie tylko dwie rzeczy – Biblia i dość opasła zielona teczka. Zerkając w stronę lekko uchylonych drzwi, otworzyła teczkę. Na wierzchu zaszeleściły gazetowe wycinki, których teraz nie miała czasu czytać, pod spodem leżały ułożone pedantyczną ręką wypełnione dokumenty. „Protokół z zebrania 12 października” – mruknęła do siebie samej, przebiegając wzrokiem po pierwszej stronie dokumentu. „...wypowiedź kolegi Rymskiego... dyskusja... wniosek o skierowanie listu protestacyjnego do Rady Miasta...”. Ultra odłożyła dokument i szybko zabrała się do następnego. Wyglądał podobnie – gadatliwy kolega Rymski oczywiście również się wypowiadał, podobnie jak jeszcze kilku innych kolegów. Potem, jak wynikało ze sprawozdania, była burzliwa, podsumowująca dyskusja o tym, czy rząd Polski jest polski, czy właściwie niepolski, bo jak wynika z danych – raczej żydowski. Ultra zamknęła szufladę i otworzyła „niezbędnikiem” następną. Tu było, jak się okazało, jeszcze mniej ciekawie. Kilka rysunków przedstawiających najprawdopodobniej okoliczną przyrodę, nakreślonych ołówkiem, raczej średnio udanych. Poza tym parę długopisów, kredek, pudełko farb plakatowych. Trzecia szuflada zawierała podobną teczkę jak pierwsza. Znajdowały się tam spisy nazwisk i pseudonimów, w rodzaju takich jak „Gnomek” czy „Puszczyk”, co przywołało uśmiech na twarzy dziewczyny, ale rozbawienie jakoś zniknęło, gdy tylko uważnie przeczytała, co jest napisane na górze każdej z kartek. Wyraz „SHALOM” rozpoczynający każdy ze spisów wzbudził pewną podejrzliwość w młodym umyśle Ultry. Mógł co prawda oznaczać z równym prawdopodobieństwem, jak to, o czym pomyślała, setki innych rzeczy: od żydowskiego „witaj”, po nazwy kilku fundacji, a nawet tytuł filmu, przeciwko któremu z pewnością partia taka jak KPPP protestowała ile wlezie. To jeszcze nie przestępstwo. Poza tym Shalom jest kobiecym imieniem, niekoniecznie izraelskim, o czym świadczy choćby przykład aktorki Shalom Harlow, Kanadyjki zresztą. Jest wiele, wiele innych rzeczy. Tyle tylko – pomyślała Ultra – że jestem właśnie w domu faceta posądzanego o czynny antysemityzm. Daty na kartkach były dość odległe, ale na każdej z nich inne.

Najświeższy spis pochodził sprzed miesiąca. Dziewczyna westchnęła ciężko i zamknęła dokładnie wszystkie szuflady. Postanowiła zorientować się, gdzie jest Agnieszka, bo przedłużająca się niemal całkowita cisza zdecydowanie ją zaniepokoiła. Podeszła ostrożnie do okna. Lechowiczówna siedziała na ławeczce przed domem, wystawiając twarz ku słońcu. Najwyraźniej na nią czekała. Ultra zrezygnowała z dalszego grzebania w rzeczach Kamila, szybko zlustrowała cały pokój, sprawdzając, czy przypadkiem nie zostawiła po sobie jakichś śladów, i wyszła, zamknąwszy za sobą drzwi.

Ryszard Snopczyk zatrzymał się na chwilę przed drzwiami do swojego mieszkania. Bez pośpiechu wyjął klucze i kilka sekund bawił się nimi, opóźniając wejście do środka. Swoim zwyczajem westchnął, zanim zdecydował się przekręcić klucz w zamku i nacisnąć klamkę, ale drzwi niespodziewanie otworzyły się i stanęła w nich żona Snopczyka, trochę zaskoczona widokiem męża.

– Wychodzę – burknęła chłodno.

– Na długo?

– Co cię to obchodzi? – spytała z irytacją. – Nowa wędlina w lodówce jest moja, nie ruszaj jej.

– Nigdy nie ruszam twoich rzeczy – odparł spokojnie Snopczyk.

– Odwieszysz Melanię na angielski?

– Zaraz muszę wracać do pracy, przyszedłem tylko po kilka dokumentów. Ty miałaś to dzisiaj zrobić.

– Oczywiście, jakżeby inaczej. – Kobieta sięgnęła po torebkę, a następnie, mijając męża, wyszła na klatkę schodową i stukając głośno obcasami, ruszyła w stronę windy.

– Iwona! – krzyknął za nią Snopczyk.

– Czego chcesz? – odwróciła się niechętnie.

– To już nie potrwa długo, nie musisz odstawiać tego całego teatru.

– Masz czterdzieści lat, wydorósłej wreszcie – rzuciła szorstko. – I zrozum z łaski swojej, w jakiej sytuacji się znajdujemy.

– To wiem doskonale i właśnie o dojrzałości mówię.

Rozdrażniona kobieta wzruszyła ramionami i pokręciła głową.

– Jest nowa propozycja zamiany mieszkań, kiedy będziesz mógł obejrzeć?

– Może w piątek?

– Ja idę jutro. – Otworzyła drzwi windy i zniknęła za nimi bez pożegnania.

Snopczyk wszedł do mieszkania. Położył teczkę na niewielkiej półeczce w przedpokoju i postanowił zapukać do pokoju córki.

– Hej tato! – usłyszał zza drzwi rezolutny głos Melanii.

Otworzył je ostrożnie.

– Wszystko w porządku? – spytał, uśmiechając się smutno.

- U mnie tak.
- Może spróbuję odwiedzić cię...
- Daj spokój, tato – przerwała, posyłając mu swój prześliczny uśmiech. – Mam piętnaście lat, sama pojedę.
- To daleko... mama prosiła... Pewnie pojechała po Joasię.
- Mama nie prosiła, tylko po raz kolejny wyżywała się na tobie, nie mogę już tego słuchać.
- Snopczyk zrobił pierwszy krok w kierunku kuchni, ale zatrzymał się jeszcze na chwilę.
- Przepraszam cię za to...
- Za co? Za to, że zachowuje się jak kretyńka?
- Melania!
- Wiesz, co będzie, jak sąd przyzna jej opiekę nade mną i nad Joašką? Ona ma pięć lat, jeszcze niczego nie kapuje, ale ja...
- Będziemy się spotykać.
- Dostanę pierdolca! Nie wytrzymam z nią! – Melania rzuciła jašką o ścianę.
- Żyjemy w takim kraju i w takich czasach. Nie przypuszczam, abym miał jakiegokolwiek szansę w sądzie.
- Jesteś gliniarzem! – dziewczynka zacisnęła pięści. – Aresztuj ją!
- Snopczyk uśmiechnął się, podszedł do łóżka, na którym leżała, usiadł obok i przytulił ją mocno do siebie.
- Będzie dobrze – mruknął cicho.
- Aleś wymyślił... – prychnęła, obejmując go. – I co jeszcze powiesz? Ładna pogoda jest?
- Kocham cię, kwiatuszku.
- To mnie od niej zabierz.
- Robię, co mogę. Teraz mam trudną sprawę w robocie.
- Opowiedz. – Melania uwolniła go z uścisku.
- Lepiej nie.
- Lepiej tak. Kto kogo morduje? – znowu się roześmiała.
- No, cały problem polega na tym, że nie wiem, kto morduje, a co najgorsze, nie wiem dlaczego.
- Jak nie wiadomo, o co chodzi, to chodzi o pieniądze, a jak nie wiesz, dlaczego morduje, to na pewno kobieta – wyrecytowała.
- Jasne – przyznał komisarz, udając powagę. – I wszystko się wyjaśniło.
- Powiedz, jest krwawo?
- Nie bądź taka ciekawa.
- Przestań się naburmuszać! Powiem jej przecież, że mnie odwiozłeś.
- Po co?
- Żeby był spokój. Jest krwawo?

- Meli, ty masz piętnaście lat.
- Przecież nie mówię, żebyś mnie zabierał na sekcję zwłok. Po prostu powiedz, czy jest krwawo?
- No trochę jest.
- To na pewno kobieta.
- Raczej nie.
- Dlaczego? – spytała rezolutnie.
- Wśród ofiar są mężczyźni, zabójstwa dokonywane są w domu. Kobieta nie dałaby rady.
- Akurat! – prychnęła dziewczynka. – Jesteś naiwniak, tato. Taki „Ptyś”, wiesz, ta koszykarka, załatwiłaby każdego faceta. No, prawie każdego. Ma dwa dwadzieścia wzrostu!
- No fakt. Jutro aresztujemy „Ptysia”. Zjesz coś? Idę zrobić obiad.
- Nie chcę jeść, i tak jestem gruba.
- Jesteś strasznie gruba. Chociaż... jak jeszcze trochę utyjesz, to może nawet zaczniesz być widoczna, bo na razie, jak stajesz profilem, znikasz na tle pokoju. Nie denerwuj mnie, odgrzeję ci indyka. Wczoraj usmażyłem kotlety.
- Niech ci będzie – zgodziła się uprzejmie Melania. – Ale dasz jej powiedzieć, że mnie odwiozłeś?
- Daj spokój! Po cholere?
- Nie chcę wieczorem słuchać jej pieprzenia!
- Melania! To twoja matka! Miej trochę szacunku. – Snopczyk niemal namacalnie poczuł, z jakim trudem przeszły mu przez gardło te słowa. Jeszcze przez kilka sekund czuł ścisk w żołądku i w krtani.
- Idź już robić tego kotleta – dziewczynka machnęła ręką zrezygnowana.
- Może być z fasolką?
- Może. – Snopczyk dostrzegł łzy w oczach córki.
- No to ja idę – bąknął pośpiesznie i zamknął delikatnie drzwi.

Przechodzili właśnie przez niewielki strumyczek, kiedy Agnieszka i Ultra dogoniły spacerujących. Kamil na widok dziewczyn natychmiast rozchmurzył się, ożywiony nadzieją, że będzie miał okazję do zaprezentowania Emilii kilku nowych, odkrywczych myśli, które, jak sądził, zrobią na niej wrażenie. Zwolnił taktycznie kroku, aby móc „przypadkowo” znaleźć się w jej pobliżu.

- Źle spałaś? – spytał na wstępie.
- Nie mogłam zasnąć, niestety, mam cały czas kłopot z bólem głowy – skłamała Ultra.
- Wzięłaś coś?
- Tak, myślę, że niedługo będzie OK. Spacer dobrze mi robi.
- Tutejszy klimat czyni cuda. – Lechowicz przygryzł wargi. To miała być ta jedna z odkrywczych myśli?!

– Nie wątpię – przyznała grzecznie Ultra.

Kamil rozejrzał się dookoła. Dziesięć metrów przed nimi szli rodzice pogrążeni w rozmowie. Przysłuchująca się im Agnieszka kiwała ze zrozumieniem głową, najwyraźniej zgadzając się z tym, co słyszała, choć przyłączyła się do nich zaledwie minutę wcześniej. Wika szła oczywiście sama, trochę zygzakiem, ze wzrokiem utkwionym w czubkach drzew. Nie wyglądała na specjalnie zainteresowaną resztą towarzystwa.

– Długo znasz Wikę? – spytał, rezygnując z zaplanowanego wcześniej wywodu na temat kryzysu ideałów i braku autorytetów moralnych we współczesnej Polsce.

– Od roku wynajmujemy wspólne mieszkanie.

– Jest trochę... inna. Nie sądzisz?

– To artystka – roześmiała się Ultra. – Żebyś przeczytał kiedyś jej wiersze... Są szalone.

– Mówiłaś mi, że studiuje weterynarię, co ona tam robi?

– Wika kocha zwierzęta. – Dziewczyna wyraźnie poczuła, jak dotknął delikatnie dłonią jej ramienia. – Szczególnie dzikie koty afrykańskie. Jest, można powiedzieć... ekspertem w tej dziedzinie. Podoba ci się? – spytała nagle, czerpiąc przyjemność z jego zmieszania.

– Co? Kto?!

– Wika.

– Ależ skąd! – powiedział trochę za głośno. – To znaczy... to piękna dziewczyna, ale nie w moim... raczej... typie. Tak. Nie w moim typie – powtórzył z naciskiem.

Ultra zajrzała mu w oczy. Czowała rozbawienie, ale nie chciała obrażać go kpiną.

– Jest bardzo wrażliwa – ciągnęła. – Jeśli zauważy, że się nią interesujesz, różnie może zareagować.

– Ale ja z nią właściwie prawie nie rozmawiałem – poinformował Ultrę na wszelki wypadek.

– Tak tylko mówię – uśmiechnęła się ponownie dziewczyna. – Pytałeś, to mówię. Kiedy wstąpiłeś do partii?

Nagła zmiana tematu zaskoczyła na chwilę Lechowicza, ale właściwie odetchnął z ulgą. Im bliżej Wiki, tym bardziej niebezpiecznie. Lepiej już porozmawiać o polityce, nawet w lesie.

– Dwa lata temu.

– Skąd się dowiedziałeś? Kto cię wprowadził?

– Kolega ze studiów. Pogadaliśmy o tym i o tamtym, a po pewnym czasie postanowiłem, że chyba chcę to robić.

– Być politykiem?

– No, może to za duże słowo, ale coś robić w tym kierunku.

– Zawsze miałeś takie poglądy?

Kamil uśmiechnął się ciepło, rozumiejąc doskonale, w którym kierunku dąży jego najwyraźniej coraz bardziej seksowna rozmówczyni.

– Nie, nie zawsze – przyznał. – Najpierw w ogóle się tym nie interesowałem, później sporo dyskutowałem z rodzicami. Prezentują przedwojenną, twardą piłsudczykowską lewicę. Jak się pewnie domyślasz, w czasach komunizmu – w opozycji. Tata przesiedział trochę w więzieniu, no... nieważne. Sporo wycierpieł. Teraz udało się z pieniędzmi i tak dalej, ale myślę, że są zbyt zaawansowani wiekowo, aby rozumieć dzisiejsze potrzeby. Dlatego mimo ogromnego szacunku, jaki do nich żywię, nie zgadzam się z ich poglądami i poszedłem trochę w innym kierunku.

– Polacy niezbyt lubią radykałów – stwierdziła odważnie Ultra.

– Polacy nie zawsze potrafią dostrzec, co się wokół dzieje.

– A ty to widzisz na tyle wyraźnie, aby w przyszłości wziąć za to odpowiedzialność?

Kamil spoważniał.

– Zawsze tak było. Społeczeństwa dzieliły się wewnętrznie na grupy kompetencyjne. Byli twórcy, robotnicy, inżynierowie, żołnierze...

– Żołnierze – powtórzyła jak echo Ultra.

– Tak. Bronili tych, którzy sami nie potrafią się bronić. Dostrzegali to, czego obywatel zajęty swoim zadaniem nie zauważał. Po to byli i są. Zwykli ludzie nie muszą mieć talentu wyczuwania niebezpieczeństwa. Od tego mają tych, których zadaniem jest ich bronić. Wybrałem sobie po prostu taką rolę. Robię, co mogę, aby się sprawdzić i – jeśli nie masz nic przeciwko takiemu sformułowaniu – staram się wykonać swoje społeczne zadanie.

Ultra pokiwała głową, po czym zamknęła na chwilę oczy.

– Weź mnie pod rękę – poprosiła cicho.

Kamil szybko wykonał polecenie, licząc, że dziewczyna pozwoli mu się prowadzić aż do samego domu.

– Zamknę oczy, a ty zadecydujesz, gdzie będziemy szli – powiedziała niemal szeptem.

– Dlaczego? – Lechowicz znowu ugryzł się w język.

– Chcę zobaczyć, czy warto ci zaufać – usłyszał odpowiedź, która zadźwięczała w jego uszach jak najpiękniejsza melodia.

Rudolf Williams zszedł wolno po schodach i stanął przed żelaznymi drzwiami „sądówki”. Nacisnął wielką żelazną klamkę i wszedł do środka. Pomieszczenie było niewielkie i służyło właściwie tylko dyżurnemu lekarzowi za terenowy gabinet. Jego biurko stało pod ścianą, metr od drzwi prowadzących do dalszych pomieszczeń, a konkretnie do sal, gdzie przechowywano ciała do czasu ich zbadania, dokonania odpowiednich oględzin czy innych istotnych dla śledztwa czynności. Ściany tego najwyżej piętnastometrowego pokoju miały kolor zgniłozielony i oprócz „stanowiska” dyżurnego nie było tu żadnych innych mebli. Doktor Adam Żarnecki wstał, aby podać rękę Rudolfowi. Miał dwadzieścia osiem, może dwadzieścia dziewięć lat, ale już łysiał. Mrużył oczy jak krótkowidz, nie nosił jednak okularów. Pracował tu zaledwie od kilku miesięcy i słabo znał Williamsa.

– Karol Bożęcki? – spytał dla pewności.

– Tak, panie doktorze. Numer sprawy N/S/ZAB/P/2674.

– Pan jest psychologiem kryminalnym, prawda? – pytanie lekarza nie miało w sobie nic z natarczywości, wyrażało jedynie uprzejmą ciekawość.

– Tak.

– Zdziwił mnie trochę pana telefon. Raczej rzadko przychodzą tu psychologowie.

– Przy trudnych sprawach zdarza się nam.

– Co może powiedzieć panu martwy człowiek o swojej... osobowości, motywach działania?

Rudolf nagle poczuł się jak na zajęciach ze studentami. Młody lekarz przyglądał mu się z zaciekawieniem, lekko przechylając głowę i najwyraźniej oczekując poważnej odpowiedzi.

– To dość rozległa wiedza, panie doktorze – odparł Williams wymijająco. Czuł znużenie po całym dniu i wolałby już usłyszeć „o, jaka dziś ładna pogoda” niż beznadziejne trucie nadgorliwego konowała.

– Mógł się przecież okaleczać, mieć dziwne tatuaże... – ciągnął Żarnecki.

– Ma pan rację, zmiany na ciele wynikające z ksobnej i odzwierciedlonej autoagresji mogły mieć źródło w objawach konwersyjnych za życia czy być skutkiem dysocjacji. – Williams postanowił zakończyć jak najskuteczniej trudną przeprawę przez pokój lekarski. – Ale pewnie czytał pan Charcota i Janeta? – dodał sadystycznie.

– No... to może chodźmy zobaczyć ciało. – Żarnecki nachylił się nad swoim biurkiem i zaczął czegoś szukać w papierach. – O, już wiem. Sektor C numer 4.

Lekarz wziął niewielki świstek ze sobą i dał znać Rudolfowi, aby szedł za nim, po czym pchnął drzwi. Weszli do jasno oświetlonego, dużego pomieszczenia, gdzie po lewej stronie znajdowały się spore metalowe „szuflady” z nazwiskami na kartkach włożonych za specjalne zakładki. „Szuflady” tworzyły wielkie prostokąty (trzy w górę i pięć w szerz) oznaczone literami A, B, C i D. Żarnecki podszedł do sektora C, wysunął szufladę czwartą i ku zdziwieniu, ale i uldze Rudolfa, zostawił go sam na sam z ciałem Karola Bożęckiego.

Przez pewien czas Ryszardowi Snopczykowi wydawało się, że jakiś alarm każe mu natychmiast biec w stronę swego samochodu, gdzie przez radio dowie się, co robić dalej. Spał tak mocno, że dopiero po sześciu, może siedmiu dzwonekch zdołał się obudzić i zdać sobie sprawę, że dzwoni telefon. Chwilę zajęło mu uświadomienie sobie, że jest w swoim łóżku, w swoim domu, dzwoni telefon i musi go szybko odebrać, bo obudzą się córki, a co najgorsze – żona śpiąca w sąsiednim pokoju.

– Tak, słucham – starał się szeroko otwierać usta, aby zniwelować wrażenie o ciężkości osoby przed sekundą obudzonej.

– Rysiek! Wiem, dlaczego nie znalazłeś żadnych śladów w domu u Bożęckiego – dyszał podniecony Rudolf Williams.

– Która godzina?

- Wpół do drugiej.
- Popieprzyło cię?
- Dopiero teraz dostałem analizy. Nie jesteś ciekaw, co w nich jest?
- Jakie analizy?
- Byłem w lodówce i jeszcze raz oglądałem ciało Bożęckiego. Już poprzednio było coś nie tak. Nie mam pojęcia, dlaczego nie zauważyliśmy drobnego siniaka pod prawą piersią. Snopczyk sięgnął po szklankę z wodą i opróżnił ją do połowy.
- Rudi, zauważyliśmy wszystkie siniaki. On został brutalnie zamordowany. Całe ciało było sine. Miało cięcia, siniaki, a teraz ma plamy opadowe.
- Wszyscy myśleli, że ten drobny siniak powstał w trakcie szamotaniny między ofiarą a mordercą, ale to nieprawda.
- Dlaczego?
- Bo nie było żadnych innych śladów walki. W żadnym z tych trzech przypadków. Zabójca teoretycznie nie zostawił śladów.
- To jeszcze nie takie oczywiste, potrzeba sporo analiz. Może szamotali się krótko, bo napastnik był bardzo skuteczny? Może znał jakieś wschodnie sztuki walki, może działał z zaskoczenia albo ofiary go znały i mu ufały? Prędzej czy później coś znajdziemy.
- Ale nie dziwi cię to – nie dawał za wygraną Rudolf – że sprawca nie zostawił nawet włosa, włókna z ubrania, śladów butów, nic?!
- Tam było od cholery włókien, śladów butów i czego jeszcze chcesz. Przecież to dom rodzinny – odparł leniwie Snopczyk, zdecydowanie dążąc do odłożenia rozmowy do rana.
- Sprawca strzela do nich ketaminą*! – wybuchnął prosto z mostu Rudi.
- Czym?
- Strzykawką ze środkiem usypiającym, no, takim jak dla zwierząt. Widziałeś chyba na filmach przyrodniczych, jak usypia się dzikie koty, małpy i tak dalej...
- Skąd to wiesz? – komisarz zrezygnował z odłożenia rozmowy na jutro.
- Ten siniak to właśnie ślad po strzale taką strzykawką. Nie robiliśmy dokładnej chemii, bo wszystko wydawało się proste. Facetowi poderżnięto gardło i już. Ale zleciłem dodatkowe badania i wyszło! Miał także we krwi trochę johimbiny*.
- Ty?! Jak to zrobiłeś?!
- Przekonałem szeryfa – wyjaśnił z dumą Williams. – Gotowe było w kilka godzin. I jeszcze jedno ci powiem! Może nawet będą dodatkowe pieniądze!
- No dobrze, cieszę się. Ale co z tego wynika?
- W domu Bożęckiego nie znaleziono żadnych męskich śladów, oprócz jego własnych,

* Ketamina – w odpowiednim stężeniu wywołuje po blisko dwudziestu sekundach od podania uczucie znieczulenia twarzy, następnie dochodzi do zerwania kontaktu z chorym. Pozamedycznie – silny narkotyk halucynogenny. Na czarnym rynku rozprowadzana jest w postaci tabletek, ampulek oraz proszku do wciągania. Ceniają ją za krótki czas działania.

* Johimbina – znany afrodyzjak polepszający krążenie, oddychanie i ukrwienie ciał jamistych, stosowany także jako antidotum dla ketaminy.

prawda?

– Tak.

– Bo to kobieta!

– Co?

– Szukałeś zabójcy. Męskich śladów butów, męskich włosów, a to kobieta!

– Ponosi cię. Jak dała radę znacznie silniejszym od siebie mężczyznom?

Snopczyk usłyszał w słuchawce głośne westchnięcie.

– No właśnie ci mówię. – Rudi oddychał szybciej niż zwykle. – Ona strzela do ofiar środkiem obezwładniającym. Później daje podoponowo zastrzyk z marcainy, wyłączającej dolną część ciała, i przybija nieprzytomnego delikwenta do podłogi. Kiedy ofiara się budzi, nie może ruszać nogami, a ręce ma przybite. Genialnie proste. Żadnych śladów walki, czysta robota, którą mogłaby wykonać moja babcia na Mike’u Tysonie! Do domu dostaje się, udając pewnie sprzedawcę lub listonosza.

– To, że morderca nie używa bezpośredniej przemocy, jeszcze nie świadczy o tym, że to kobieta.

– A jak wyjaśnisz kompletny brak męskich śladów? Pewnie w domu u Bożęckiego była cała masa śladów kobiecych, ale uważaliśmy, że należą one do żony i córki i nie badaliśmy. Do profilu osobowości tego mordercy nie pasuje pedantyczna ostrożność. Ktoś tak neurasteniczny, anankastyczny i najprawdopodobniej o silnie depresyjnej osobowości nie dba o zatarcie za sobą śladów. Wnioskowałbym raczej, że jest odwrotnie.

– Mów po ludzku.

– To osoba o wykształceniu medycznym, jestem tego prawie pewien. Nawet pielęgniarka nie wykonałaby profesjonalnie iniekcji w kręgosłup. A ona to zrobiła z wyraźną łatwością.

– No dobrze, i co z tego wynika?

– Skoro posiada taką wiedzę, mogłaby zabijać, nie zostawiając niemal żadnych śladów. Jeśli jesteś lekarzem, możesz wykończyć pacjenta tak, że w życiu nikt nie dojdzie do tego, w jaki sposób to zrobiłeś. Jest masa środków niepozostawiających praktycznie żadnych śladów w organizmie.

– Skoro tak mówisz...

– A ona używa takich kobył, które ślepy by wykrył na najzwyklejszej „chemii” pośmiertnej. Aby uspić tygrysa, potrzebujesz stężenia ketaminy około półtora, najdalej dwóch miligramów na kilogram, ale u człowieka, aby to była dawka skuteczna, musi być przynajmniej trzynaście, może nawet piętnaście.

Snopczyk sięgnął po papierosa.

– Ona ma w dupie, czy coś po sobie zostawi – zawyrokował Rudi. – W mieszkaniu Bożęckiego znajdziesz teraz całe masy śladów, pod warunkiem że będziesz wiedział, czego szukać.

– Gdyby tak było, na pewno coś byśmy znaleźli. Niezależnie od tego, czy to kobieta, czy

mężczyzna. Zresztą teraz i tak już możemy sobie darować – odparł Snopczyk, ziewając. – Oddaliśmy mieszkanie rodzinie.

– Kiedy?

– Dzisiaj rano.

W słuchawce zapanowała cisza.

– Dlaczego nie zrobiliście różnicowania śladów rodziny i ofiary? Można było wszystko wrzucić do jakiegoś komputera – jęknął Williams. – Wtedy mogłoby coś wyjść, nawet przypadkowo.

– Jakiego komputera? Rudi, żyjemy w Polsce. Czego oczekujesz? Wyglądało to na potwornie silnego faceta, a mamy laskę w szpilkach.

– Oczekuję, że poważnie to potraktujecie. To seryjna zabójczyni!

– Dobrze już, dobrze – próbował uspokoić kolegę komisarz. – Przyjmuję twoją teorię jako wysoce prawdopodobną. Może coś znajdę jutro w „numerkach” u chłopaków. Może coś przypadkowo się zapodziało. To cholernie zmienia sytuację. Słyszałeś kiedyś w Polsce o seryjnej zabójczyni?!

– W Polsce... chyba nie. Kiedyś podejrzewano jakąś pielęgniarkę, ale to lata temu.

– No właśnie. Nawet jeśli kobiety biorą udział w tak okrutnych, wielokrotnych mordach, to nie same. A tu raczej wynika...

– Że to samotniczka. W dodatku cholernie inteligentna i popieprzona na maksa.

Snopczyk chrząknął.

– To ty, zdaje mi się, gadałeś, aby używać raczej sformułowania „chory”, nie „świr” czy „popieprzony”.

– Zajmij się tym, Rysiek – zignorował uwagę Williams. – Ona nie przestanie, dopóki jej nie znajdziesz.

– Rudi – westchnął ponownie komisarz. – Traktuję to śledztwo cholernie poważnie. Ale to nie oznacza, że mam cały dzień biegać dookoła stołu, a w nocy nie dawać spać moim ludziom. Robimy, co możemy. A teraz weź relanium, porzucaj lotkami w zdjęcie Rydzyka, które masz przypięte do ściany, bo wiem, że to cię uspokaja, i idź spać.

– Jestem w firmie.

– Gdzie?!

– Poczekam tu na ciebie do rana.

– A mógłbyś najpierw sam siebie zbadać?! – jęknął komisarz. – Zostało jeszcze przynajmniej pięć godzin do spania, więc połóż się gdziekolwiek, na jakiejś kanapie, żeby rano można było się z tobą dogadać.

Odłożył słuchawkę. Zgasił lampkę i włożył ręce pod głowę. Leżąc na wznak, przypatrywał się jeszcze przez kilka minut cieniom rzucanym na sufit przez światła samochodów, jadących nigdy niezamierającą na noc ulicą. Wreszcie przewrócił się na bok i prawie natychmiast zasnął.

* * *

Wika zapaliła światło w łazience i upadła na kolana. Zaciśnęła mocno powieki, próbując opanować ciężki oddech. Złapała brzeg wanny i powoli przesunęła dłoń wzdłuż wilgotnej powierzchni, czując, jak jej ciało zaczyna coraz mocniej drżeć. Wybuchła płaczem, którego dłużej nie mogła powstrzymać.

– Nie chcę umrzeć... – szepnęła spazmatycznie, patrząc błagalnie w stronę małego okienka, jakby stamtąd spodziewała się pomocy. – Tato... pamiętasz mnie? Pamiętasz, co ci mówiłam? Napisałam ten wierszyk... taki niewielki... smutny... dla ciebie. Nocą byłam nad brzegiem lasu. Szłam wolno, bosa, w samej koszulce nocnej. Oczy świecące między drzewami patrzyły na mnie. Szłam i nic nie bolało. Słoną zieleń wdychałam głęboko jak kwiaty. Mówiłeś, że pod nimi nie ma dna... Te zdania...

– Wika! – Ultra, otwierając gwałtownie drzwi, zasłoniła odruchowo dłonią usta.

– Przepraszam...

– Dlaczego mnie nie obudziłaś?! – pośpiesznie zamknęła łazienkę, uklękła obok przyjaciółki i objęła ją mocno.

– Ja już zapomniałam... – szepnęła, zanosząc się płaczem Wika.

– Co zapomniałaś?

– Zapomniałam...

– Gdzie masz lorafen?

– W pokoju... chyba późno już jest? – Wika nagle oswobodziła się z objęć Ultry, położyła się na podłodze i zwinęła w kłębek jak małe dziecko.

– Jest druga w nocy. Pójdę po lekarstwo.

– Nie! Zostań! – Zasłoniła rękami twarz.

– Chcę, żebyś szybko wzięła lorafen.

Wika podniosła się wolno i wyciągnęła rękę w stronę Ultry.

– Za chwilę, dobrze? Za chwilę. – Poglaskała ją delikatnie po policzku.

– Chodź tu! – Ultra przygarnęła Wikę mocno do siebie.

Dziewczyna wtuliła się w przyjaciółkę i długi czas pozostawała bez ruchu, tak iż wydawało się, że przestała drżeć. Po chwili zwolniła nieco uścisk, oparła swoją głowę na jej ramieniu i ponownie wybuchła płaczem.

– Idę! – zdecydowała Ultra.

– Nie! – Wika pocałowała ją w szyję, potem w policzek, w usta.

– Nie będę się teraz z tobą całować – zdecydowała twardo Ultra. – Idę po lekarstwo.

– Nikt się nie obudził? – spytała Wika, starając się skupić rozbiegany wzrok na przyjaciółce.

– Chyba nie, jesteśmy na piętrze. Tu śpi tylko Kamil.

- Jutro jedziemy do domu?
- Tak, jutro jedziemy do domu. Spróbuj wstać, pójdziemy do łóżka.
- Mogę spać z tobą?
- Tak, pod warunkiem że weźmiesz lorafen i będziesz grzeczna.
- Będę grzeczna – Wika prawie się uśmiechnęła.
- Żadnego całowania i macania po tyłku, OK?
- Przysięgam, chcę się tylko przytulić...
- Oprzyj mi rękę na ramieniu. – Ultra pomogła Wice wstać. Teraz poczuła, że dziewczyna nadal drży. – Idziemy szybko po lekarstwo, obiecuję, że nie zasnę pierwsza, w porządku?
- Zapomniałam, jak wygląda tata...
- Źle się czujesz, przypomnisz sobie.
- Boję się...
- Wiem, otwieram drzwi, to tylko kilka kroków.

ROZDZIAŁ 5

Pułkownik Piotr Krentz podszedł wolno do ławki. Zachęcił gestem dziewczynę, aby usiadła, po czym rozejrzał się uważnie i wreszcie sam zajął miejsce obok niej. Siedzieli kilkanaście metrów od ulicy Łazienkowskiej, mając dobry widok zarówno na tyły stadionu Legii, jak i na Agrykolę, po drugiej stronie jezdnii. Było dość słonecznie i ciepło, ale ludzi nie pojawiło się tu na razie zbyt wielu. Zegarek pułkownika wskazywał czternastą. Tak zwana produkcyjna część warszawiaków, przynajmniej teoretycznie, przebywała w pracy.

Jak większość narodów, Polacy nie lubią raczej poniedziałków, i to nie tylko dlatego, że do następnego weekendu daleko, ale przede wszystkim z racji tego, że ktoś kiedyś ustalił, że to dzień pechowy, podobnie jak piątek trzynastego. Poniedziałki są groźniejsze, bo jest ich więcej (około pięćdziesięciu w roku), piątek trzynastego wypada natomiast średnio dwa razy na trzysta sześćdziesiąt pięć dni. Spopularyzowała sprawę znana komedia z początku lat siedemdziesiątych, w której Łazuka po pijaku wracał do domu, trzymając się za pomocą jakiegoś drąga torów tramwajowych, a wszystkich bohaterów trafił straszny pech, najczęściej w postaci paranoicznej rzeczywistości polskiego socjalizmu w rozkwicie.

Socjalizm po pewnym czasie upadł, ale tradycja pozostała. I tak w poniedziałek należy pamiętać, wstając rano z łóżka, że o kłótnię, wypadek samochodowy, wylanie z roboty lub lufę dziecka w szkole tego dnia najłatwiej.

Dla pułkownika Krentza poniedziałek jednak był zawsze tylko dniem tak zwanego rozruchu. Większość spraw, które prowadziła jego agencja, miała swój rytm. Metodologia delikatnego obchodzenia się z ich materią wymagała takiego właśnie rytmu. „Życie” każdej z tych spraw miało zwykle dość logiczny, choć nie zawsze regularny, ciąg. Składało się na niego najczęściej charakterystyczny początek, czyli wystąpienie „artefaktu pierwotnego”, co w słowniku agentów oznaczało wykryte zdarzenie, które ponad wszelką wątpliwość dawało początek zagrożeniu, później przeciwnik przystępował do dłuższego lub krótszego budowania „komórki”, wreszcie następowało jej pełne „uaktywnienie” w celu „przyczółkowania”. Proste.

Tę zasadę można było każdemu „świeżakowi” wyłożyć w pięć minut. Aby jednak zrozumieć wiedzę, za nią się kryjącą, potrzeba było najczęściej wielu lat, które zmieniały „świeżaka” w rutyniarza, wartego coraz grubszych tysięcy dolarów... A przecież każda

badana sprawa miała odrębne „życie”, wymagała odmiennych metod, a często była precedensowa.

O większości elementów „życia komórki” niejeden emerytowany agent napisał niejedną książkę, pilnując, aby przy okazji zarabiania forsy nie nabić sobie guza przez zbytne gadulstwo, ale i tak wiedzy starczyło na setki sensacyjnych filmów, czerpiących z takich lektur całymi garściami.

Pułkownik Piotr Krentz wiedział, że podstawę uczenia stanowi przede wszystkim wpajanie czy – może lepiej – odkrycie w młodym agencie instynktu symbiozy z przeciwnikiem. Tak, tak. Paradoks zespolenia z obiektem, który należy zniszczyć, jest właściwie podstawą sukcesu. „Dostrojenie się” do tej samej fali, działanie w tym samym sinusoidalnym rytmie, wreszcie bycie częścią pewnej całości przynosiło najskuteczniejszy efekt i umożliwiało atak. Niszczenie jest najłatwiejsze. Natura ludzka sprzyja niszczeniu, zabieraniu oraz walce. Nie sprzyja jednak, niestety, cierpliwości. W umyśle Piotra Krentza filozofia cierpliwości urastała do pierwszorzędnej, niezbędnej i absolutnie w rezultacie koniecznej dziedziny wiedzy.

Zadaniem dziewczyny, która siedziała obok, była dzisiaj, jak to nazywał pułkownik, twórcza obserwacja i wstępna analiza. Po weekendzie oznaczającym zwykle punkt kulminacyjny sinusoidy „życia” niedzielny wieczór stanowił wyciszenie i krótki rozejm. Poniedziałek to „rozruch”.

– Widziałas kiedyś „trasę”? – spytał spokojnie, patrząc w stronę Agrykoli.

– Nie – odparła Ultra.

– Za pięć minut pojawi się tutaj Gienadij Boszczenko – białoruski „S-2”. Oficjalnie i na co dzień pracuje w wydziale konsularnym przy Wiertniczej 58. Z tego, co do tej pory o nim wiemy, początek „trasy” ma tutaj, przy łodziarni.

– Co dziś robimy?

– Tylko obserwujemy.

– Ile znamy punktów?

– Łodziarnia, ławka pod napisem, kwiaty, kiosk z pamiątkami, przy specjalnych okazjach park Łazienkowski, później autobus i powrót. Na razie. Nie rozszyfrowaliśmy jeszcze wszystkiego. Napisałaś raport?

– O Lechowiczu?

– Tak.

– Jest na pana biurku.

– Przeczytam go po południu. Opowiedz mi trochę. Ultra rozłożyła ręce, jakby chciała powiedzieć, że właściwie szkoda czasu.

– To zwykły facet. Wrażliwy, kochający rodzinę...

– A drażliwy na ciebie?

Dziewczyna poczuła lekkie pieczenie na policzkach.

– Polubił mnie chyba...

Krentz odwrócił się wolno w jej kierunku.

– Ty też go polubiłaś?

Ultra zagryzła wargi.

– Trochę tak...

– Będzie ci trudniej. Uważaj, abyś nie narobiła błędów.

– Panuję nad sprawą.

– Czyżby? – Pułkownik leniwie spojrział w kierunku Agrykoli, skąd miał nadejść Boszczenko.

– Panie pułkowniku, wiem, że powinniśmy to sprawdzić, ale on kompletnie nie wygląda na kogoś niebezpiecznego. Trudno mi uwierzyć, żeby w jakikolwiek sposób był związany z tymi... nielegalnymi działaniami...

– Ultra! – Krentz raptownie skarcił dziewczynę surowym spojrzeniem. – Co to za gadka? Zachowujesz się jak jakiś niewydarzony, amatorski psycholog z pipidowy. I jeszcze ten policyjny język... „Tymi nielegalnymi działaniami...” – zaskakująco wiernie odtworzył ton głosu Ultry. – Zaczynaj kapować trochę!

– Ale panie pułkowniku! – na szczęście w porę zniżyła głos, zanim ktoś mógłby zwrócić na nich uwagę. – Rozmawiałam z nim kilkakrotnie na gruncie towarzyskim, wiele razy dyskutowaliśmy, przeszukałam jego pokój, widziałam, jak odnosi się do rodziny, otoczenia, nawet własnych poglądów. On ich nie ukrywa, to znaczy tych poglądów. Są silnie prawicowe, ale to jeszcze nie przestępstwo.

– Znasz go od kilku dni i już masz materiał do takich wniosków?

– Oczywiście, że nie. Mam tylko pogląd, że może... po prostu tracimy czas. To tak, jakbym inwigilowała jakiegoś księdza.

Krentz nieoczekiwanie się uśmiechnął. Zdarzało mu się to raczej rzadko, więc Ultra była na tyle zdziwiona, że nie wiedziała, czy ma się zacząć cieszyć, czy martwić.

– Wiesz, ile procent księży współpracowało z SB w czasach komunizmu?

– Oczywiście, że nie wiem.

– Dwanaście. I nie mówię o przypadkowych gadkach z agentami. Tu chodzi o dwanaście procent stałych, aktywnych przez lata współpracowników służb specjalnych.

– O Boże...

– Słyszałem, że nie jesteś katoliczką – Krentz zmrużył oczy.

– Wierzę w Boga, ale... nie uważam, aby jakakolwiek religia była rozwiązaniem. Wiara łączy, religia dzieli. Wolter – zaznaczyła z dumą.

– Wcześniej Konfucjusz – ponownie uśmiechnął się pułkownik. – Ale on, niestety, nie traktował kobiet zbyt poważnie. Za to był cholernie cnotliwy. A to, jak wiemy, charakteryzuje złych bądź pełnych hipokryzji polityków. Raczej nie sprawdził się jako doradca władcy państwa Lu.

Krentz, widząc zachmurzoną twarz dziewczyny, objął ją za ramię po ojcowsku.

– Podpuszczam cię trochę – puścił do niej oko. – Szanuję twój pogląd, ale sprawa Lechowicza jest nadal twoim głównym zadaniem, rozumiesz?

– Tak jest.

Moment ciszy pozwolił dziewczynie zebrać myśli.

– Panie pułkowniku – odezwała się po chwili – co będzie z teczkami tych księży? Kiedyś zrobi się z tego straszna afera.

– Teczek już nie ma.

– Jak to nie ma?

– W 1989 roku oddano prawie wszystkie Kościołowi. Zostało zaledwie kilkadziesiąt.

– Dlaczego?!

– Bo to jest polityka, drogie dziecko.

Średnio jej się spodobało to „drogie dziecko”, ale treść wypowiedzi Krentza ją przeraziła.

– Przecież teraz dzięki temu duchowni, którzy donosili na Kościół, mogą dalej działać, spowiadać, rozgrzeszać, wszystko!

– Nie martw się, załatwią to sami ze sobą. Są lepsi niż FBI. A teraz uśmiechnij się do mnie szeroko i opowiedz mi o tym, jak ci leci z twoim chłopakiem, powiedzmy... Jędrzejem.

– Chłopakiem, Jędrzejem... – dziewczyna na chwilę osłupiała.

– Tak. I nie odwracaj się przez parę sekund. Idzie Boszczenko. No więc jak tam? Oświadczył ci się już?

Ultra nabrała głęboko powietrza do płuc i wydusiła z siebie szeroki uśmiech.

– On jest taki nieśmiały, czuły... ale nieśmiały... Boszczenko niemal otarł się o nich i przeszedł na drugą stronę ulicy.

– I myślisz, że kocha, tak jak mówi?

Ironiczny uśmiech na twarzy Krentza nie pozwalał się jej skupić.

– Kocha jak jasna cholera – warknęła złośliwie. – Czasem aż ledwo żyję z tej miłości!

– Och, jak to pięknie – rozmarzył się Krentz i odwrócił dyskretnie w stronę, w którą poszedł Boszczenko.

Białorusin zrobił jeszcze kilka kroków i usiadł na ławce pod niewielkim murkiem z napisem „LEGIA PANY”. Pułkownik zwrócił się teraz do dziewczyny. Spoważniał i wyglądało na to, że prawdziwa robota się zaczęła.

– Co widzisz? – spytał cicho.

– Usiadł na ławce.

– Co jeszcze?

– Usiadł pod literą „N”.

– Doskonale. Siada tylko pod literą „N” lub „E”. Zdaje w ten sposób meldunek z wykonanego bądź niewykonanego zadania lub wydaje polecenie. Kiedyś zamalowano ten napis i trzeba było go w nocy odmalować.

- Zapalił papierosa, wstał – ciągnęła Ultra, której z twarzy nie zniknął promienny uśmiech.
 - Dalej.
 - Podchodzi do budki z lodami. Chwila. Kupił – rzuciła z zadowoleniem dziewczyna.
 - Mów.
 - Tylko czekoladowe.
 - Dobrze.
 - Przeszedł ulicę. Idzie chyba po kwiaty.
 - Wstajemy, będziemy szli przed nim do sklepu z pamiątkami.
- Podnieśli się z ławki i zaczęli wolno iść w stronę Łazienek.

– Ilu tu mamy ludzi?

– Sześciu plus sprzęt. Wciąż nie wiemy, kto odbiera „trasę”. Uśmiechaj się.

Boszczenko kupił trzy tulipany i zaczął wolno iść w stronę kiosku z pamiątkami. Po kilku krokach zatrzymał się jednak nieoczekiwanie na przystanku i szybko wsiadł do nadjeżdżającego autobusu. Ultra dyskretnie się odwróciła, ale, niestety, było za późno. Przez chwilę spotkali się wzrokiem z Białorusinem i drzwi autobusu się zamknęły.

– Nie rób tego więcej – mruknął chłodno Krentz.

– Przepraszam. Co się stało, panie pułkowniku?

– Nie wiem. Wracamy.

Sen jest wtedy, kiedy jest miękko. Stawiasz stopy lekko, bezkarnie i nie boli. Można latać, być silnym, śmierć jest niestraszna, bo nierzeczywista.

– Dlaczego sen w ogóle jest? – pomyślała Wika, idąc małą uliczką, wpatrzona we własne stopy. – Dlaczego żyjemy w dwóch światach o innej wyobraźni, możliwościach, o innych prawach? Dlaczego nie usypiamy na kilka godzin wyłączeni ze świadomości, aby potem wrócić do tego jednego miejsca i czasu, z którego wyrastamy? A tu nie! Co noc do umysłu wkrada się oszustwo, czasem piękne, czasami przerażające, ale zawsze kończące się rozczarowaniem, wyrwaniem i pożegnaniem. Niekiedy nawet w to uwierzemy, już tym żyjemy, a tu koniec... Może życie kończy się podobnie? Budzimy się gdzie indziej, tyle tylko, że ta nasza noc trwa dużo dłużej, czasem parę, a czasem kilkadziesiąt lat... Ciekawe, czy ludzie też boją się zasypiać tak jak ja?

Wikaomal nie wpadła na drzewo rosnące przy chodniku, więc szybko wróciła do rzeczywistości, aby sprawdzić, gdzie jest. Ścisnęła mocniej brązową teczkę, którą trzymała pod pachą, i rozejrzała się dookoła. Niewielkie osiedle domków jednorodzinnych sprawiało swojskie, miłe, przytulne wrażenie, jak na prospektach ze Skandynawii. Spokój był wszechobecny, a główna ulica znajdowała się daleko stąd. Nawet płac zabaw dla dzieci kuśił przyjemnym chaosem. Był bardziej w głębi, aby maluchy nie przeszkadzały mieszkańcom odpoczywać po pracy swoim żywotnym szczebiotem, kłótniami o grabki albo kubełek czy wreszcie głośną rozpaczą, że trzeba już wracać.

Wika podeszła do domu numer sześć i nacisnęła guzik z rysunkiem dzwonka.

– Tak? – usłyszała męski głos w domofonie.

– Przepraszam, że przeszkadzam – zaczęła dziewczyna. – Działam w imieniu Instytutu Badań Społecznych, jestem studentką. Czy zgodziłby się pan na krótką ankietę?

– Długo to potrwa? – spytał uprzejmie gospodarz.

– Pięć do dziesięciu minut – uspokoiła Wika.

Wika – Dziennik, 1 czerwca

Jaka byłam, kiedy się urodziłam? Pozostały tylko zamazane krwią wspomnienia matki i czarne szmaty żałoby po niebyciu ojca. Pokutny szal przydeптany przez małą dziewczynkę. Dzieciństwo z bezpańskimi odbiciami w lustrze. Bękarcie pytania. Dość skrzywionych warg litości. To był krótki, urwany, właściwie konwulsyjny ruch wskazówki. Zawył czas. Kocim wrzaskiem obudzona noc przygarnęła dziewczynę już z kłami. Wstałam, o mokry jeszcze materac naostrzyłam pazury. Wielkie oczy skatowanego szczeniaka, za kratami... nie ma ich, wyklute świeżymi sztyletami. Głuchy dźwięk pękających galek echo rozniosło po lesie. Akt miłosierdzia, wyzwania mojego wyznania.

Smak surowego mięsa, kwaśny zapach na granicy śmierci i ostatniego oddechu. Ciepłe, słodkie, kruche jeszcze ścięgna, jędrny opór... lekki skurcz mięśnia w ręku. Śmierci nie trzeba szukać daleko, wisi na wieszaku obok skórzanego palta. Dynda wyzywająco. Wystarczy wyciągnąć rękę. Zna kroki każdego tańca. Muzyczna interpunkcja, czerwona partytura. Tańczą do niej nawet ślepcy. Matematyczna dokładność bez prądu. Nie odtrąca nikogo. Nie wybrzydza. Prowadzi statystyki bez spisu powszechnego. Otwiera ramiona, przytula wszystkich z taką samą siłą. Tylko te dwadzieścia jeden gramów oszczędza.

Ludzie wierzą i wymierzają. Wszystko muszą mierzyć, ważyć. Do każdej rzeczy czy pojęcia coś przykładają. Jeśli brakuje możliwości porównania, sprawa przestaje mieć wymiar rzeczywisty. Nawet swoje spiętrane duszyczki policzyli. Nikt już nie szuka materii, zapchali sobie pyski dwudziestoma jeden gramami. Siedzą teraz, każdy na swojej ławeczce, upasieni, z duszami w żołądkach. Nikt nie pomyśli, czy jej tam wygodnie, czy się nie nudzi. Biedactwa nawet nie mają gwoźdźca, żeby sobie przybić obrazek. A śmierć łaskawa uwalnia ją od nich, ogłasza amnezję dla dusz.

WIERSZ DLA NIEJ

Deszcz chłepce jej twarz

*Zachłanny zachłannej
Tylko jemu dała się posmakować
Śmierć
Śmierci jest tysiąc i po trzykroć*

*Tysiąc jest życzeń
Niedoczekanych w dzieciństwie
I zabranych do ziemi*

*Ziemia
Matka i Kat
Na wiosnę pulchna i pełna
Wystrojona
na każdą okazję
położę się
będzie nam bliżej do siebie*

* * *

Kamil położył delikatnie dłoń na rękę Ultry. Chciał i starał się na nią patrzeć, dostrzec jakieś wskazówki w jej oczach, ale nie wiedzieć czemu, wzrok uciekł mu gdzieś na podłogę samochodu, w którym siedzieli. Milczał przez kilkanaście sekund, licząc, że jakiś anioł podpowie mu, co ma robić, jak ją objąć, przytulić...

– Tu mieszkam – wyrwało mu się, jak gdyby nagle sobie o czymś przypomniał.

– Wiem, Kamil. Stoimy przed tym domem od pięciu minut – uśmiechnęła się Ultra.

– No tak... To był... bardzo piękny wieczór, chciałbym...

– Jak też tak uważam – dziewczyna starała się nie czynić żadnego gestu. – Kolacja bardzo mi smakowała, film w kinie też był super.

– A czy... czy może nie zechciałabyś jeszcze wstąpić do mnie na chwilę? To piąte piętro... raczej niewysoko, bo tu jest dziesięć pięter... a windę naprawili... mam dobre... te... w lodówce... i...

– ...Zechciałabym – wybawiła go od zawału serca rozbawiona dziewczyna.

– Naprawdę?! – Kamil aż podskoczył na swoim siedzeniu i chwycił jej rękę tak mocno, że musiała zacisnąć zęby, aby nie jęknąć z bólu. Na szczęście za chwilę wyszedł z samochodu i najwyraźniej ochłonął, bo podszedł już do jej drzwi spokojnie, z szarmancją otworzył je i wyciągnął do niej z dostojnym uśmiechem rękę, aby mogła wygodnie wysiąść.

Gdy zamknął samochód, podał dziewczynie, jak to się elegancko w dawnych czasach mówiło, ramię i tak przemaszerowali do windy. Dopiero tu ogarnął Ultrę nieprzyjemny,

zimny niepokój, czający się już od pewnego czasu, ale teraz odczarowany całkowicie. Wędrował chłodnym potem po szyi dziewczyny wolno w dół, powodując drętwienie dłoni, a nawet lekkie drzenie nóg. Wszystko to, co miało być oszustwem, nagle niebezpiecznie zaczęło się zbliżać do prawdy. Do Ultry docierała powoli wiadomość, z jaką ta część jej umysłu, która odpowiadała za wiarę w istotę dobra i zła, musiała sobie wreszcie poradzić. Winda dojeżdżała do tego cholernego piątego piętra, gdzie ostatecznie miała się przekonać, jak bardzo przegrała pierwsze poważne starcie z własną słabością. Pytanie było bardzo proste. Jak wykonać całkowicie zadowolająco zadanie, mając coraz bardziej osobisty stosunek do podejrzanego? Potrzeba jak najszybszego odnalezienia odpowiedzi pojawiła się właściwie w sekundę po zamknięciu drzwi wejściowych do mieszkania, kiedy to „podejrzany” zerwał z niej kurtkę, koszulę, stanik, spodnie, po czym przyłgnął do niej w długim i mocnym pocałunku. Dziewczyna chwyciła go za ramiona, przytulając się z całej siły i drżąc, jakby stali na zimnym wietrze w nocy, na chłodnej łące lub w ponurym, ciemnym lesie. Wtedy wziął ją z zaskakującą łatwością na ręce, przeniósł szybko na łóżko, uporał się z tym, co jeszcze miał na sobie, i Bogu chyba tylko zostawiając wiarę w to, że serce nie wyskoczy mu z klatki piersiowej, objął ją najczulej, jak tylko potrafił. Otworzył szeroko oczy i całował szyję dziewczyny, piękne jak w najśmielszych marzeniach piersi, ręce, brzuch, nogi...

– Wpadłem w to jak... – próbował wydusić z siebie.

– Ciii – Ultra położyła błyskawicznie palec na ustach Kamila.

– Ja... Kocham cię! – Chłopak na chwilę zacisnął mocno usta. – Tak bardzo. Nie potrafię nie myśleć o tobie nawet minuty!

Dyszał szybko i ciężko, a w jego oczach Ultra dojrzała niespodziewany błysk uczucia przypominającego przerażenie.

– Dotykaj mnie, Kamil... – powiedziała cicho, zapominając na dobre o wszystkim, o czym w takiej chwili pamiętać powinna i czego ją uczono.

Leżeli na wznak, patrząc w sufit. Tak właśnie zapadła kurtyna, która ostatecznie pogrzebała nadzieję na powrót. Ultra i Kamil byli już daleko, biegali po pustyniach, pili wodę z górskich źródeł, wylegiwali się na łące, stawali się coraz bardziej błogo głusi i ślepi. Omijali niebezpieczne rafy i... zapominali. W kilka chwil zmyli z siebie złe słowa, spalili mundury, wyrzucili do rzeki broń. Siła spływała na nich powoli, malowała uśmiech na twarzach i wstydliwie rozbierała do naga.

– Choćbyś nie wiem jak wielkim był rycerzem, kwiaty od tego nie zakwitną – powiedział wolno, coraz bardziej pogodny i uśmiechnięty Kamil.

– Słucham?! – Ultra uznała, że pora sprawdzić, czy z osobą, która leży obok niej, na pewno wszystko jest w porządku. Szczególnie że przed pięcioma minutami uczestniczyła wraz z nim w dość spektakularnym jak na jej optykę akcie miłosnym.

– Konfucjusz. Mój ulubiony cytat.

Twój też? – uśmiechnęła się do swoich myśli dziewczyna.

– Mówi w nim o drzemiącej w każdym z nas dwoistej sile – ducha i materii – kontynuował poważnie Kamil. – Rycerz, choćby nie wiem jak perfekcyjnie wyćwiczył w sobie siłę materii, objawiającą się mistrzostwem w sztukach walki, nie jest w stanie zawładnąć siłą ducha, którego metaforą jest tutaj natura, jeśli oczywiście nie poświęci jej należnego czasu medytacji i męki zrozumienia.

– Taaa. – Ultra oparła się na łokciu i nadludzkim wysiłkiem zmusiła się do zachowania powagi na twarzy. – Męka zrozumienia... to jest coś!

– Nie kpij! – roześmiał się Kamil, serwując jej kuksańca w bok. – Będziesz w przyszłości pracowała w systemie penitencjarnym, nie możesz być taką ignorantką!

– Mogę – machnęła ręką dziewczyna i wybuchnęła śmiechem.

– Nie gadam z tobą! – udał oburzenie Lechowicz i odwrócił się do niej plecami.

– To mnie przynajmniej przeleć – zażądała Ultra. – Gadać nie musisz.

Kamil obrócił się raptownie i przyłgnął do jej ust.

– Nie masz dość? – spytał, przerywając pocałunek.

– Nie – powiedziała szeptem, nie spuszczając z niego oczu.

– Zostań ze mną – zaproponował z powagą Lechowicz.

– Nigdzie się na razie nie wybieram.

– Wiesz, o czym mówię.

Ultra położyła się z powrotem na plecach i utkwiała wzrok w nieokreślonym punkcie na suficie. Kamil wsunął rękę pod kołdrę i znalazł jej piersi. Wolno przesunął dłoń po każdej z nich, wyczuwając przyjemną gęsią skórę na ciele dziewczyny. Potem nieśpiesznie przewędrował wzdłuż jej ciała, aż dłoń zniknęła między udami. Ultra prawie nie zmieniła wyrazu twarzy, ale rozchyliła delikatnie nogi, a jej ledwie dostrzegalny uwodzicielski uśmiezek w kąciu ust jeszcze bardziej dodał mu animuszu. Jej ręka opadła delikatnie na głowę Kamila. Zanurzyła palce w jego włosach i przyciągnęła go do siebie. Po chwili również włożyła rękę pod kołdrę, a gdy znalazła to, czego szukała, otworzyła szeroko oczy, silnie wpijając się w jego usta. Po kilku sekundach zamknęła je jednak i długo nie otwierała.

Jajecznicza wyraźnie już się przypalała, więc Kamil zaczął robić nerwowe ruchy mające zapobiec kompletnej porażce. Jednak gdy wełniany pasek przy szlafroku zapalił się od gazu, cisnął patelnię na pobliski stolik i pobiegł w popłochu do łazienki. Ultra mogła spokojnie pękać ze śmiechu, obserwując go z sypialni, wszystko bowiem miała jak na dłoni. Dwupokojowe mieszkanie Lechowicza było tak zaprojektowane, że kuchnia znajdowała się naprzeciwko sypialni. Łóżko, kompletnie zresztą wbrew zasadom feng shui, stało na wprost drzwi, a pokój gościnny miał wejście z kolei naprzeciwko drzwi prowadzących na korytarz. Ultra nie mogłaby tu mieszkać nie tylko dlatego, że układ pomieszczeń był idiotyczny. Cały wystrój wydawał jej się przyciężki, za bardzo pufiasty i zgredowaty. Skórzane, nadęte fotele,

kanapa, ciemne, drewniane meble sprawiały wrażenie, jakby ważyły po kilkaset kilogramów. Kiedy Kamil zniknął w łazience, aby ugasić pożar szlafroka, dziewczyna wstała leniwie z łóżka i postanowiła się wreszcie ubrać. Sięgnęła po koszulkę na ramiączkach, obejrzała ją dokładnie, po czym niechętnie włożyła.

– Boże, jakie ty masz mięśnie brzucha! – Lechowicz pojawił się cały mokry w drzwiach sypialni. – Jakbyś była gimnastyczką.

– Nie mam bielizny na zmianę – Ultra zignorowała komplement. Nie znosiła noszenia tego samego ubrania dwa dni z rzędu, nie mówiąc już o bieliźnie.

– Będziesz chodziła bez majtek – uśmiechnął się ciepło zadowolony Kamil.

– Żeby chociaż miała spódnice, ale tak w spodniach...

– Pojedziemy po twoje ciuchy i szybko przywieziemy.

Dziewczyna powoli pokiwała przecząco głową.

– Jeszcze nie teraz.

– Dlaczego? – Kamil opuścił bezradnie ręce.

– Mam teraz sporo spraw do wyjaśnienia w życiu, nie mogę wywracać wszystkiego do góry nogami.

– Do góry nogami?!

– To chyba byłaby dość duża zmiana, nie uważasz?

– Ale jak najbardziej naturalna! Kiedy ludzie się kochają, powinni ze sobą być! Chyba mam trochę racji?

– Będziemy razem. – Dziewczyna wciągnęła spodnie, aby nie rozmawiać o tak poważnych sprawach z gołą pupą. – Ale dajmy sobie trochę czasu.

– A co ty masz teraz takiego strasznie ważnego do zrobienia w życiu? – nie ustępował Lechowicz. – Kończysz studia, może zaczniesz pomału działać w naszej partii i tyle!

– Kamil! – ucięła Ultra. – Nie planowałam tego. To, co się stało między nami, jest dość niespodziewane. Mieszkam z przyjaciółką i jesteśmy sobie bliskie. Nie mogę tak po prostu wejść i powiedzieć, że dzisiaj się wyprowadzam.

– Mówiłaś, że znasz się z nią kilka miesięcy!

– Znam się z nią prawie rok, a z tobą trzy tygodnie.

Lechowicz usiadł ciężko na łóżku, obok którego stała Ultra, i zwiesił głowę.

– Emilio, na Boga... daj nam szansę. Kocham cię, zidiociałem na twoim punkcie, nie mogę tu teraz mieszkać tak sam!

– Nie histeryzuj! – skarciła go dziewczyna. – Ja też nie wykonywałam tych dzisiejszych nocnych fikołków-koziółków wyłącznie dla pustej rozrywki, ale nie potrafię tak szybko się decydować. To ważne sprawy. To wymaga czasu. Muszę ci mówić takie komunały?!

Kamil wolno wstał i poszedł do łazienki, aby się ubrać. Kiedy zdejmował szlafrok, zauważył, że lekko drżą mu ręce. Czuł rozczarowanie i lęk. Nie pamiętał w swoim dwudziestoczteroletnim życiu takiej bezradności. Z przerażeniem zorientował się, że mógłby

dla niej zrobić coś szalonego, nieprzewidywalnego, może nawet... zabić. Nie lękał się tego. Za to panicznie bał się, że może zdarzyć się coś, co mu ją zabierze, zasieje w niej jakąś wątpliwość, zniszczy to, co teraz najważniejsze. Oddychał ciężko, jakby popadał w jakąś niezrozumiałą panikę.

– Spokojnie... spokojnie – szepnął do siebie, starając się wyrównać oddech. Stał przed lustrem, unióśł ręce nad głowę i opuścił je powoli, jak robi to dyrygent, aby przygotować orkiestrę do pierwszego akordu. Zamknął na chwilę oczy chcąc się skupić, i po chwili zdecydowanym ruchem nacisnął klamkę drzwi łazienki. Ultry nie było już w sypialni. Stała przy oknie w dużym pokoju, wpatrzona w ulicę za szybą. Kamil podszedł do niej wolno i mocno ją przytulił.

– Kiedy się zobaczymy?

Dziewczyna odwróciła się do niego i uniosła brwi.

– Przychodzisz, odchodzisz, świat przez ciebie zrobił się... niewyraźny – uśmiechnął się wreszcie Lechowicz. – Przyznaj się, jesteś kosmitką i robisz na mnie eksperymenty!

– Przejrzałeś mnie na wylot.

– Od razu wiedziałem. Nikt nigdy nie wywoływał we mnie takich uczuć.

– No i od razu stałeś się romantykiem.

Kamila zaboląta ta kpina, ale nie dał po sobie poznać. Pocałował ją tylko w głowę, korzystając jeszcze raz z okazji, aby zanurzyć palce we włosach dziewczyny, i wyszedł z pokoju. Ultra stała przez chwilę przy oknie, a następnie drgnęła, jakby wyrwała się z odrętwienia. Wyszła szybko do kuchni za Lechowiczem.

– Może ta jajecznicza nadaje się jeszcze do czegoś? – rzuciła za nim.

– Jest do dupy – uśmiechnął się chłopak. – Usmażę nową.

ROZDZIAŁ 6

Podinspektor Rafał Tkaczyk był nawet sympatycznym grubasem, co, jak uważał Ryszard Snopczyk, nieczęsto grubasom się zdarza. Rudiego do grubasów nie zaliczał, co najwyżej do osób potrzebujących od czasu do czasu przystopowania z wcinaniem dziesięciu ciastek dziennie. Rafał Tkaczyk ponadto, jak sądził podkomisarz, miał w sobie tę miłą cechę, rzadką z kolei wśród wyższych oficerów, która pozwalała mu nie robić wrażenia, że zjadł wszystkie rozumy, więc można się było z nim jako tako dogadać. Snopczyk jednak, idąc do niego teraz korytarzem, niepokoił się, bo w żaden sposób nie mógł wyciągnąć od szefa, czego dotyczyć będzie rozmowa. A to dość istotna informacja, szczególnie że Rudi ostatnio narozrabiał u sądowego, wysupłał skądś papiery na badania i właściwie niekoniecznie musiał mówić prawdę, twierdząc, że była na to zgoda szefa. W dodatku znaleźli dzisiaj nad ranem kolejną ofiarę „Kubusia”.

Rudi pewno już siedział w gabinecie szefa, a możliwe, że dostawał nawet ochrzan. Z tych, a także i kilku innych powodów ciężko się Snopczykowi naciskało kławkę do gabinetu Tkaczyka, ale postanowił jak najdłużej trzymać fason i w razie czego załamywać się w trakcie spotkania, a nie przed nim. Nie martwić się na zapas – to była generalna zasada, którą kierował się podkomisarz.

– Wejdz szybko, jest mało czasu! – przywitał go podinspektor.

Snopczyk natychmiast zamknął za sobą drzwi i podszedł do pustego, przygotowanego, jak sądził, chyba dla niego krzesła, stojącego obok wpatzonego w podłogę Rudiego.

– Miałem telefon z gabinetu komendanta głównego – kontynuował szef. – Zaraz przyjdzie tutaj dwóch facetów.

– Z Komendy Głównej? – zapytał z obowiązku Snopczyk, nadal niepewny, czy kłopoty już są, czy dopiero nadciągają.

– Nie. Nie wiem, co to za ludzie.

– Słucham? – obudził się z odrętwienia Rudi. Tkaczyk przetarł chusteczką czoło i nabrał głęboko powietrza do płuc.

– Komendant kazał nam przyjąć tych gości i całkowicie podporządkować się ich prośbom.

– Czy szef coś z tego rozumie? – Snopczyk uniół brwi, starając się dostrzec w spojrzeniu

podinspektora jakąś odpowiedź.

– Niewiele. Mogę się tylko domyślać z kontekstu rozmowy, że to jacyś oficerowie UOP-u albo innych tajnych służb.

– Czego od nas chcą?

– Bardzo inteligentne pytanie. Zawsze wiedziałem, że mogę liczyć na twoją bystrą dociekliwość. – Podinspektor wyciągnął z kieszeni sfatygowanego papierosa, zapalił go i mocno się zaciągnął. – No, przecież po to was tu, kurwa, wezwałem, abyście mogli chociaż przez kilka minut się do tej gadki trochę przygotować – zaczynał zdradzać objawy coraz większego rozdrażnienia. – Teraz ja ci zadam równie inteligentną zagadkę: jak myślisz, czy mi to powiedzieli?!

– Jeśli to tajne służby... to pewnie nie.

– Dziękuję. Bo już myślałem, że zostawiłeś mózg w sraczu, z którego nie wychodziłeś dziś przez całe przedpołudnie!

– Trochę mnie boli brzuch.

– Wziąłeś coś? – spytał z niemal szczerą troską Tkaczyk.

– Tak. Jest lepiej.

– To teraz spieprzajcie do swoich pokojów i czekajcie, aż was zawołam.

Telefon na biurku zaczął dzwonić, zanim jeszcze skończył zdanie.

– Tkaczyk, słucham – rzucił do słuchawki.

Stał przez chwilę w bezruchu, przysłuchując się meldunkowi oficera dyżurnego, po czym westchnął głęboko.

– Jak wyglądają? – spytał krótko.

– Poważnie – usłyszał w słuchawce.

Podinspektor zgasił papierosa, rozwiął ręką dym i usiadł zrezygnowany. Położył słuchawkę przesadnie delikatnie na widełki i gestem kazał usiąść z powrotem obu oficerom, bo właśnie zbierali się do wyjścia.

– Za późno, już idą. Udawajcie inteligentnych i profesjonalnych. Nie gadajcie głupot, wysłuchajcie, czego od nas chcą, a następnie z niewielkimi oporami zgadzajcie się na wszystko, co trzeba. Będę się starał panować nad sytuacją.

Rudi z niepokojem zauważył, iż wizyta tajniaków spowodowała, że szef dosłownie zgłupiał i ciężko było poznać w podskakującym neurotycznie za biurkiem grubasie podinspektora Rafała Tkaczyka, zwykle jako tako panującego nad sytuacją. Telefon sprzed pół godziny musiał być rzeczywiście mocny, a goście – z najwyższej półki, skoro aż tak „napoczęli” szefa. Drzwi skrzypnęły i do gabinetu bez pukania wszedł barczysty, ale niezbyt wysoki mężczyzna w czarnym garniturze oraz jego towarzysz, facet uśmiechnięty, opalony, trochę wyższy, o wiele mniej „chłodny” i znacznie mniej oficjalnie ubrany, w zwykłą brązową koszulę i zamszową marynarkę.

– Witamy panów – rzucił już od progu niższy z tajniaków i zamknął drzwi. – To jest

major Krzysztof Bauer, ja nazywam się Piotr Krentz, mam nadzieję, że uprzedzono panów o naszej wizycie?

– Tak. – Tkaczyk wyciągnął rękę do tajniaka w czarnym garniturze. – Rafał Tkaczyk, podinspektor.

– Miło mi, podinspektorze – uśmiechnął się nieznacznie Krentz. – Czy może pan nas zostawić samych z tymi oficerami? – spytał bez ceregieli.

– Jestem tu... dowódcą – zaprotestował zaskoczony Tkaczyk.

– Rozumiem, ale tego wymaga procedura. Możemy rozmawiać tylko z oficerami Snopczykiem i Williamsem.

– Nie wiem, czy to ma sens – bronił się podinspektor. – Oni i tak będą musieli napisać mi z tego raport. Taka jest u nas procedura.

– Nie napiszą żadnego raportu – wyjaśnił z nieznikającym mu z ust uśmiechem Bauer. – Przede wszystkim dlatego, że nas tu nie ma i nie było. A teraz, jeśli pan pozwoli...

Tkaczyk włożył do kieszeni marynarki długopis i chyba po raz pierwszy, odkąd pamiętał, musiał na czyjś rozkaz opuścić własny gabinet. Zręcznie ukrywał niechęć do gości i nieznający go, przypadkowy świadek mógłby ocenić, że nic się nie stało. Oczywiście stało się, i to dużo. Przy podwładnych podważono jego zdanie, nie uszanowano jego autorytetu i wreszcie, do cholery, pominięto go w kluczowej sprawie prowadzonej obecnie w wydziale! Zarówno Snopczyk, jak i ten angielski dupek Williams byli znacznie mniej od niego doświadczeni i choć nawet ich lubił, nigdy nie wpadło mu do głowy, aby stawiać siebie na równi z nimi w jakiegokolwiek sprawie. Partnerskie stosunki uważał za naturalne, za idiotyzm zaś – fanfaronadę i arogancję niektórych wyższych oficerów, szczególnie naczelników wydziałów. To jednak nie zmieniało jego twardych poglądów, że każdy powinien znać swoje miejsce. Tajniacy zrobią wodę z mózgu chłopakom i jeszcze rozluźnią mu dyscyplinę, a to już było absolutnie nie do przyjęcia. Protestować będzie później i nie w tym towarzystwie, ale na pewno tak się nie skończy. Tkaczyk nie miał zamiaru robić awantury, ale oczywiście swój gabinet opuszczał ostentacyjnie wolno, licząc na to, że mniej lub bardziej, ale jednak rozdrażni tych skurwysynów, którzy gównu mu mogą zrobić.

Nikt jednak z gości nie próbował poniżyć policjanta bardziej, niż tego wymagała sprawa. Poczekali spokojnie, aż odwali swój teatrzyk, aby można zacząć pracę. To oczywiste, że Tkaczyk mógł być tu tylko kulą u nogi. Wiedział z pewnością na temat sprawy bardzo niewiele, od lat siedział za biurkiem, nie mając pojęcia o terenie. W dodatku był, niestety, „oknem na świat”, bo jak każdy chcący się wykazać wyższy oficer policji przy byle jakiej okazji, najdalej za kilka dni, roztrąbiłby sprawę. Prasa grzmiałaby o seryjnym mordercy, co akurat było najgorszą rzeczą, jaka mogła się teraz zdarzyć. To, że jeszcze nikt o niczym nie wiedział, społeczeństwo zawdzięczało temu, że sukcesów w ustaleniu sprawcy było dokładnie zero. Pułkownik Krentz zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że psychologa i śledczego opanuje bez problemu, a jak jeszcze obieca im kilka drobniaków, których oni potrzebują jak

wody na pustyni, wszystko potoczy się tak jak trzeba.

– Przepraszamy – w drzwiach dogonił Tkaczyka głos Krentza. – Mam nadzieję, że nas pan rozumie.

– Oczywiście – odparł obojętnym tonem podinspektor i zniknął za progiem.

Gdy w pokoju zostali sami, pułkownik Krentz przysunął sobie krzesło do niewielkiego stolika, przy którym siedziało dwóch osłupiałych policjantów, i chwilę zaczekał, aż jego kolega zrobi to samo.

– Co prawda już się przedstawialiśmy, ale abyśmy się jak najszybciej zrozumieli, wyjaśnimy, że reprezentujemy pewną komórkę śledczą poza strukturami policji i MSW, zajmującą się, najogólniej rzecz ujmując, bezpieczeństwem państwa. Podlegamy prezydentowi.

– Brzmi poważnie – zauważył Williams, ale nie wiedzieć czemu Snopczyk wyczuł w uwadze kolegi niewielką ironię. Postanowił jednak przyjść Rudiemu z pomocą.

– Chyba nie słyszeliśmy o takiej komórce – odezwał się odważnie.

– Nie słyszeliście – odparł chłodno, ale jak zwykle uprzejmie, Krentz, siadając wraz z Bauerem naprzeciwko policjantów.

Rudi i Snopczyk przez chwilę przejrzeni się w oczach pułkownika, po czym zrezygnowali z dalszych dociekań.

– Dlaczego rozmawiamy? – spytał Rudi.

– W związku z serią morderstw tak zwanego „Kubusia” – odparł pułkownik. – To panowie zajmują się tą sprawą, prawda?

– Tak – potwierdził Snopczyk. – Ale nie rozumiem, dlaczego nie rozmawiamy o tym z naszym dowódcą. Przekazujemy mu wszystkie dane i wyniki. To nie ma sensu.

– Czyżby? – uśmiechnął się przyjacielsko Bauer. – Ostatnie wyniki analiz chemicznych, zapachowych, komputerowe, mikroskopowe analizy włókien, również?

Rudi poczuł, jak nagle serce podchodzi mu coraz silniejszymi uderzeniami do gardła. Snopczyk odruchowo spojrzał na przyjaciela, ale natychmiast odwrócił się, aby tajniacy nie zorientowali się, jak bardzo jest zszokowany.

– Spokojnie. – Krentz zdjął okulary, aby je starannie przetrzeć szmatką. – To my zwróciliśmy się do pana z prośbą o uszczegółowienie dowodów, a pan skierował do nas zapotrzebowanie na te badania, prawda?

– Oczywiście – odpowiedział niemal natychmiast Williams.

– Gdyby pan zapomniał, przypominam, że na zapotrzebowaniu jest podpis ze zgodą majora Krzysztofa Bauera, a nie podinspektora Rafała Tkaczyka, ale pewnie pan ma doskonałą pamięć, więc niepotrzebnie o tym mówię.

– Ostatnio coś mu się chrzani – warknął ze złością Snopczyk. – Ale dopilnuję, aby brał odpowiednie leki.

– No dobrze – Krentz powiedział to tonem, w jakim zwykle wydaje się rozkaz

„spocznij!”. – Skoro już mamy płaszczyznę porozumienia, porozmawiajmy o tych wynikach.

– Skąd panowie się o tym dowiedzieli? – Rudi wciąż ciężko dyszał.

– Jak wspomniał pułkownik – wtrącił Bauer – odnieśliśmy wrażenie, że mamy płaszczyznę porozumienia. Czy my zadajemy wam pytania niedotyczące sprawy tych morderstw, na przykład dlaczego liczba przestępstw pospolitych w tym mieście w ostatnim roku wzrosła prawie dwukrotnie?

– Ależ my jesteśmy szeregowymi funkcjonariuszami policji! – oburzył się Snopczyk.

– Nie. Jesteście dwójką facetów, która właśnie zagląda w zęby darowanemu koniowi – mruknął groźnie Krentz.

Zapadła kłopotliwa cisza, podczas której obaj policjanci zdążyli wymienić między sobą porozumiewawcze spojrzenia.

– Obawiam się, że zaszła mała pomyłka – poprawił się szybko podkomisarz, uśmiechając się jak najbardziej naturalnie. – Po prostu chyba źle sformułowaliśmy pytanie. Zastanawiamy się, które informacje mogą być panom potrzebne, a kolega, jak wspomniałem, z pewnością zacznie brać te leki.

Krentz odetchnął z ulgą, dziękując w duszy Bogu, że nie ma przed sobą kretynów. Dopilnował, aby twarz mu wypogodniała, po czym wyjął z neseseru plik dokumentów. Wydobył z niego zdjęcie czterdziestokilkuletniego mężczyzny i podał go Snopczykowi.

– To ostatnia ofiara „Kubusia” – odparł spokojnie podkomisarz.

– Co panowie o nim wiedzą? – spytał pułkownik.

– Jakub Szyрман, czterdzieści cztery lata, żona za granicą, mieszkał sam – wyrecytował Snopczyk.

– A oględziny?

– Jesteśmy w trakcie, ciało odkryliśmy kilkanaście godzin temu.

Bauer prychnął krótkim śmiechem, ale Krentz szybko skarcił go wzrokiem.

– Musicie się pośpieszyć – wałnął prosto z mostu pułkownik. – A my jesteśmy tu, aby wam we wszystkim pomóc.

Tajniacy szybko wychwycili błysk w oczach policjantów, szczególnie Williamsa.

– Czy możemy wystąpić o następne badania? – spytał nieśmiało Rudi.

– Dostaniecie wszelkie potrzebne środki finansowe. Warunek – pełna współpraca oraz zachowanie całkowitej tajemnicy.

– Oczywiście – odrzekli niemal równocześnie.

– Dwa pytania – dopowiedział Snopczyk. – Po pierwsze, mamy swoich dowódców. Trudno będzie nam dochować całkowitej tajemnicy, więc jak mamy się w tej sytuacji zachować? Po drugie, proszę nie zrozumieć nas źle ani podejrzewać o niewdzięczność, ale dlaczego nam pomagacie? Dlaczego to takie ważne? Pracuję w policji już kilka lat, a nigdy nikogo takiego jak wy tutaj nie widziałem.

Tajniacy wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

– Sprawę waszych dowódców załatwimy tak, że nie będziecie mieli kłopotów – zaczął Bauer.

– Tak po prostu? – spytał rezolutnie Rudi.

– Nooo, tak – odparł obojętnie major.

Pułkownik miał minę jak głaz, czekając, aż dyskusja wreszcie dojdzie do interesującego go punktu.

– Dlaczego to takie ważne? – powtórzył Snopczyk.

– Żartuje pan, komisarzu? – mruknął Krentz. – Giną ludzie, zarzynani we własnych domach.

– Jasne. I nagle wzruszyło to służby specjalne, choć w tym roku zamordowano w Polsce kilkadziesiąt innych osób.

Krentz milczał, czekając być może na to, aż podkomisarz się wygada.

– Niech panowie nam zaufają, to może tylko pomóc w śledztwie – ciągnął z nadzieją Snopczyk, cały czas pamiętając o tym, kim była pierwsza ofiara.

Kolejną chwilę ciszy policjanci zużyli na uważne przyglądanie się gościom.

– Podejrzewamy, że te zabójstwa mogą mieć charakter polityczny – zaczął ostrożnie pułkownik. – Pan Jakub Szyzman był znanym działaczem Związku Żydów Polskich w Izraelu. W naszym kraju bywał i mieszkał kilka miesięcy w roku. Miał tutaj wielu współpracowników i o ich bezpieczeństwo bardzo się obawiamy.

– To bardzo naciągana teoria – pokręcił głową Rudi.

– Wiedzieli panowie o tym? – spytał Krentz, ignorując uwagę Williamsa.

– Nie – odparł Snopczyk. – Ale poprzednie ofiary raczej nie miały nic wspólnego z tego rodzaju działalnością polityczną.

– To dopiero jest badane.

– A co już ustalono? – spytał na wszelki wypadek Rudi.

Pułkownik zatrzymał się na moment, robiąc szybko bilans „za i przeciw” kontynuowaniu tej wymiany informacji, po czym ciągnął dalej:

– Przez ostatnich kilka miesięcy doszło do wielu bardzo niepokojących wypadków zastraszzeń i napadów na polskich obywateli narodowości żydowskiej. Podejrzewamy pewną grupę ludzi, na razie nie mogę nic więcej powiedzieć.

– W dzisiejszych czasach?! – jęknął Rudi.

– Jeśliby się tak dobrze zastanowić, to dzisiejsze czasy nie tak wiele różnią się od dawniejszych. I to nie tylko z tego punktu widzenia – odparł gorzko Krentz. – Włożyliśmy mocno różowe okulary, dawne grzechy poupychane w stare pudła przykryliśmy modną narzutą i myślimy, że żyjemy w wolnym, pięknym, demokratycznym i światłym kraju, gdzie ludzie się kochają, a przyszłość należy do nas. A prawda jest taka, że nawet ci, którzy teoretycznie walczyli z komunizmem, przesiąknięli nim tak dalece, że nie potrafią już myśleć inaczej. Władza, jaką proponują w swoim wykonaniu, oparta jest na podobnym

autorytaryzmie i nietolerancji. Wszystko jest w porządku, dopóki się pan z nimi zgadza, ale w przeciwnym razie... cała nasza demokracja bierze w łeb. Zawsze tak tutaj było – demokracja demokracją, ale sprawiedliwość musi być po naszej stronie. Tylko niech pan im to teraz powie... powiesz pana na najbliższej gałęzi.

Krentz zmarszczył brwi. Wyjął z kieszeni idealnie złożoną chusteczkę i wolno, metodycznie wytarł nią dłonie. Wyraźnie starał się, aby jego oddech nie zdradzał żadnych emocji. Zastanowił się przez chwilę, czy to wystarczy, aby zdobyć zaufanie policjantów, ale po chwili, ku ich zaskoczeniu, zaczął mówić dalej.

– Ci ludzie, którzy wyrosli z tamtych czasów, nie są w stanie dać sobie rady z odmiennością poglądów niekiedy znacznych i potężnych grup społecznych, więc zmienili tylko nazewnictwo. Niech pan zorganizuje demonstrację w obronie homoseksualistów, mniejszości narodowych czy wolności seksualnej – zobaczy pan, w jak demokratycznym kraju żyjemy. A pan pyta o dzisiejsze czasy? Nasza tak zwana wolność słowa umożliwiła powstanie tak ogromnej ilości partii politycznych, że chyba nawet prezydent nie słyszał o wielu z nich. A pod niektórymi niewinnie brzmiącymi nazwami kryje się dawna nienawiść, chęć odwetu, cała ludzka małość. Jeśli to choć trochę pana przekonało, to niech mi pan nie zadaje takich pytań.

– Skoro uważa pan, że komunizm się nie skończy, dopóki władzy nie obejmą młode pokolenia, to dotyczy również pana. Pan dorastał w tych czasach – zauważył twardo Rudi.

– Tak – przyznał spokojnie pułkownik, widząc, że chyba złapali haczyk. – Biorę pod uwagę, że dotyczy to również mnie. Chociaż, podobnie jak pan, większość życia spędziłem za granicą i stamtąd sprowadzono mnie w osiemdziesiątym dziewiątym roku.

– Co to za ludzie? – spytał milczący od pewnego czasu Snopczyk. – Mówię o tej „grupie”, która pana niepokoi?

– Rozpracowuje ich nasz agent, nie mogę teraz więcej powiedzieć. Naszym i panów zadaniem jest znaleźć dowody przestępstw.

Williams spuścił głowę.

– Nie znaleźliśmy żadnych nabłonków ani innych materiałów do badań markerowych – przyznał posępnie Rudi. – Nic, co mogłoby określić DNA sprawcy, żadnych odcisków palców, włosów, nic. Teraz być może dadzą coś badania zapachowe, ale nie mamy próbek „zero”. W ciele pana Bożęckiego znaleziono marcinę, ketaminę, johimbinę, poza tym stwierdzono znaczną nierównowagę hormonalną wskazującą na ekstremalny stres i cierpienie.

– Wiem, znam te badania – mruknął Krentz.

– A tak... Jeśli teraz pomożecie nam finansowo, może będzie lepiej. Jestem tylko psychologiem policyjnym. I tak przekroczyłem znacznie uprawnienia. Powinienem siedzieć na tyłku i mu doradzać – tu wskazał na podkomisarza. – A nie latać i robić... to, co teraz robię. Ale ta cała jatka musi się skończyć.

– Jest pan także psychiatrą, prawda? – zauważył Krentz.

– Tak – odparł zaskoczony Williams.

– Sami nie dacie rady – wtrącił Bauer. – Dlatego tutaj jesteśmy. A te jaskiniowe metody, które tu są stosowane, mogą tylko zaszkodzić.

– Przestań, Krzysztof! – skarcił go pułkownik, a następnie skierował przeproszające spojrzenie na policjantów. – To nie wasza wina. Może dożyjemy czasów, kiedy jakiś rząd wpadnie na to, że na policję również potrzebne są pieniądze, a na razie musimy to robić w taki sposób. To idiotyczne, ale tak trzeba. A teraz powiedzcie, czy macie cokolwiek, o co można się zaczepić?

Snopczyk poprawił się na krześle. Pokój szefa, w którym siedzieli, wydał mu się nagle wstydliwie świeży i czysty. Na podłodze leżał czerwono-brązowy dywan, ściany wyglądały na ledwo co odmalowane na swojski niebieski kolor, wielkie biurko, za którym nikt nie siedział, było wykonane z pięknego drewna, monitor od komputera, którego zazdrościł mu każdy szeregowy pracownik, stał tuż obok laptopa, zostawionego przez Tkaczyka. Na ścianie wisiało masę dyplomów, przyciężka szafa, w której cholera wie co było, wyglądała, jakby właśnie ją przywieziono ze sklepu. Wreszcie oni, siedzący po obu stronach niewielkiego, ale eleganckiego stoliczka – pustego, ale i tak z pewnością zbyt wykwintnego jak na to miejsce. Idiotycznie się rozmawiało w tym odpicowanym pokoju, gdzie czwórka ludzi starała się rozwikłać największą zagadkę ostatnich lat. Podkomisarz ledwo powstrzymał się, aby nie wstać i nie zaprosić wszystkich do siebie.

– Mój kolega podejrzewa, że morderstw dokonuje kobieta – westchnął, zamykając na chwilę oczy.

– Sama? – spytał powątpiewająco Krentz.

– Tak – dopowiedział Rudi. – Wiadomo, że dziewięćdziesiąt pięć procent seryjnych morderców to mężczyźni, ale ich portret psychologiczny w większości wypadków jest zwykle dość charakterystyczny: silne psychozy, nerwice pourazowe, konwersje histeryczne, niektóre zespoły neurasteniczne, także lęki dezintegracyjne i zakłócenia w odbiorze tak zwanej jaźni odzwierciedlonej... – Rudi przerwał na sekundę. – Może powiem inaczej: chodzi tu o zniekształcenie własnego odbicia w zwierciadle społecznym wskutek nieprawidłowej internalizacji, czyli procesu, dzięki któremu normy i poglądy pochodzące z zewnątrz przyjmujemy jako własne. Normalnie to częsty mechanizm obronny, ale jeśli ulegnie znacznemu wypaczeniu... U kobiet wygląda to trochę inaczej, ale właśnie lęki, fobie i psychozy grają tu pierwsze skrzypce.

Pułkownik zastanowił się i pokiwał głową, jakby się zgadzał.

– No dobrze, przyjmijmy przez chwilę taką hipotezę, proszę wyjaśnić to szerzej, choć byłbym wdzięczny, gdyby mówił pan trochę bardziej po ludzku.

– No tak, jasne, oczywiście... To tylko przypuszczenie, ale za tą teorią przemawia kilka przesłanek – Williams spojrzał pytająco na gości.

– Rozumiem, niech pan kontynuuje.

– Przez cały czas nie mogliśmy znaleźć właściwie żadnych istotnych śladów...

– To ma być argument? – przerwał Bauer.

– Niech pan kontynuuje – powtórzył Krentz.

– No więc nie było śladów, nawet butów. Jakby podeszwy miała oklejone filcem i była w rękawiczkach. A na miejscu takiej zbrodni zawsze coś jest, cokolwiek. Doszedłem w końcu do wniosku, że byliśmy tak dalece przekonani, że szukamy seryjnego mordercy – mężczyzny, że w związku ze szczupłością środków poruszaliśmy się w tym kierunku odruchowo.

– Wszelkie ślady kobiece w domu Bożęckiego zignorowaliście, uznając, że należą do żony i córki, a męskie wyłącznie do gospodarza? – spytał Krentz.

– Coś w tym rodzaju – przyszedł z pomocą przyjacielowi Snopczyk. – Wiem, że to wygląda z zewnątrz idiotycznie, ale to nie film o poruczniku Colombo, tylko nasza rzeczywistość. Wszystko kosztuje, a za każdą niepotrzebną czynność dostajemy niezły ochrzan. Panom wydaje się, że to wszystko takie oczywiste, ale my po prostu musimy ograniczać się do śladów wskazujących na rozwiązania najbardziej prawdopodobne.

– Niech pan już przestanie o tych pieniądzach, co dalej?

– Przy poprzednich zabójstwach „Kubusia” – przejął pałeczkę Rudi – denaci byli bardziej poranieni, a jednocześnie nie znaleziono śladów walki. Cała układanka nie trzymała się kupy. Wyglądało to tak, jakby ofiary układały się na podłodze, jak tego chce morderca, dawały się przybić i dopiero po kilku minutach zaczynały walczyć. A na dodatek „Kubuś” bez problemu dostawał się do domu, nie zostawiając śladów nigdzie, nawet na klamkach na zewnątrz.

– Musieliście wpaść na to, że on lub ona, jak pan twierdzi – wtrącił Krentz – jakoś obezwładnia ofiary.

– Uderzenie w głowę odpadało, nie było żadnych ran czy guzów, nie było także śladów po jakiegokolwiek iniekcji, czyli zastrzyku, a nie mieliśmy jak zbadać chemii ofiary. Staliśmy w miejscu. Można było tylko snuć przypuszczenia.

– A panowie Bożęcki i Szyрман?

– Z niewiadomych względów dopiero oni mają wyraźne ślady po strzale środkiem usypiającym. Obaj umarli na skutek uszkodzenia mięśnia sercowego ostrzem, najprawdopodobniej długiego noża. Obaj, jak zresztą wszystkie ofiary, mają przeciętą tętnicę szyjną. Długo krwawili, dopóki ich nie dobiła.

– Pana wnioski?

– Moim zdaniem, do poprzednich też strzelała... tyle tylko, że ukryła ślad po wstrzyknięciu dodatkowymi ranami nożem. Jak mówiłem, poprzednie ciała były bardziej okaleczone. W porównaniu z ostatnią ofiarą tamci wyglądali, jakby ich pociąg przejechał. Na nieszczęście większość ran zadała, zanim umarli.

– Dlaczego teraz się bardziej odkryła? Wyraźnie zostawiła wam istotny ślad? – spytał Bauer.

– Nie wiemy, ale to się zdarza. Niekiedy seryjny morderca, widząc bezradność policji,

naprowadza ją na trop. Bardzo przy tym ryzykuje, ale to go podnieca. Czasem nawet chce, by go złapano. W chorym poczuciu moralności rodzi się w nim myśl, aby przestać. Nie potrafi i reaguje w ten sposób. U kobiet nie spotkałem się z takim przypadkiem, ale, jak mówiłem, jest ich wśród seryjnych bardzo mało.

– Cały czas nie przekonuje mnie to, że zabija kobieta, i to sama – przyznał Krentz.

Biała koszula, w której Rudi przyszedł do gabinetu, zrobiła się lekko mokra na plecach. Psycholog podwinął rękawy do wysokości łokci, odpiął najwyższy guzik, korzystając z tego, że krawat zostawił w swoim pokoju, i ponownie wziął się do wyjaśniania.

– Proszę zwrócić uwagę, jak popełniane są zbrodnie. W ten sposób może zabijać ktoś o sile dziesięciolatka. To misternie przemyślany proces zabójstwa wykonywany zawsze z precyzyjną dokładnością, według tej samej zasady, bez walki. Seryjni mordercy o takim profilu psychologicznym w większości wypadków nie potrafią wyzbyć się przemocy fizycznej, zrezygnować z obserwowania strachu, przerażenia czy cierpienia ofiary.

– O jakim profilu psychologicznym?

– Zaraz do tego wrócę. Tacy ludzie gwałcą, a później zabijają, używają noży, siekier, ale bardzo rzadko broni palnej. Dręczą ofiary, i to jest źródłem ich podniecenia. Nie potrafią z tego zrezygnować i tak po prostu kogoś szybko zabić. Aby mordować seryjnie, trzeba wbrew pozorom mieć niezwykle ważny powód. Tkwi on zwykle w ich chorej psychice, ale jest.

– A w tym wypadku jest inaczej?

– Właśnie nie. W tym wypadku jest dokładnie tak samo. Symbole, dręczenie, znaczne okaleczenia, nawet sygnały dla policji, ale... – tu Williams na chwilę przerwał, spoglądając uważnie gościom w oczy – cały ten proces zaczyna się dopiero po obezwładnieniu ofiary ketaminą. Dlaczego? Bo nie ma innego wyjścia. To kobieta, jest za słaba. Może zacząć cały ceremoniał dopiero, gdy ofiara się wybudzi i jest już przybita do podłogi. W tym pomaga jej johimbina – znana głównie jako afrodyzjak, ale – o czym mało kto wie – to doskonała odtrutka na ketaminę. Ulepsza krążenie, oddychanie i ukrwienie... ciał jamistych.

– Jest pan pewien co do charakterystyki psychologicznej tych morderców? Wiemy, że były przypadki strzelania do ludzi z odległości. Tacy „snajperzy” nigdy nawet nie zbliżają się do ofiar – zauważył Bauer.

– To zupełnie co innego. To nie są klasyczni seryjni mordercy, jakim jest „Kubuś”. Z psychologicznego punktu widzenia jest im już znacznie bliżej do terrorystów niż osób chorych, o których tu mówimy. Często ich celem są po prostu pieniądze. Zastraszają miasto lub okolicę, potem żądają forsy. To kompletnie inna sprawa. Wspomniałem, że powiem bliżej o rysie psychologicznym takich jak „Kubuś”, jeśli oczywiście mają panowie trochę czasu.

– Mamy wystarczająco dużo czasu – upewnił go pułkownik.

Rudi otarł ręką twarz, wstał z krzesła i zrobił kilka kroków, zbierając myśli, a następnie zaczął ponownie mówić pełnym pasji głosem:

– Znają panowie takie nazwiska jak Modzelewski, Staniak, Marchwicki, Ołdak, Peter

Kurden, George Chapman?

– Seryjni mordercy – odparł Krentz.

– Tylko ci najbardziej spektakularni. Czytali kiedyś panowie o nich?

– Nie zajmujemy się takimi sprawami. „Kubuś”, jak go czy ją pan nazywa, to wyjątek.

– Rozumiem. Może... Przypomnę kilka faktów. To trochę nakreśli tło i da pewien obraz tego, o czym tu mówimy. OK?

– Bardzo proszę – skinął głową Krentz.

Upierdliwy komar, który przeszkadzał od pewnego czasu Rudiemu, usiadł mu na ramieniu. Był pękaty, jakby nazał się właśnie czyjejś krwi. Williams przymierzał się przez chwilę, usiłując ubić go dłonią, ale chybił.

– „Czerwony Pająk”, czyli Lucjan Staniak – zaczął po nieudanym zamachu na owada – zabijał w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku. Interesujące, że najczęściej... pierwszego maja lub pierwszego listopada. Właściwie zawsze w jakieś święto. Tylko kobiety. Najpierw okrutnie gwałcił, później wolno i sadystycznie zabijał.

Williams wreszcie trafił komara raptownym uderzeniem dłoni. Czerwona plamka ubrudziła mu brzydko lewy rękaw koszuli tuż powyżej łokcia. Wyjął pośpiesznie jednorazową chusteczkę, aby jak najszybciej zetrzeć krew, ale tylko rozmazał ślad na przedramieniu.

– Był artystą, malarzem – mówił dalej, wciąż bezskutecznie walcząc z krwią na koszuli. – Jego ulubiony kolor to oczywiście czerwony. Zabijał bardzo młode kobiety, w wieku od czternastu do dwudziestu lat. Wysyłał niezliczoną ilość listów do milicji, szydząc z jej nieporadności. Zachęcał, aby go szukali i złapali. Serwował im moralne przypowieści i fragmenty wierszy. Listy pisał zawsze czerwonym atramentem. W którymś momencie... właściwie dał się złapać. W śledztwie mówił, że ostatnią ofiarę zamordował, bo bał się, że przestanie być sławny. Chętnie przyznał się do wszystkiego. Zabił trzydzieści kobiet. Wśród jego malunków znaleziono obraz wypatroszonej kobiety, z której rozciętego brzucha wyrasta pęk kwiatów.

Rudi podniósł wzrok znad koszuli, spoglądając na tajniaków.

– Czy rozumieją panowie, o czym mówię?

– Myślę, że tak – odparł spokojnie Krentz.

– Jego cała rodzina zginęła w katastrofie samochodowej. Sprawcą była kobieta, która uciekła z miejsca wypadku. Pierwsza ofiara „Czerwonego Pajaka” była łudzaco do niej podobna.

– Dlatego zabijał? – jęknął Bauer.

– Takie traumatyczne wydarzenie nazywamy „sygnałem osiowym” – wyjaśnił Williams. – Im wcześniej się ono zdarzy w życiu jakiejś osoby, tym jest groźniejsze. Bywa bezpośrednią przyczyną morderstw, ale częściej wzmacnia w psychice to, co właśnie w takim człowieku jest najgroźniejsze. Wielu ludzi przeżywa straszne cierpienia w młodości i nie

wyrastają na seryjnych zabójców, mimo że stwierdza się u nich różnego rodzaju depresje, nerwice, czasem nawet psychozy. Są jednak tacy, u których silne, ekstremalne przeżycia dokonują nieuleczalnej wyrwy w psychice. Nie da się tego nigdy z całą pewnością powiedzieć, ale wielu psychologów uważa, że najprawdopodobniej oni mają od urodzenia już pewne predyspozycje do zachowań nietypowych i agresywnych. A takie coś aktywuje tylko zapalnik cykającej bomby. Wśród specjalistów wciąż trwa o to spór.

– W jaki sposób zabraliście się do szukania tego „Kubusia”? – spytał Krentz.

Bauer spojrział ze zdziwieniem na szefa, ale szybko przybrał obojętną minę. Nie bardzo wiedział, o co pułkownikowi chodzi, ale liczył, że prędzej czy później się dowie. Zbyt rozległe, jak na jego gust, dygresje niezbyt przypadły mu do gustu, ale starał się nie dać po sobie poznać, że jest niezadowolony. Potrzebne im były informacje oraz pewność, że dwóch facetów z policji pracuje od tej chwili bezpośrednio dla nich. Po cholere Piotr kombinuje, jakby rozdziewiczał jakąś nastolatkę?

– Jesteśmy w trakcie wyznaczania tak zwanych cech szczegółowych – włączył się Snopczyk. – Kiedy będziemy ich mieli przynajmniej pięćset, uznamy, że jesteśmy na tropie. Te cechy to... od podstawowych wyróżników fizycznych, takich jak przypuszczalny wiek, wzrost, ewentualne choroby i tak dalej, poprzez domniemane wykształcenie, teren zamieszkania, środowisko, do rysu psychologicznego, czym zajmuje się u nas pan Williams. Badamy logikę poczynań mordercy, miejsca zbrodni, dopasowujemy do podejrzanych... no, dużo bym musiał mówić, nasza praca niewiele się chyba różni od waszej?

– Trochę się różni – mruknął Krentz. – Inaczej bym nie pytał. Jeśli już mamy do czynienia z morderstwami, to raczej dokonywanymi przez zawodowców, w pełni zdających sobie sprawę z tego, co robią.

Boże drogi, Piotr... – błagał w myślach Bauer.

– A do nas przyszliście spytać o świrów? – upewnił się podkomisarz.

– Do was przyszliśmy się spytać, czy przypadkiem nie są to zorganizowane przestępstwa na przeciwnikach politycznych lub dokonane z pobudek fanatycznych, ksenofobicznych czy źle rozumianego „patriotyzmu”.

– Nareszcie – mruknął pod nosem major.

– To chyba niemożliwe – podjął Rudi. – Morderstwa te są okrutne, ale dość charakterystyczne. Nie wierzę, aby ktoś naśladował takie okrucieństwa po to tylko, by ukryć swoje prawdziwe zamiary, a szczególnie nie podejrzewam o to całej grupy ludzi. Musiałyby to być osoby znacznie bardziej zwyrodniałe niż te, o których mówimy.

– Widzę, że mimo swojego zawodu jest pan głębokim optymistą, jeśli chodzi o charakter natury ludzkiej – westchnął Krentz.

Williams zatrzymał wzrok na pułkowniku przynajmniej na kilka sekund, po czym podszedł do automatu z wodą, nalał trochę do plastikowego kubka i zanurzył w nim kawałek chusteczki.

– Zanim dojdziemy do jakichkolwiek wniosków, chcę, aby pan dał nam wystarczającą ilość materiału do przemyślenia – zachęcił Krentz. – Jak dokładnie można określić rys psychologiczny tak działającego mordercy?

– Na to trudno odpowiedzieć – Rudi, chcąc nie chcąc, rzucił okiem na zaplamioną krwią koszulę. – Psychologia jest nauką poszukującą reguł zachowań, opierającą się na definicjach wysnutych z badań, a więc opisuje sposoby znajdowania najbardziej prawdopodobnych reakcji na dane bodźce. Większość ludzi zachowuje się w określonych sytuacjach podobnie. Jeśli goni pana niedźwiedź – ucieka pan. Jeśli całuje pana piękna kobieta – odczuwa pan przyjemność, my oczywiście badamy znacznie bardziej skomplikowane sytuacje. Zebrane efekty badań, eksperymentów, plus wiedza o rozwoju człowieka i cechach, które są wrodzone i które mogą zostać nabyte, to podręcznik psychologii. Tyle tylko że seryjni zabójcy są właśnie tymi osobnikami, którzy zachowują się najmniej charakterystycznie i najmniej normalnie, stąd cały problem.

– Mówił pan, że są podobni do siebie – wtrącił Bauer.

– Są. W pewnym sensie. Dlatego w ogóle możemy mówić o psychologii agresji, zachowań ekstremalnych czy profilach psychologicznych zabójców seryjnych.

– No dobrze – westchnął swoim zwyczajem Krentz. – Spróbujmy z tego, co wiemy o dotychczasowych takich przypadkach, przyporządkować trochę materiału do poczynań „Kubusia”. Mówił pan, że ten cały „Czerwony Pająk” był inteligentnym artystą, wodzącym za nos policję...

– Milicję.

– No tak, milicję.

– Tak, ale już Zdzisław Marchwicki, czyli „Wampir z Zagłębia”, z tego punktu widzenia był jego przeciwieństwem. – Rudi podjął jeszcze jedną próbę wyczyszczenia koszuli moką chusteczką. – Skończył sześć klas podstawówki, wychowywał się w kompletnie zdegenerowanej rodzinie. Prawie wszyscy odsiadali wyroki – bracia, siostry, rodzice. Zamordował dziewiętnaście kobiet, większość na tle seksualnym. Też nie używał broni palnej. Atakował ofiary w różnym wieku, uderzając je w skroń. Kiedy jedną z nich źle trafił i nie wiała się odpowiednio z bólu lub w agonii – darował jej życie i odszedł. Twierdził później, że taka „skopana” robota nie jest jego warta. Ochoczo przyznawał się do tego, że jeden z pierwszych stosunków odbył z krową, stając na stołku.

Snopczyk skrzywił się z niesmakiem, ale tajniakom nie drgnęła nawet powieka.

– Ofiarom zabierał „fanty” i wysyłał je siostrze – ciągnął psycholog. – Mimo że był tak prymitywny, milicja dopiero po pół roku zorientowała się, że ma do czynienia z seryjnym mordercą. Aresztowano go po siedmiu latach! W swoich pamiętnikach napisał, że prawdziwą satysfakcję seksualną przeżywał dopiero, gdy zabijał. Jeszcze w więzieniu twierdził, że brak mu zapachu krwi i mordowania. Prosty wniosek z tego jest taki, że nigdy by nie przestał.

Rudi na chwilę przerwał, aby skontrolować stan koszuli, ale efekt jego usilnych prób stał

się oplakany. Czerwona plama rozwodniła się i powiększyła co najmniej trzykrotnie. Podszedł więc do kosza i cisnął zużytą chusteczkę do śmieci.

– Marchwicki działał niemal równocześnie ze Staniakiem – ciągnął, przerzucając wzrok z Krentza na Bauera – a jednak skazano go na śmierć. Staniakowi udało się przekonać sąd, że jest niepoczytalny, i wylądował w szpitalu psychiatrycznym. – Williams usiadł z powrotem na krześle. – Ale pierwszym naszym „seryjnym” był facet, który nazywał się Tadeusz Ołdak. Również zabijał same kobiety. Działał na początku lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku, w czasach pełnego stalinizmu, więc ukrywano jego istnienie. Nie nadano mu nawet przydomka. Ofiary dusił, gwałcił, często w czasie dręczenia kobiet rozmawiał z nimi i, jak jego późniejsi „koledzy”, zabierał „fanty”. Czasem uderzał na koniec tępym narzędziem w głowę. Był bardzo młody, gdy go złapano, miał dwadzieścia pięć lat. Fascynował się militariami, zabijał zawsze w mundurze wojskowym. Bardzo interesował się pracą milicji. Był za każdym razem na miejscu zbrodni i obserwował działania śledcze z tłumu.

W kilka miesięcy po Ołdaku rozpoczął swoją działalność Stanisław Modzelewski, z zawodu kierowca. Jego ofiary to także kobiety, które z kolei dusił szalikiem lub nawet rękami. Był wyjątkowo okrutny. Ciął je żyłką, znęcał się nad nimi, okaleczał również zwłoki. Zabierał rzeczy osobiste.

Rudi nabrał głęboko powietrza do płuc.

– Jak więc panowie widzą – ciągnął – mimo wszelkich różnic w charakterze, wykształceniu, pochodzeniu i wieku, możemy znaleźć u typowych seryjnych zabójców sporo cech wspólnych. I na tym się między innymi opierałem, wnioskując, że nasz „Kubuś” to jednak nie Kubuś, tylko „Krwawa Mary”. Nawet wykorzystując przestarzałą, moim zdaniem, typologię Nicholasa Grotha, można wysnuć wniosek, że wszelkie aspekty mordu dotyczące satysfakcji z zabójstwa, dręczenia ofiar, rytuału zostały w naszych morderstwach dostosowane do potrzeb i osobowości typowo kobiecej. Nie używa siły, jest cierpliwa, dokładna, brak podłoża seksualnego, w przeciwieństwie do dziewięćdziesięciu procent morderców męskich, nie zostawia śladów, a mężczyźni zaślepieni żądzą zabijania zawsze czymś się zdradzają. Świadomie lub nie, ale niemal zawsze. Wreszcie ofiary to w połowie mężczyźni, a jeśli już kobiety, to – jak wspomniałem – nie są nawet rozbierane, nie mówiąc o jakiegokolwiek próbie gwałtu.

Rudi zamilkł na dłuższą chwilę, odpoczywając i zbierając myśli.

– No dobrze – Krentz jakby się obudził z głębokiego zamyślenia – znamy jakieś przykłady kobiet seryjnie mordujących?

– Jak mówiłem, to rzadkość. Najwyżej pięć procent. Najsłynniejsza to oczywiście Aileen Carol Wuornos. Zabijała... mężczyzn. Strzelała do nich. Nie waliła ich niczym po głowie, nie próbowała się z nimi siłować. Po prostu strzelała. Niejaka Jeanne Weber, która żyła na początku dwudziestego wieku, mordowała dzieci, dusząc je. Mogła to robić, bo najmłodsza ofiara miała kilka miesięcy, a najstarsza to dziesięcioletek. Były trucicielki, jak Gena Jones –

pielęgniarka z San Antonio, która uśmierciła blisko trzydzieścioro dzieci, Christina Malevre z Francji, która „pomagała”, jak twierdziła, przenieść się na tamten świat ciężko chorym, ale jak się później okazało, od dzieciństwa fascynowała ją śmierć i zadawanie bólu. Warto wspomnieć też o Dorothy Puentes, która była na tyle miła, że mordowała lokatorów, którym wynajmowała mieszkanie. Chciałbym jednak wyraźnie powiedzieć: mimo że zdaję sobie sprawę z tego, iż czyny „Kubusia” to sprawa niecharakterystyczna, być może nawet z wielu punktów widzenia – precedens, to jednak istnieje sporo przesłanek świadczących o tym, że mordercą jest kobieta, i to o określonym już przez nas profilu psychologicznym.

– A w tych miejscach zbrodni jego lub jej dalej żadnych, najmniejszych nawet śladów nie macie? – upewnił się Bauer.

– No, niezupełnie – bąknął nieśmiało Rudi.

– Słucham?!

– Nawet nie wiemy, czy warto o tym mówić, to może mieć charakter artefaktowy – dopowiedział Snopczyk.

– Na pewno warto – upewnił ich major. – No więc? Co to jest?

– Podejrzewamy, że w domu pana Szycmana na chwilę zdjęła buty.

– Co?! – Bauer mało nie zerwał się z krzesła. – Macie ślady stóp?

– Mamy śladowe ilości potu. Nie ma żadnych odcisków stóp. Musiałaby być na bosaka. To tylko drobinki potu, które być może przesiąkły przez pończochy. Niczego się nie da z tego ulepić: ani analizy DNA, ani odcisków, możemy mieć tylko podejrzenia.

– Jak wyglądają te ślady? – spytał Krentz.

– Są nieregularne, jakby ktoś dreptał albo...

– Albo?

– Myślimy, że ona... tańczyła – mruknął nieśmiało Rudi.

– Tańczyła?

– Tak.

– Jaki to ma sens?

– Nie wiem. W którymś momencie po prostu zdjęła buty i zaczęła tańczyć... jak baletnica. Z pewnością ślady mężczyzny, jeśli już zdecydowałby się na taniec, wyglądałyby inaczej.

– W poprzednich miejscach zbrodni były podobne ślady?

– Być może... – odpowiedział Snopczyk, starając się nie spotkać wzrokiem Rudiego.

Bauer spuścił bezradnie głowę, ale Krentz uważnie przyglądał się Williamsowi.

– Możemy przejść do teorii osobowości, jaką pan opracował dla tego sprawcy? – spytał rzeczowo pułkownik.

– Oczywiście, ale muszą mi panowie dać minutkę, skoczę do swojego gabinetu.

– Wszystkim nam przyda się przerwa – przyznał pułkownik, wstając z krzesła. – Można tu gdzieś zapalić?

– Na końcu korytarza – skłamał zawodowo Snopczyk, wiedząc doskonale, że każdy tu

pali, gdzie popadnie.

– Będę za dwie minuty – zameldował Rudi i wyszedł szybko z gabinetu.

– Idziesz zapalić, Krzysztof? – spytał Krentz zastępcę, właściwie wydając mu rozkaz, a następnie uśmiechnął się uprzejmie do Snopczyka i wyszedł z gabinetu, ciągnąc za sobą majora. Podkomisarz został sam. Zamknął oczy, usiłując przez ten czas odpocząć. Czuł satysfakcję. Podobało mu się, że tajniacy pomogą im uzyskać wolną rękę, a co najważniejsze – załatwią kasę. Niech Rudi dalej odwala ten wykład, nawet do wieczora. Oby tylko dało to efekt.

Krentz wyjął z kieszeni paczkę papierosów, poczęstował Bauera, wsadził jednego davidoffa do ust i przypalił sobie oraz koledze. Major rozejrzał się dookoła, upewniając się, czy nikt ich nie słucha, i niemal szeptem spytał pułkownika:

– Po grzyba pytasz ich o te sprawy? Po co w ogóle zadajesz pytania, na które znasz odpowiedź?

– Żeby ich lepiej poznać – odparł spokojnie Krentz, zaciągając się głęboko. – Muszę, cholera, kiedyś rzucić to palenie.

– Długo jeszcze będziemy udawali kretynów?

– Nie udajemy kretynów, ten Williams robi na mnie dobre wrażenie. Poza tym nie udawaj, że absolutnie wszystko wiedziałeś, jesteś takim psychologiem od „seryjnych”, jak ja chińskim tancerzem.

– Znam się na naszej robocie – obruszył się major. – A ty wysłuchujesz pierdoł o Marchwickim czy Staniaku, podczas gdy Ultra lawiruje między tymi świrami!

– A jednak ją lubisz – uśmiechnął się z satysfakcją pułkownik.

– Jest w porządku – przyznał Bauer. – Ale to jeszcze dzieciak. A oni tutaj walą głodne kawałki, że nasi ekstremiści to jakaś szalona morderczyni.

– Wysłuchaj ich do końca, to rozsądne chłopaki. Może taaa, jak on ją nazwał... „Krwawa Mary” nie działa sama, może to mistyfikacja mająca na celu wprowadzenie nas w błąd, może to przypadek. Chcę wysłuchać tego psychologa do końca. I przestań grać zbolatego profesjonalistę lamentującego nad metodami dzisiejszej policji, bo chłopcy zaczną coś kombinować i guzik od nich wyciągniemy.

– Nie dziw mi się. Jak usłyszałem twoje pytanie: „W jaki sposób zabraliście się do szukania tego «Kubusia»?”, ręce i nogi mi opadły.

– Miej trochę szacunku dla innych – skarcił go Krentz. – My od razu dostaliśmy forszę, władzę, warunki do działania, szkolenie dla pracowników w Stanach, Anglii, i w Izraelu – rzeczy, których oni nie dostaną nigdy. Policja nie ma nawet porządných maszyn do pisania! Wszystko dlatego, że dla ludzi my nie istniejemy, a oni są pierwszą linią do odstrzału dla pismaków!

Bauer machnął ręką, dając wyraźnie do zrozumienia, że ma dość.

- W porządku, zamknę się i zobaczymy, co to nam da.
- Nie zamykaj się, tylko bądź... przyjacielski.
- OK, będę przyjacielski.

* * *

Kiedy Rudolf Williams zjawił się ponownie w gabinecie Rafała Tkaczyka z plikiem fruujących na wszystkie strony papierów – dokumentów, fiszek, notatek, goście i Snopczyk siedzieli już na swoich miejscach i niecierpliwie czekali wykładu psychologa. Rudi położył to, co miał do tej pory pod pachą, na stoliku, rzucił okiem na obecnych, jakby sprawdzał, czy na pewno są gotowi, i gdy właśnie chciał zacząć, Krentz niespodziewanie podniósł rękę.

– Zanim pan przedstawi swoją wersję, chciałbym coś powiedzieć – rzekł, zdejmując przyciemniane okulary, które najpewniej włożył podczas przerwy.

– Tak? – spytał nieśmiało Williams.

– Jak chyba wspomnieliśmy, przyszedliśmy do panów, ponieważ podejrzewamy, że tych morderstw dokonuje ktoś, kto działa na zlecenie określonej, zorganizowanej grupy politycznej. Może to mieć podłoże rasowe, konkretnie antysemickie oraz skierowane przeciwko czarnoskórym mieszkańcom Polski.

– Nie było wśród ofiar żadnego Afro... Polaka – zauważył Rudi, po czym szybko ugryzł się w wargę.

– Afropolacy... – mruknął do siebie załamany Snopczyk i ukrył twarz w dłoniach. – Rudi, miej litość...

Nikt na szczęście nie słyszał uwag podkomisarza, ale pułkownik szybko zareagował.

– Były napady, próby zastraszeń i grózb przeciwko życiu.

– Czyli... panowie nie wierzą w moją wersję? – spytał z naciskiem Williams.

– Jeśli pan ma rację, to wszyscy mamy jeszcze więcej kłopotów, niż myślimy. Śmierć ważnego działacza w jego własnym domu, zamordowanego z pewnością nie dla celów rabunkowych, musi wzbudzać podejrzenia o cele polityczne.

– Poprzednie ofiary nie miały z polityką nic wspólnego.

– Niekoniecznie. Dopiero to badamy. Sam pan doskonale wie, że często osoby z pozoru niezwiązane ze sprawą mogą być jej ścisłą częścią. Czy tak jest w tym wypadku? Nie wiemy. Ale to między innymi jest jeden z celów, dla których się tu spotkaliśmy. Pańska wypowiedź była bardzo pouczająca i dla nas ciekawa, jednak zanim opowie nam pan o domniemanym mordercy ze swojego punktu widzenia, chcę zwrócić uwagę na to, że całość... trochę nie trzyma się kupy.

Williams przez chwilę milczał, stojąc właściwie bez ruchu, po czym spytał cicho:

– Czyli mamy rozumieć, że nasz układ dotyczący waszej pomocy jest nieaktualny?

– Wręcz przeciwnie – zaprzeczył pułkownik. – Doprowadzimy sprawę do końca, nawet

jeśli ci, których podejrzewamy, okażą się niewinni. Zadaję więc panu proste pytanie: czy jest możliwe, aby seryjny morderca, będąc chorą psychicznie osobą, mógł mieć jasno sprecyzowane cele polityczne?

– Z psychologicznego punktu widzenia?

– Oczywiście. Niech pan sięgnie także do autopsji i odpowie: tak czy nie?

Rudi spojrział ostrożnie na Ryszarda Snopczyka, ale ze wzroku podkomisarza wynikało tylko jedno: „Wszystko w twoich rękach, przyjacielu!”.

– To możliwe – odparł wolno psycholog.

– A więc spróbujmy spojrzeć na to z tego punktu widzenia. – Krentz rozparł się na krześle, dając do zrozumienia, że to wszystko, co ma na razie do powiedzenia.

Rudi stał przez chwilę, jakby się zastanawiał, co w tej sytuacji zrobić, po czym nachylił się nad stołem, poszperał w notatkach, wyjął kilka luźnych kartek i szybko je przeglądając, zaczął z podobną pasją jak kilkanaście minut temu:

– Jesteśmy właściwie przekonani, że tych morderstw dokonuje ta sama osoba, i prawie pewni, że działa sama. Jak mówiłem, biorę odpowiedzialność za teorię, że to kobieta. Zawsze ten sam scenariusz: brak śladów włamania, brak śladów walki, ofiary przybite do podłogi potężnymi gwoździami za nadgarstki, przecięta tętnica szyjna, ślad po ciosie nożem w serce kończącym życie zaatakowanego. Wszystkie zabójstwa były dokonane w domach jednorodzinnych, w pomieszczeniach z drewnianą podłogą.

– Czyli jest duże prawdopodobieństwo, że sprawca znał wcześniej ofiarę oraz wnętrze domu? – spytał Bauer.

– Niekoniecznie – wtrącił Snopczyk. – Morderca może podawać się za akwizytora, urzędnika, kontrolera, pracownika któregoś z biur badań społecznych, a nawet za policjanta. Wchodzi do środka, rozgląda się, decyduje lub nie.

– To wskazywałoby na wersję „przypadkowa ofiara” – zauważył Krentz.

– Nie – zaprzeczył krótkim ruchem głowy Rudi. – Ona obserwuje tych, których odwiedza, być może nawet dość długo. Chce ich poznać, przyjrzeć się ich ruchom. Wyczuć, czy są pewni siebie, aroganccy, dominujący, czy może nieśmiali, słabi, bezradni...

Williams ponownie zanurzył się w notatkach.

– Moim zdaniem, ona szuka odpowiedzi na swój... strach.

– Słucham?! – spytał Krentz, wyraźnie żądając spojrzeniem wyjaśnienia tego, co przed chwilą usłyszał.

Rudi odetchnął głęboko.

– Ona się boi. Nie tak jak każdy z nas. My reagujemy strachem na realne zagrożenie, czasem boimy się choroby, ważnego egzaminu życiowego, przyszłości, zdarza się, że wpada nam do głowy myśl o śmierci. To normalne reakcje, towarzyszą każdemu zdrowemu człowiekowi. Ale gdy strach jest permanentny, nie mija i wywołuje dotkliwie zaburzenia emocjonalne i somatyczne... wtedy zaczyna się poważny problem. Słyszeli panowie o atakach

lękowych spotykanych na przykład w ciężkich depresjach?

– Bardzo silny lęk, dreszcze, zawroty głowy, panika, zaburzenia widzenia, wrażenie, że zaraz się umrze... – odparł pułkownik.

– No właśnie. Leczy się to zwykle benzodiazepinami, takimi jak na przykład xanax czy lorafen.

– I Prozac? – dodał z zaciekawieniem Bauer.

– Prozac, seronil, bioxetin czy sarafem to chlorowodorek fluoksetyny, inny lek. To tak zwany selektywny inhibitor wychwytu zwrotnego serotoniny.

– Po ludzku proszę, panie doktorze... – jęknął błagalnie Bauer.

– No tak... – zreflektował się Rudi. – Mówiąc wprost, xanax i lorafen to leki antylękowe. Działają szybko, ale doraźnie. Fluoksetyną leczy się długotrwałe poważne stany depresyjne. Pierwsze symptomy jej działania są odczuwalne... no, najwcześniej po trzech tygodniach. A bywa, że i po trzech miesiącach.

– Boże drogi – westchnął posepnie major. – Zanim to cholerstwo zacznie działać, taki chory może popełnić dziesięć samobójstw!

– Dlatego musi być pod stałą opieką – Williams uniósł do góry znacząco palec. – Nasza „Krwawa Mary” na dziewięćdziesiąt procent przyjmuje takie leki, przynajmniej sporadycznie. Inaczej w tym stanie kompletnie nie mogłaby działać.

– To już jakiś trop – podjął Bauer.

– Raczej słaby, depresja to dziś schorzenie niemal społeczne, a tego, że choroba naszej dziewczynki jest znacznie poważniejsza niż zwykła depresja, nie da się stwierdzić ot tak, na pierwszy rzut oka. Ona może normalnie żyć wśród ludzi, którzy nie wiedzą, z kim mają do czynienia, a w chwilach przesileni zwykła na co dzień kobieta zamienia się w potwora.

– Czego ona się boi i czy ktoś może to wykorzystywać? – spytał rzeczowo Krentz.

– Umiejętnie manipulowany chory umysł może być niezwykle groźnym narzędziem w rękach kogoś, kto się na tym zna.

– Niech pan kontynuuje.

– A czego się boi? To już jest bardziej skomplikowane. Cały problem „Mary” polega na gigantycznym zakłóceniu tak zwanej „internalizacji zwierciadła społecznego”. – Rudi trzy razy głęboko odetchnął, zanim wziął się do tłumaczenia tego, co sam przed chwilą powiedział. – Każdy z nas od urodzenia się uczy. Najważniejsze oczywiście są pierwsze tygodnie, potem miesiące życia. Wtedy następuje zjawisko, które nosi nazwę „imprintingu”, czyli kształtowania pierwszych, ale podstawowych i mających później kolosalne znaczenie wyobrażeń o tym, czym jest świat i jakimi prawami się posługuje. Bardzo upraszczając – z biegiem czasu pobieramy z otoczenia to, czego uczy nas świat w zależności od tego, co i kto nas otacza, jak mamy ukształtowane geny i tak dalej. I właśnie moment, w którym jakąś wartość społeczną czy moralną przyjmujemy z zewnątrz i zaczynamy traktować jako swoją, nazywa się internalizacją. Wszystko fajnie, dopóki to miłość, zdolność do współczucia,

potrzeba pomagania innym i tak dalej. Gorzej, jak na skutek szokujących przeżyć, długotrwałego cierpienia czy innych czynników te wartości zaczynają być nieco inne, zafałszowane. To tak, jakbyście spojrzeli w lustro na swoje odbicie. Na razie wszystko jest OK. I nagle to, co widzicie, jak w horrorze zaczyna ulegać zniekształceniu. Twarz się wydłuża, zniekształca, staje się koszmarem z potwornego snu. A co najgorsze, po pierwszym szoku zaczynasz przyzwyczajać się do takiego odbicia, aż staje się dla Ciebie normalne.

Rudi na chwilę przerwał, aby zebrać myśli. Swoim zwyczajem wyjął z kieszeni chusteczkę i przetarł czoło. Darował już sobie kolejne próby pozbycia się czerwonej plamy z koszuli. Położył kartki na stole i kontynuował wykład na razie bez nich.

– Oczywiście reszta psychiki oraz całe ciało nie pozostają w tyle. I zamiast z poczwarki zmienić się w motyla, motyl powoli zamienia się w potwora, a ponieważ dalej cierpi, szuka przyczyn i chce je zlikwidować. Rodzi się agresja. Uderza w siebie lub w otoczenie. Tworzy błędne koło, bo nic do niczego nie pasuje, a zwierciadło społeczne jest nie do przyjęcia, aż dochodzi do wniosku, że całe jego życie to cierpienie, więc to życie niszczy. Różnice polegają tylko na tym, jaki wybierze na to sposób...

Snopczyk z niepokojem rzucił okiem na gości, ale zimna twarz pułkownika nawet nie drgnęła. Bauer zmrużył oczy i zacisnął lekko wargi.

– Może więc rozwiązaniem jest mordowanie kobiet przypominających matkę – suponował Rudi. – Mężczyzn takich jak ten, który właśnie odszedł... Ludzi z jakiejś grupy, która jego lub jej zdaniem mu zagraża...

– Na przykład Żydów?

– Jeśli uzna ich za niebezpiecznych dla niego? To możliwe. W różnych przypadkach osobowości wielorakiej, w kilku rodzajach schizofrenii, szczególnie paranoidalnej, w ciężkich nerwicach, depresji lęk staje się emocją górującą nad wszystkim. Choremu wydaje się, że śledzą go tajemnicze służby, kosmici, że jest chory na wszystko, co możliwe. Wierzy głęboko w spisek komunistów, masonów, Żydów lub Murzynów, ciężko przewidzieć. Podejrzany może stać się każdy.

– A nasza „Mary”? – spytał rzeczowo Krentz.

– A nasza „Mary” szuka odpowiedzi. Jest przekonana, że odkryła najstraszliwszą tajemnicę dotyczącą śmierci i zazdrości tym, którzy nie mają do niej dostępu. Uważa, że ludzie po prostu zwyczajnie boją się śmierci, ale na co dzień o tym zapominają, bo nie wiedzą tego, co ona. Za przywilej dostępu do tajemnicy cierpi, ale ma prawo zabijać. Obserwuje wolno śmierć. Delektuje się jej przebiegiem i szuka odpowiedzi. Odpowiedź zawsze będzie niewystarczająca, więc nigdy nie przestanie... Być może sądzi, że Żydzi jako naród wybrany mają największe szanse spełnić jej oczekiwania. „Ukrzyżowuje” ich, aby ułatwić sobie dokonanie mordu, ale możliwe, że szuka także podstaw religijnych. Nie znosi białego koloru, który w wierzeniach dalekowschodnich jest symbolem śmierci. Oblewa krwią wszystkie miejsca, w których dominuje biały. I mimo że jest najprawdopodobniej osobą wykształconą,

bardzo inteligentną, może być wykorzystywana w ten sposób, jak pan myśli, przez kogoś, kto ma na nią wpływ, ale daję na to dziesięć procent szans. Mówiąc szczerze, to trochę naciągane.

– To jest pańska teoria? – spytał Krentz.

– Tak, to oczywiście tylko teoria. Taki przebieg zbrodni, z jakim mamy tu do czynienia, moim zdaniem z dużym prawdopodobieństwem na to wskazuje.

– A ten ewentualny... motyw religijny?

– Nie wydaje mi się, aby miała motyw religijny. Ale może to być jeden z elementów całej gry mający pomóc. Jak czary czy inne gusła.

– Skąd taki wniosek?

– Przybija ofiary do podłogi potężnymi stalowymi gwoździami za nadgarstki. To trudne. Dużo łatwiej byłoby przebić dłonie niż kości w okolicach nadgarstka. Dla względów praktycznych by jej to wystarczyło. Chrystusa przybito jednak do krzyża za nadgarstki, bo później krzyż postawiono. Większość wyobrażeń na obrazach czy rzeźbach jest fałszywa. Tam gwoździe tkwią w dłoniach. Wiszące ciało na krzyżu jednak nie wytrzymałoby takiego ciężaru. Według przekazów, Jezus miał około metra osiemdziesięciu wzrostu, był dość roslym jak na tamte czasy mężczyzną. Nasza „Mary” o tym wszystkim wie. Poza tym mimo że przecina tętnicę szyjną ofiar, śmierć następuje zawsze z powodu ciosu ostrzem w serce. Jezusa również przebito, tyle że włócznią, już na krzyżu. Niedokładnie w serce, ale z biegiem lat zaczęło to mieć znaczenie symboliczne, a więc ważne dla religii. W rzeczywistości Rzymianie nie mieli powodu, aby uśmiercać Chrystusa. On nie naraził się im, tylko jerozolimskim hierarchom kościelnym, pod których wpływem Poncjusz Piłat wydał wyrok. Cios włócznią był próbą skrócenia cierpienia zwykłego, biednego cieśli, za którego go uważali.

Rudi usiadł, czym dał do zrozumienia, że skończył.

– Co panowie o tym sądzą? – spytał Snopczyk.

Krentz poprawił się na krześle.

– Proszę się nie obrazić, ale mimo wszystko uważam, że na razie błądzimy we mgle. Teoria o samotnym szaleńcu, szczególnie kobiecie, wymaga jeszcze wielu dowodów. Znacznie bardziej prawdopodobne wydaje się istnienie grupy, która takiego szaleńca w jakiś sposób wykorzystuje dla swoich celów. Ale i tu musimy poszukać dowodów. – Pułkownik wstał. – Kontynuujcie, panowie, mam nadzieję, że mogę liczyć na stały kontakt.

Obaj agenci podali policjantom wizytówki.

– Pod tymi telefonami jesteśmy osiągalni całą dobę. Oczywiście, wszystko, co tu powiedzieliśmy, jest tajne.

– Tak jest – odpowiedzieli niemal jednocześnie Snopczyk i Williams.

ROZDZIAŁ 7

Wika wolno podniosła wzrok znad lodów, które stały przed nią na stoliku, i spojrzała z politowaniem na Ultrę. Siedziały w kawiarni Trou Madame, w warszawskich Łazienkach, na świeżym powietrzu.

– Pokłóciłaś się z nim? – zagadnęła niemal wesoło.

– Nie wiem, po co ci to w ogóle powiedziałam – obruszyła się dziewczyna i wystawiła twarz do słońca, najwyraźniej chcąc uciąć temat.

– Biedna mała Rundi... – zaśpiewała cicho Wika.

– Odpieprz się – mruknęła Ultra, nie odwracając wzroku od słońca.

Tłustawa kelnerka przeszła wolno obok ich stolika, zerkając, jak jej się wydawało, dyskretnie, czy przypadkiem niczego dziewczynom nie brakuje. Widocznie doszła do wniosku, że na razie nie warto się tu zatrzymywać, bo szybko znikła za służbowymi drzwiami.

– Faceci to gorszy gatunek, mówiłam ci już kiedyś – przypomniała Wika.

– Nie pokłóciłam się z nim – zaoponowała Ultra. – Po prostu się zastanawiam. Ledwo się poznaliśmy, a on już chce zakładać podstawową komórkę społeczną. Ty byś była taka szybka?

– Mnie on się nie podoba – w głosie dziewczyny słychać było wyraźnie niezależność.

– Nie uciekaj od odpowiedzi – upomniała ją Ultra.

– Nie. Nie śpieszyłabym się – mruknęła niechętnie Wika. – Nie znasz go – dodała poważniejszym tonem. – Myślę, że on kryje w sobie jeszcze kilka tajemnic, o których ani ja, ani nawet ty nie mamy bladego pojęcia.

– O czym ty mówisz?! – Ultra spojrzała z niepokojem na przyjaciółkę.

– O niczym konkretnym, ale wyczuwam takie rzeczy. On nie jest taki, za jakiego ma go otoczenie.

– Mówisz tak, bo jego poglądy są dziwaczne, ale to jeszcze o niczym nie świadczy.

– Rundi... jak ty go właściwie poznałaś?

– Mówiłam ci już. Przypadkowo na zebraniu jakiejś małej egzotycznej partii.

– To wiem – Wika przymknęła oczy. – Ale jak ty się tam znalazłaś?

– Namówiła mnie moja wykładowczyni z uczelni. Więcej tam nie pójde. Po co pytasz?

– Z ciekawości. Jak zwykle. Wydawało mi się to interesujące.

– Dlaczego? – zdziwiła się Ultra.

– Masz dość niezależną osobowość, twardo stąpasz po ziemi, ciężko cię namówić nawet na taki spacer po Łazienkach jak ten, a tu nagle zainteresowanie polityką, o którym nigdy nie mówiłaś.

– To, że z tobą o tym nie rozmawiam, to jeszcze nie oznacza, że się tym nie interesuję.

– Kiepska ściema.

– No dobrze. Byłam ciekawa. Zaimponowało mi, że kobieta, która jest docentem, gdzieś mnie zaprasza. Teraz lepiej?

Wika nic nie odpowiedziała, tylko zajęła się lodami. Uśmiechnęła się jednak ciepło do tego, co przyjaciółka jej powiedziała, uznając, że da spokój. Czarny jak smoła kot, który znalazł się tam nie wiadomo skąd, wskoczył zwinnie na sąsiedni stolik, przy którym nikt nie siedział. Widać, że czuł się wyjątkowo pewnie, bo bez najmniejszego strachu usiadł na środku blatu i zaczął, nie ukrywając ciekawości, przyglądać się obu kobietom. Słońce przestało tak intensywnie razić po odbiciu się od powierzchni stolika, a sierść kota gasiła promienie, jakby nie była w stanie ich odbić.

– Śniły mi się dzisiaj liście – powiedziała po kilkunastu sekundach Wika, nagle przerywając ciszę.

Ultra podniosła brwi.

– Same liście nie mogą się chyba nikomu śnić. Mogą spadać, rosnać, być elementem czegoś – odparła, usiłując znaleźć jakieś pytanie, które nie uraziłoby przyjaciółki. – Jak to konkretnie wyglądało?

– Nie rozumiesz – uśmiechnęła się dziewczyna. – To był sen, a nie rzeczywistość. Liście żyły, mówiły, układały się w osoby, a nawet myśli. Rozmawiałam z nimi, czułam smutek, uciekałam z nimi przed czymś, potem spadałam, i wiesz co? Miały takie... głodne... oczy...

– Jak z twoją formą? – spytała natychmiast Ultra.

– Dobrze. Byłam niedawno u lekarza. Mam nowe leki. To znaczy stare, ale znowu je biorę. Nie myl wyobraźni z obłądkiem.

– Nawet o tym nie pomyślałam. To, czy śni ci się łąka z kwiatkami, czy gadające liście, jest mniej istotne. Najważniejsze dla mnie jest to, jak się czujesz na jawie.

– Idzie lato, więc powinno mi się poprawić – dziewczyna uśmiechnęła się szeroko.

Przez głowę Ultry przebiegła zazdrosna myśl, że Wika jest znacznie piękniejsza i bardziej kobieca od niej. Nie ma wytrenowanych mięśni, nie biega po poligonach, nie zachowuje się jak facet i nie znajduje radości w pracy, której sednem jest przemoc i podstęp. Ona nie musi oszukiwać, kręcić, biec równym krokiem z mężczyznami. Jej siła polega na zupełnie czym innym i jest cholernie widoczna, mimo depresji, na którą przecież choruje już od dość dawna. Śnią jej się jakieś skrzydlate konie, muzyka lasów, liście z pieprzonymi, głodnymi oczami, a biednej początkującej agentce ukazuje się we śnie nowa akcja, ćwiczenia, obserwacja „trasy”,

w niedzielę zaś i święta – Kamil Lechowicz. niesprawiedliwość?

– Zerkniesz na jeszcze ciepły wierszyk, jak znajdziesz chwilę? – zagadnęła Wika.

– Masz go przy sobie?

– Tak, ale teraz rozmawiamy...

– Chcę teraz.

Wika, cokolwiek zdziwiona, podała jej złożoną wpół kartkę. Ultra rozłożyła ją i najbardziej „głodnymi oczami”, jak tylko potrafiła, wchłaniała tekst:

MY

Słowa poradne niby-paradne

Gryzą mnie po uszach

pytam

Jesteś moim bogiem

smutno

Złośliwy wstyd

Dłubie niezgrabnie grabnie

W nosie

Gasi peta

proszę

Jesteś moim bogiem

zimno

Gorzki słodki krzyk

Lepki collage

Noga ręka

Pierś penis

krzyczę

Jesteś moim bogiem

gorąco

Cud narodzin

Cud śmierci

cud śmierdzi

*Świętym spadły aureole
Po mieście za rękę biega
Bóg Boga z Bogiem*

– Facet... – mruknęła z nadzieją po dłuższej chwili Ultra.

– Facet – powtórzyła Wika. – Nie tak dosłownie, jak myślisz, ale jest w tym coś. Nie martw się, kocham cię jak dawniej. – Roześmiała się od ucha do ucha, a te jej cholernie piękne zęby i usta znowu wprawiły Ultrę w zakłopotanie.

Czarny kot leniwie zszedł ze stołu. Obejrzał się jeszcze, jakby się wahał, po czym zniknął bez śladu między drzewami.

Podkomisarz Ryszard Snopczyk, nie śpiesząc się, zamknął za sobą drzwi mieszkania i przez chwilę stał bez ruchu w ciemnym przedpokoju. Dogoniła go nagle nieznośna, budząca niepokój myśl, że znowu stało się coś złego. Oddychał spokojnie, ale jakby głośniejszym niż zwykle. Spuścił powoli głowę i zamknął oczy. Odpoczywał. Za chwilę otworzą się któreś drzwi – do pokoju żony, dzieci, kuchni, może łazienki i spadnie na niego kolejna, nowa wiadomość, o której nie chce wiedzieć. W pracy każdego dnia nie dawała zapomnieć o swoim zimnym oddechu „Mary”, jakby siedziała tuż obok i kpiła z niego swoim trupim szeptem. Tu, w miejscu, gdzie teoretycznie miał czuć się bezpiecznie, strach wiązał mu ręce i nogi, zamieniając wszelkie myśli w beznadziejny chaos. „Cofa mnie, kiedy stoję przed tymi drzwiami” – powiedział kiedyś swojemu przyjacielowi, dziennikarzowi z telewizji, u którego czasem chałturzył jako ekspert w programach o bezpieczeństwie. Tak bardzo chciał wyjechać wszystko jedno gdzie, choćby na tydzień, dwa, i wyrzucić to całe bagno z umysłu. Skrzypnęła klamka i światło wślizgnęło się do przedpokoju. Głowa Melanii wyrzała zza drzwi.

– Tato... – szepnęła dziewczynka, starając się ukryć, że najdalej dziesięć minut temu płakała.

– Co się stało? Gdzie jest Joasia? – spytał szybko.

– U mnie, siedzi na łóżku.

Snopczyk z miejsca odłożył teczkę na małą ławkę w korytarzu i wszedł do pokoju dzieci. Zobaczył bladą jak kreda pięciolatkę, która patrzyła na niego ze złością. W oczach Melanii znowu pojawiły się łzy. Snopczyk ukląkł przed nią i złapał za rękę.

– Melania... – poprosił łagodnie. – Powiedz spokojnie, co się stało, proszę...

– Nie mogę wejść do dużego pokoju! – warknęła Joasia.

– Dlaczego? – spytał ojciec.

– Założyła tam zamek! – wybuchła Melania. – Żebyś nie mógł tam wchodzić i używać telefonu!

– A gdzie teraz jest... mama?

– Mam w dupie, gdzie jest!

– Melania!!! – wrzasnął Snopczyk, ale szybko się opanował. – Nie przy małej – syknął. – Przestraszysz ją.

– I tak się boi. Myślisz, że jak ma pięć lat, to nic nie rozumie?!

– Nie mów tak przy niej o matce! – upierał się ojciec.

– To zrób coś wreszcie! Zrób coś, żeby przestała! Nie mogę już! Nie mogę tak siedzieć ciągle w swoim pokoju i bać się! Myślę o tym w szkole, w kinie, na koncercie, jak całuję chłopaka! Ja mam dopiero piętnaście lat! – rzuciła się w stronę ojca, przytulając go z całej siły. Oderwała się jednak od niego po kilku sekundach, by dalej krzyżeć przez łzy: – Nie mogę już patrzeć na tę twoją debilną szlachetność! Cackasz się z nią jak z jajkiem, a ona, udając dobrą mamusię, robi nam krzywdę! Rozumiesz? Krzywdę!!! Nie chodzi o te pieprzone drzwi, chodzi o wszystko! Tato... – zaczęła nagle znowu szeptać. – Błagam... zrób coś.

Snopczyk kątem oka zerknął na Joasię. Chyba stała się jeszcze bardziej blada, a gniew zastąpił na twarzy wyraźny lęk.

– W porządku – odparł nagle tak spokojnie, iż Melania odniosła wrażenie, że jest zaspiany.

– Co zrobimy? – spytała automatycznie.

– Wywalimy te drzwi – odparł beznamiętnie.

– Naprawdę?! – Melania mało nie wyskoczyła do góry z radości.

– Będzie dobranocka? – odezwała się wreszcie Joasia.

Snopczyk podszedł szybko do łóżka i wziął małą na ręce.

– Będzie. Dziś w dużym pokoju. A jutro kupimy telewizor i zainstalujemy go tutaj.

Mała mocno objęła rączkami szyję ojca i pocałowała go soczyście w policzek.

– A teraz trochę się pobawimy – puścił oko do Melanii.

– Przynieść narzędzia? – spytała z nadzieją w głosie.

– Tak – Snopczyk uśmiechnął się od ucha do ucha. Dziewczynka pobiegła do przedpokoju i dopadła szuflady z narzędziami.

– Stamtąd dłuto, młotek i śrubokręt. Z szafy pudło z wiertarką! – krzyknął ojciec z pokoju dziewczynek. – Połóż wszystko pod tamtymi drzwiami.

Wyszedł, wciąż trzymając na rękach Joasię.

– A jak ona przyjdzie zaraz?

– Nie bój się – uśmiechnął się Snopczyk. – Myślę, że tym razem złożę mamie propozycję nie do odrzucenia.

Melania nie próbowała nawet zrozumieć, o co dokładnie ojcu chodzi. Zanurzyła się szybko w szafie, wyciągając wiertarkę, jakby się bała, że ojciec się w końcu rozmyśli. Gdy wszystko było gotowe, usiadła na podłodze i trzęsąc się z podniecenia, obserwowała, co będzie dalej.

Cała operacja trwała najwyżej dziesięć minut. Prosty zamek Yale ustąpił bez trudu, choć dziura w drzwiach naruszyła nieco ich wątpliwą urodę.

– No i koniec z tajemnicami – wystrzeliła wesoło Melania.

– Obejrzyjcie, jeśli chcecie, dobranockę, ale później idźcie do pokoju. Chyba będę musiał porozmawiać z mamą.

– Nareszcie! – pisnęła Melania. – Może nawet obejrzę jakąś kretyńską kreskówkę.

– Uspokój się, Mela – skarcił ją ojciec. – To nadal twoja matka.

Zgrzyt kluczy w zamku drzwi wejściowych urwał natychmiast ich rozmowę i wymalował na twarzy dziewczyny strach.

– Usiądź na fotelu z siostrą przed telewizorem – mruknął spokojnie Snopczyk. – Będzie dobrze.

Melania szybciej wylądowała z pilotem w ręku na miękkim fotelu, niż Dorota Snopczyk weszła do przedpokoju.

– Co tu się dzieje?! – jej wściekłość zdusiło zdumienie. – W tej chwili do swojego pokoju! – wrzasnęła do dziewczynek.

– Zdejmij buty i wejdź do kuchni – warknął groźnie do niej Snopczyk, dając jednocześnie znak dziewczynkom gotowym wykonać polecenie matki, aby zostały przed telewizorem. – Dzieci oglądają dobranockę. Nie przeszkadzaj im.

– Odkąd ty mi wydajesz polecenia?! – Podkomisarz zauważył, jak szybko kobiecie pulsuje żyła na szyi, jej tętno musiało podskoczyć do co najmniej stu dwudziestu.

– Nie wystawiaj mnie na próbę, Dorota, i radzę ci, wejdź do kuchni – jego głos brzmiał spokojnie, ale potwornie chłodno i zdecydowanie. Patrzył na nią wzrokiem, w którym po raz pierwszy od bardzo dawna dostrzegła czystą, niepohamowaną nienawiść, którą tak dobrze przez te wszystkie miesiące ukrywał.

– Wezwę policję! – ostrzegła.

– Może cię od razu połączyć z którymś z kolegów? – spytał jeszcze bardziej chłodno. – Do kuchni! – warknął przez zęby.

– Zapłacisz mi za to. – Po raz pierwszy od bardzo długiego czasu Dorota Snopczyk poczuła lęk przed mężem. Zaskoczyło ją to tak bardzo, że gdy wchodziła do kuchni, odruchowo szukała wzrokiem czegoś do obrony, coraz bardziej przekonana, że ten kretyn najwyraźniej zwariował. Przy dzieciach nic mi nie robi – pocieszała się w myślach. – Chyba że rzeczywiście wszystko mu się pomieszało.

Snopczyk wszedł za nią i zamknął za sobą drzwi.

– I co teraz?! – próbowała opanować strach. – Kogo ty udajesz? Jesteś jeszcze bardziej żaloszny niż zwykle.

– Zamknij się – powiedział cicho, ale najwyraźniej tak przekonywająco, że głos uwiązł gdzieś w gardle kobiecie. – Dzieci teraz obejrzą dobranockę, a ty zrobisz im kolację. Potem spokojnie pójď do łóżka. Będziesz się do nich miło uśmiechała i ułożysz Joasię spać.

Kobieta szybko i głośno oddychała, ale nadal milczała.

– To, co robiłaś przez ostatnie miesiące ze mną, przeszło wszelkie granice, zresztą nie ma

to już dla mnie znaczenia...

– I kto to mówi? – wyrwało jej się nagle, jednak szybko z powrotem umilkła.

– Ale ich... – wskazał palcem pokój, gdzie siedziały dziewczynki – nie daruję ci. Więc jeśli jeszcze raz wystraszysz je takim numerem jak ten dzisiejszy zamek, przyjdę do domu i cię zatłukę, kurwo!

Dorota Snopczyk otworzyła w przerażeniu szeroko usta i długo ich nie zamykała.

– Czy rozumiałaś każde słowo? – spytał dla pewności.

– Jutro cały posterunek będzie wiedział, że groziłeś mi śmiercią! – ryknęła bulgotliwym krzykiem.

Snopczyk zbliżył na odległość kilku centymetrów twarz do jej oczu.

– Spróbuj, pierdolona dziwko... – mruknął, cedząc każdą sylabę.

Kobieta stała oparta o blat, ale nagle poczuła, jak się osuwa i nogi odmawiają jej posłuszeństwa. Zanim zdążyła temu jakoś zaradzić, wylądowała na kolanach.

Snopczyk nachylił się nad nią.

– To już nie potrwa długo. Za dwa tygodnie rozprawa. Do tego czasu będziesz zachowywała się jak prawdziwa matka. Do mnie nie musisz się odzywać, ale jeśli one cokolwiek odczują... nie będzie ci już wtedy potrzebny żaden rozwód, rozumiałaś?

Nie czekając na odpowiedź, wyszedł z kuchni. Zanim zamknął za sobą drzwi, usłyszał, jak kobieta wybucha gwałtownym, nerwowym płaczem.

Ultra upadła na ziemię tak niespodziewanie i szybko, że jej policzek dość mocno uderzył o murawę. Chwilę później strużka potu wolno spływała po czole, nieprzyjemnie łaskocząc skórę, by zginać gdzieś w trawie. Starła się jak najszybciej opanować oddech i zapomnieć o bólu. Odruchowo przyłożyła zewnętrzną część dłoni do twarzy, ale nie chcąc, by widziano, że popełniła błąd, który opłaciła osłabiającą ją kontuzją, szybko się podniosła.

– Wiesz, co jest źle? – spytał spokojnie porucznik Marian Zwrot.

Jego łysa czaszka świeciła w słońcu jak latarnia, a beznamiętny wzrok dodatkowo wywołał w dziewczynie wściekłość. Rozejrzała się dookoła. Siedmioosobowa grupa przyszlých agentów specjalnych odpoczywała po wykonaniu ćwiczenia. Sami mężczyźni. Oddychali ciężko, ale starali się wykrzesać z twarzy udawaną obojętność wobec wysiłku i równie udawaną troskę o koleżankę z drużyny. Ich spojrzenia, każde na inny sposób, ale przecież podobnie, dawały jej do zrozumienia, że gdyby tylko mogli, wyciągnęliby do niej pomocną dłoń, ale ponieważ miała pecha – zdarzyło się to, co się zdarzyło. W rzeczywistości, a wiedziała to ponad wszelką wątpliwość, dusili w sobie satysfakcję i radość z jej porażki, bo nie wiedzieć czemu odnosili wrażenie, że wzmacnia to ich pozycję, dodaje siły i czują się lepsi, że są na nogach, a ona ubłocona tkwi w trawie. Zerknęła jeszcze na tarcze dookoła, ale z tej odległości nie była w stanie dostrzec, czy trafiła w cel.

– Wiesz? – ponowił pytanie Zwrot.

– Muszę postarać się o większą wydolność organizmu... – rzuciła pierwszą myśl, która wpadła jej do głowy.

– Wstań! – wrzasnął porucznik.

Ultra zerwała się z murawy i stanęła niemal na baczność.

– Szybko dziesięć pełnych pompek na kościach, jak nie dasz rady, odpadasz!

Dziewczyna znowu przyległa do ziemi, by wykonać polecenie. Z zaskoczeniem zauważyła, że ręce nie bolą jej na tyle, aby nie mogła wykonać zadania. Trochę przeszkadzała jej zadyszka, ale już po piątej pompce była pewna, że dotrwa do końca. Wstała, patrząc prosto w oczy Zwrotowi. Była jeszcze bardziej wściekła, ale tym razem dodawało jej sił to małe zwycięstwo.

– Co to jest kontrola emocjonalna, agentko Ultra?! – spytał groźnie Zwrot.

– Powstrzymywanie zachowania impulsywnego, skierowanego na konkretny cel, ze względu na inny.

– Paradoks Hillgarda?

– Kontrolę emocjonalną wyraża się nie tylko tłumieniem, ale także w określonych przypadkach akcentowaniem swoich emocji, wyzwalając w ten sposób niezbędną spontaniczność i podporządkowanie wyższemu celom.

– Trzy generalne grupy lęków?!

– Przedmiotowy, wyimaginowany, społeczny! – niemal wykrzyczała Ultra.

– Czy teraz się boisz?!

– Nie, panie poruczniku!

– Kłamstwo! Czego się boisz?!

– Porażki! – wrzasnęła dziewczyna, co pomogło jej powstrzymać łzy.

– Co czujesz?

– Silną potrzebę rewanżu... to znaczy zweryfikowania wytrąconego z prawidłowego toku myślenia przekonania o swoich możliwościach.

– Agent Troński! – krzyknął Zwrot do rosłego blondyna, który już zaczął niemal ukladać się na trawie, aby odpocząć.

– Tak jest! – wyciągnął się jak struna.

– Zaatakuj wyimaginowanym nożem agentkę Ultrę, a następnie obezwładnij. Wykonać!

Zaskoczony Troński podbiegł do dziewczyny, zanim zdążył zaplanować kolejność ruchów. Ultra była już spokojna i gotowa na atak. Silnie chwyciła mężczyznę za nadgarstek i pociągnęła, wykorzystując jego siłę bezwładności, schodząc jednocześnie z linii ataku. Szarpnęła jego ręką nieznacznie, ale niezwykle precyzyjnie, cały czas kontrolując walkę. Troński wzbił się w powietrze i upadł na plecy. Ultra natychmiast założyła mu dźwignię, czekając na komendę.

– Dość! – rozkazał Zwrot. – Koniec ćwiczenia. Wstać! Nie siadajcie na trawie. Zawsze odpoczywajcie w ruchu, a jeśli się nie da, to przynajmniej na stojąco.

Zwrot założył ręce do tyłu i stanął naprzeciwko drużyny.

– Chyba jednak nie miałaś racji, agentko Ultra. – Porucznik, niestety, nie wykorzystał tej okazji, żeby chociaż na chwilę się uśmiechnąć. – Jesteś w stanie dalej wykonywać prawidłowo wydolnościowe ćwiczenia, prawidłowo rozumować, a nawet prawidłowo odpowiadać na pytania z zajęć z psychologii agresji w poprzednim semestrze. Odbyłaś je w grupie agenta Malinowskiego, prawda?

– Tak jest!

– A więc to nie wydolność – i nie znasz odpowiedzi, bo przy swoim refleksie, intuicji i inteligencji logicznej dawno już byś nam ją zdradziła.

Po ostatnim zdaniu porucznika Ultra poczuła miłe ciepło na kręgosłupie.

– Gotowość! – podniósł niespodziewanie głos Zwrot, przenosząc wzrok na resztę kursantów. – To jest odpowiedź na pytanie, dlaczego Ultra źle wykonała poprzednie zadanie, dlaczego agent Troński nie umiał jej obezwładnić, a także dlaczego ona skutecznie obroniła się przed chwilą przed atakiem.

Porucznik klasnął lekko w ręce, jakby strzepywał pył, po czym ponownie założył je do tyłu i zaczął wolno chodzić tam i z powrotem.

– Spokojnie to przeanalizujmy. Agentka Ultra otrzymała zadanie polegające na szybkim biegu przez półtora kilometra, na końcu którego miała oddać trzy strzały do każdej z tarcz po obu stronach drogi. Takie dostała polecenie. Nie wiedziała, że potem dostanie z marszu niespodziewanie kolejne zadanie walki wręcz z agentem Trońskim, który w przeciwieństwie do niej był o tym uprzedzony przynajmniej pięć minut wcześniej. Zdążył się przygotować i pokonał zaskoczonego przeciwnika bez trudu. Mało tego; złamał jej morale, osłabił wiarę w jej własne możliwości. Ale agentka Ultra umiała instynktownie odnaleźć swój błąd, mimo że nie potrafiła go zwerbalizować. Ciało i instynkt podpowiadały jej, że to nie koniec, i potrafiła kilkadziesiąt sekund, podczas których poddawałem ją następnemu stresowi, wykorzystać na odpoczynek oraz przygotowanie. Gdyby jej umysł pracował tak szybko jak instynkt, potrzebowałyby dwa razy mniej czasu, ale i tak z łatwością pokonała w drugim pojedynku agenta Trońskiego, bo tym razem to on nie był gotowy.

Zwrot przerwał, usiłując odgadnąć ze spojrzeń całej ósemki, czy każdy zrozumiał, o co chodzi.

– Prymitywna, waszym zdaniem, prawda o gotowości jest w rzeczywistości rozległą nauką o własnej sile i wytrzymałości – kontynuował porucznik. – Tutaj koniec ćwiczeń jest wtedy, kiedy ja powiem, że jest koniec ćwiczeń! W prawdziwej akcji nigdy nie ma końca! Nigdy nie tracimy czujności i zawsze jesteśmy gotowi. W przeciwnym razie czeka nas porażka. Wyszkolonemu agentowi przygotowanie złożonego ataku wręcz zajmuje około dwóch sekund. Paradoksalnie przygotowanie obrony o połowę krócej. Pomaga nam w tym adrenalina i instynkt. Jednak w czasie akcji możemy nie mieć aż tyle czasu i dlatego „gotowość” musimy osiągnąć znacznie wcześniej, a mobilizacja organizmu musi polegać na

przewidzeniu największej liczby rozwiązań – jaka się tylko da – w związku z postawionym przed akcją celem. Nam nie wolno się mylić, taki wybraliśmy zawód. Musimy być zawsze gotowi i w miarę możliwości nigdy nie wyczerpywać sił do końca. Zawsze musimy mieć zapas, który będzie pozwalał nam logicznie myśleć, pamiętać o wpojonej wiedzy i być gotowym do niespodziewanej walki. Podstawową sprawą w pokonaniu wroga jest zaskoczenie, podstęp, sprawna umiejętność improwizacji, ale także dobry plan. Profesjonalny przeciwnik, a z takim będziecie mieli do czynienia, wie o tym doskonale. Będzie próbował się przeciwstawić podobnymi metodami i nie liczcie, że kiedykolwiek was zlekceważy. Zawsze... pamiętajcie, zawsze, w każdej chwili, musicie się spodziewać ciosu z niespodziewanej strony. O tym były dzisiejsze zajęcia. Rozejść się!

Od kilku minut, oparty o pobliskie drzewo, zajęciom przyglądał się oficer pomocniczy pułkownika Piotra Krentza, podporucznik Kamil Koziejuk. Ultra od razu go zauważyła, ale czekała cierpliwie, aż Zwrot skończy podsumowanie ćwiczeń. Teraz podeszła do niego, domyślając się, o co chodzi.

– Szef cię wzywa – mruknął Koziejuk, nie wyjmując z ust kawałka trawy, który międlł przez ostatnich kilka minut.

Dziewczyna pokiwała głową.

– U niego?

– Tak. Umyj się, ubierz i bądź za godzinę.

Kiedy sześćdziesiąt minut później Koziejuk wpuścił Ultrę do gabinetu Krentza, pułkownika tam nie było.

– Na pewno mogę wejść? – upewniła się agentka.

– Tak, prosił – odparł podporucznik i zamknął za nią drzwi.

Dziewczyna rozejrzała się po pokoju i od razu dostrzegła na biurku zdjęcia ofiar „Krwawej Mary”. Nie miała śmiałości, by podejść bliżej i przyjrzeć im się dokładniej. Stała na środku trochę zmieszana, licząc, że Krentz rychło się zjawi. Musiała jednak poczekać dobre dziesięć minut, zanim drzwi się otworzyły i pułkownik wkroczył do gabinetu.

– Przepraszam, ważne i niespodziewane spotkanie, ale ściśle związane z tobą, więc dobrze, że jesteś.

– Tak? – spytała trochę głupio, bo cały czas jeszcze dowódca w dziwny sposób ją onieśmiał.

– Widziałas te zdjęcia? – zapytał, podchodząc do biurka.

– Z daleka.

– Znalaziono nową ofiarę „Mary” – wyjaśnił cicho, ale wyraźnie wzburzony, choć jak zwykle w jego przypadku, trzeba było to wyczytać „między wierszami”. – Dwie godziny temu. Trzy dni po poprzednim morderstwie. Policjanci, którzy z nami współpracują, już tam są.

– Mam tam pojechać?

– Nie, zbyt mało o tym wiesz. Jest dla ciebie inne zadanie. Zresztą... no dobrze. Siadaj.

Dziewczyna podsunęła sobie krzesło bliżej biurka i usiadła na nim, wciąż przyglądając się uważnie wyrazowi twarzy pułkownika. Nie chciała niczego stracić z jego spojrzenia, licząc, że zastanawia się nad jej poważniejszym udziałem w sprawie. Wszyscy w „firmie” o tym mówili, ale oczywiście mówili tyle, ile mogli, bo właściwie to, co naprawdę ciekawe, obejmowała klauzula poufności. Na zewnątrz nie można było nawet mruknąć o „Mary”, ale między sobą agenci plotkowali o niej w miarę swobodnie.

– Nigdy o tym oficjalnie nie rozmawialiśmy, ale jak znam życie, pewnie już wiesz, że istnieje duże prawdopodobieństwo, że seryjny zabójca, którym się teraz zajmujemy, to kobieta, „Mary”.

– Tak – odparła krótko.

– Naszym zdaniem sprawa twojego Kamila Lechowicza jest ściśle z tym związana.

Sformułowanie „sprawa twojego Kamila” średnio jej się spodobało, ale podejrzenie, że właśnie on może mieć cokolwiek wspólnego z tymi morderstwami, sparaliżowało ją do tego stopnia, że nie była w stanie przez kilka sekund wydusić z siebie słowa.

– Psycholog policyjny, z którym współpracujemy, przedstawił teorię, że sprawcą jest samotna, przypuszczalnie chora psychicznie kobieta, ale nie wykluczył, że ktoś może ją wykorzystywać bądź wręcz naśladować jej metody – kontynuował Krentz. – Główni podejrzani to bojówka partii KPPP, której aktywnym uczestnikiem jest Kamil Lechowicz.

– Ale... – jęknęła przerażona Ultra. – Podejrzewaliśmy ich właściwie tylko o zastraszanie, nie mamy żadnych dowodów, że ktokolwiek z tej partii brał udział w pobiciach, a co dopiero zabójstwach...

Pułkownik zsunął okulary na czubek nosa i uważnie przyjrzał się młodej agentce. Długa chwila ciszy zdeprymowała Ultrę.

– Jakie stosunki emocjonalne łączą cię z Lechowiczem? – spytał prosto z mostu Krentz.

– Zbliżyłam się do niego zgodnie z rozkazem... obserwuję – odparła, odważnie patrząc w oczy dowódcy.

– No dobrze... – pułkownik uznał, że nie czas na to, aby kontynuować taką rozmowę. – Wprowadzam cię w całość sprawy. Tematyka tego dochodzenia poza murami budynku objęta jest całkowitą tajemnicą.

– Tak jest.

– To są materiały, które należy przeczytać jak najszybciej – podał jej tekturową teczkę z papierami. – Zrób to teraz w pokoju numer siedem, który od dzisiaj ci przydzielam. Nie jest może zbyt wielki ani luksusowy, ale do pracy ci starczy.

W progu gabinetu pojawił się major Bauer, dając znak szefowi, że muszą iść na naradę.

– Potem spotkasz się z Sokratesem. To będzie twój egzamin z odwagi.

Bauer parsknął śmiechem, ale szybko pod wpływem wzroku Krentza się opanował.

– Słyszałaś, jaką funkcję pełni w tej agencji oficer naukowy Sokrates?

– Tak jest. Chłopcy mi o nim opowiadali.

– I?

– Mówili, że boją się go sprzątaczkę.

– Poradzisz sobie z nim?

– Ja raczej nie jestem sprzątaczką.

Pułkownikowi spodobała się harda odpowiedź dziewczyny.

– Wejdz, Krzysiek! – kiwnął na Bauera. – Musimy jeszcze chwilę pogadać, naradę rozpoczniemy za kilka minut.

Major zamknął za sobą drzwi, podszedł do kanapy i rozłożył się na niej swoim zwyczajem, jakby był na wczasach.

– Jeszcze o tym nie wiesz, ale dwa dni temu miała miejsce kolejna napaść na cudzoziemca – Krentz zwrócił się teraz do Ultry. – Tym razem to Wietnamczyk. Jak zeznał, wywiązała się walka. Mimo że pan Tran Van Khay jest teraz w szpitalu, przytomnie odpowiada na pytania. Twierdził, że zranił dwóch napastników, a ślady ich krwi powinny być w jego restauracji, gdzie go zaatakowano późną nocą, po zamknięciu. Oględziny potwierdziły to, co mówił. Wyodrębniliśmy cztery próbki krwi: pana Khaya, jego żony, która została lżej ranna, i dwóch nieznanych osobników. Kiedy ostatni raz widziałeś Lechowicza?

– Parę dni temu.

– To na razie nasz najlepszy kontakt, ten chłopak ci ufa.

– Panie pułkowniku – Ultra wstała z krzesła – czy naprawdę możliwe jest, aby ci sami ludzie do jednych cudzoziemców pisali groźby, innych napadali, a jeszcze innych bezlitośnie, niemal rytualnie mordowali? Dwa dni temu pobicie, teraz morderstwo... zwykli bojówkarze nie umieliby tego przygotować.

– Jak uczy nas historia – odparł spokojnie Krentz – wszystko jest możliwe, ale zgadzam się z tobą, że w tym wypadku cała sprawa jest bardzo niejasna. Pamiętaj jednak, do jakich zadań zostaliśmy powołani. Wszelkie objawy agresywnej ksenofobii musimy zwalczać w zarodku. Nieważne, jak wiele osób jest w to zamieszanych, wyłapiemy wszystkich. Ty zajmujesz się Lechowiczem aż do wyjaśnienia jego roli w sprawie. Dwie rzeczy są niemal pewne – KPPP jest w to jakoś zamieszana, ale do jakiego stopnia i w jaki sposób musimy dopiero wyjaśnić, a Lechowicz to jeden z młodych liderów tej partii. Istnieje kilka elementów, które łączą te wszystkie przestępstwa. Wiem, że to mało, i dlatego musimy sprawę przyspieszyć.

– Co mam zrobić? – spytała dziewczyna.

Krentz chwilę przyglądał się agentce, szukając w jej wzroku jeszcze innych, ewentualnych wątpliwości, po czym podszedł do biurka, aby podać Ultrze kawałek papieru.

– To jest rozkaz. Przeczytaj go i zostaw. Możesz u siebie, ale nie wynoś na zewnątrz. Taka zasada. Zdobędziesz próbkę krwi Kamila Lechowicza. Nawet jeśli nie uczestniczył w

tym napadzie, jego DNA jest nam niezbędne.

– Jak mam to zrobić? – Agentka z powrotem usiadła na krześle, szczerze zdziwiona.

– To właśnie wyjaśni ci Sokrates. Zanim jednak do niego pójdziesz, przeczytaj materiały sprawy „Mary”. Każdy szczegół twojej znajomości z Lechowiczem ma teraz znaczenie. Możesz coś podejrzanego zauważyć, rozpoznać w jego zachowaniu, może zdobędziesz większy dostęp do jego kontaktów, nigdy nic nie wiadomo. Wiadomo jedno – musimy się bardzo pośpieszyć. Ultra zbliżyła się do drzwi.

– Nie pytasz, kto jest ofiarą? – dogonił ją głos pułkownika.

– Słucham?

– Powiedziałem ci, że „Mary” zamordowała kolejną osobę, i to zaledwie w kilka dni po śmierci Jakuba Szycmana. Nie jesteś ciekawa, kim jest ofiara?

– Pewnie niewiele mi to powie.

– Przeciwnie, to Szymon Rosensaft.

– Ten dziennikarz?!

– Tak, przyjaciel, współpracownik Szycmana i... rabina Schudricha. Jeszcze godzinę przed śmiercią był w synagodze Nożyków.

– Boże drogi... ale jak?

– Tak jak zwykle. U niego w domu.

Telefon przerwał relację pułkownika.

– Tak? – mruknął do słuchawki. – Aaa, dzień dobry, panie doktorze, właśnie o tym rozmawiamy. Wiem, że dzisiaj jest sobota. Chyba już teraz raczej nie myślimy, że „Mary” działa sama, prawda?

Wika – Dziennik, 4 czerwca

Wyciągam ręce do nieba wewnętrzną stroną dłoni. To taki podstęp. Pokazuję w ten sposób, że jestem bezbronna, ty myślisz, niewinna – zaufałeś, teraz pokażesz mi, gdzie jest granica Tibalu.*

Grusza w ogrodzie, poruszona dzwonkiem, przestąpiła niespokojnie z nogi na nogę, zadziobała ostrzegawczo w szybę...

To nie Twoja wina. Skąd miałeś wiedzieć, że mam dom w Adamahu. Skąd miałeś wiedzieć, że tam, gdzie mieszkam, nie ma plaż. Smutne widma, ciemne widma nie oglądają wschodów słońca. Snują się tylko pośród czerwonych mgieł.*

Zachlapana krwią witrażowa lampa odwróciła oczy. Taka scena to dla niej coś dziwnego i niewiarygodnego, nie mogła sobie z tym poradzić...

* Tibal – wg kabalistów, jedna z siedmiu „ziem” zamieszкана przez ludzi.

* Adamah – wg kabalistów, ziemia zamieszкана przez smutne widma.

Smak nieuznanego odkupienia, dramatycznie fioletowy i cierpki. Twoja twarz – bardziej piękna niż głupia, nie patrz tak na mnie, to nie ja Cię urodziłam. Nie ma dla Ciebie miejsca w tym Twoim Sedarim Kodaszim.*

Do Efezu odprowadzę Cię z III Symfonią żalostną na ustach, ciekawe, jak by ją zatańczył Barysznikow. A Ty zostawisz mnie niewdzięcznie na dnie niezaspokojenia. To nie Twoja wina.*

Już dawno tam osiadłam. Poukładane z dziecięcą starannością, szczerzą otwarte paszcze argumenty, których mi zabrakło. Ssyczą z głodu. Nie bój się, zaprosiłam Cię tu tylko na chwilę. Tobą się tylko zachłystną i wyplują. I nie pytaj dlaczego, ja też nie wiem.

Nie, nie płacz, popatrz, jak piękną purpurą rozkwitają róże na Twoim dywanie...

Jeszcze tylko trzygłowa hydra – zostawię jej krwawy ślad. Akty wymieszane – zazdrość, namiętność, nienawiść. Akt ostateczny – biel łaski dla Twoich braci. Może jednak docenią ofiarę z Ciebie.

* * *

Wika podeszła do okna. Nie potrafiła już dzisiaj więcej pisać. Przyłożyła dłonie do chłodnej szyby.

– Już nie – szepnęła do siebie, zostawiając parę na oknie. – Już nie chcę...

Podporucznik Kamil Koziejuk sprowadził Ultrę dwa piętra pod ziemią, wskazał żelazne drzwi z wielką klamką i rzucił krótko na pożegnanie:

– Powodzenia. To jego drzwi.

– Spodziewa się mnie? – spytała Ultra.

– Tak. – Koziejuk odwrócił się i zniknął za zakrętem korytarza.

Agentka zapukała, ale nikt nie odpowiedział, więc po pewnym czasie nacisnęła klamkę i z niemałym wysiłkiem pchnęła potężne drzwi. Rozczochrana do granic możliwości, ruchliwa postać w brudnym, białym fartuchu krzątała się dookoła stołu, na którym leżały różnego rodzaju przedmioty przypominające menzurki, rurki, plastikowe zabawki. Sokrates raczej nie zwrócił uwagi na jej pukanie i mimo że teraz ją dostrzegł, nie poświęcił agentce więcej niż kilka sekund, machając dziwacznie ręką, aby weszła, usiadła na czymkolwiek i nie przeszkadzała przez chwilę. Następnie wykonał kilka podskoków, które chyba miały pomóc mu się skupić, i zamarł na dobre dwie, trzy minuty, zachowując się jak zahipnotyzowany. Wreszcie wyciągnął ręce do góry tak wysoko jak mógł, opuścił dłonie luźno na twarz i

* *Sedarim Kodaszim* (hebr. – Porządek: „świętości”) – dział Talmudu dotyczący ofiar składanych w Świątyni, uboju rytualnego i porządku kultu świątynnego oraz uprawnień i obowiązków kapłanów.

* Michaił Barysznikow – baletmistrz łotewski występujący głównie w USA, jeden z najwybitniejszych i najsłynniejszych tancerzy XX wieku.

odwrócił się w kierunku dziewczyny.

– Ultra! – wykrzyknął, jakby zobaczył zmarłego przodka.

– Tak jest! – odparła służbowo dziewczyna, z trudem powstrzymując się przed ucieczką.

– Ultra, Ultra, Ultra, Ultra... nowaaa – śmiesznie przeciągnął ostatnią samogłoskę.

– Tak jest! – Agentka wreszcie zdecydowała się zaryzykować i usiąść na czymś, co przypominało krzesło.

– Siedzisz na stojaku do konwertera walencyjnego, ale niech będzie – machnął ręką, aż świsnęło powietrze.

Ultra szybko wstała, ale widząc ponaglące ruchy Sokratesa, ponownie usiadła w tym samym miejscu.

– Mam z panem porozmawiać na temat... – zaczęła Ultra.

– Sokrates! – przerwał naukowiec i zamasyście wyciągnął dłoń w jej stronę. Dziewczyna odważnie podała rękę. – Tak mnie tu nazywają – uśmiechnął się, ale było w tym coś z grymasu „obcego” z filmu *Starman* Carpentera, którego, jak pamiętała agentka, grał Jeff Bridges.

– Mnie nazywają Ultra – odrzekła kompletnie bez sensu, ale naukowiec nie zwrócił na to uwagi. Podsunął sobie prawdziwe krzesło, usiadł naprzeciwko niej i jakby się uspokoił.

– Sypiasz z nim? – spytał tak bezpośrednio, że dziewczyna przez chwilę była kompletnie dezorientowana.

– Nie rozumiem – bąknęła.

– A jakżeby inaczej – mruknął do siebie Sokrates. – Pytam, czy sypiasz z Kamilem Lechowiczem?

– Dalej nie rozumiem.

– Nie potrafisz po prostu odpowiedzieć?

– Potrafię, ale to raczej dość osobiste, nie uważasz?

– Przecież to podejrzany! – wybuchnął naukowiec. – Nie ma w tym nic osobistego, to praca.

– Możemy porozmawiać na temat? – Ultrę zaczęła drażnić ta „gra wstępna”.

– Rozmawiamy na temat. Spójrz – Sokrates sięgnął po maleńki przedmiot w kształcie monety. – To „iniektor SK”, model czwarty. Przyklejasz go do wewnętrznej części dłoni. Druga strona iniektora przy zetknięciu z innym ciałem niemal bezboleśnie pobiera próbkę krwi. Zaledwie kroplę, ale do tego zadania wystarczy. Tyle że facet musi spać, inaczej możesz się zdemaskować.

Ultra z zainteresowaniem przyglądała się urządzeniu, które naukowiec trzymał między palcami.

– Jak to... przyklejam? – spytała wreszcie rzeczowo.

– Ma to dwie strony, jak każda moneta. Jedna jest żółta, druga... no powiedzmy, cielistą. Dzięki temu po umieszczeniu na dłoni iniektor jest prawie niewidoczny.

Sokrates głośno chrząknął.

– Bierzesz go w dwa palce i na moment przed wykonaniem zadania przyciskasz do wewnętrznej części dłoni stronę żółtą. Odczujesz lekkie swędzenie, ale za chwilę „moneta” będzie się trzymać za pomocą acetyloflodeiny, czyli... czegoś w rodzaju kleju, który wydzielili się w formie gazu pod wpływem ciepła ręki. Nie pachnie, reakcja jest właściwie bezgłówna – naukowiec podrapał się lewą ręką w prawe ucho. – Pracuję jeszcze trochę nad nim. Ale będzie dobrze.

– Co dalej robisz? – spytała niecierpliwie Ultra.

– Jak zaśnie, udając, że go obejmujesz lub co tam chcesz, przykładasz dłoń do jego... na przykład pleców. Uwalnia się miniigła, wstrzykując środek znieczulający, a następnie pobierając kropelkę krwi. Wszystko trwa ułamek sekundy. Nie powinien się nawet obudzić. To mniej odczuwalne niż ukąszenie komara. Po pobraniu krwi niemal natychmiast wyzwała się neutralizator, który odklei iniektor od twojej dłoni. Przynosisz go do mnie i po sprawie.

– Nie za skomplikowane to trochę?

– A chcesz go ganiać z nożem, aby dał ci trochę krwi?

Ultra przez kilkadziesiąt sekund po tym pytaniu miała problem z otworzeniem buzi.

– Długo pracowałeś nad tym urządzeniem? – spytała wreszcie.

– Nie. Zasadę wykradziono kiedyś Stasi. – Sokrates uśmiechnął się. – Ja tylko sprawę trochę ulepszyłem. Najbardziej lubię to swędzenie na dłoni – naukowiec wyszczerzył zęby od ucha do ucha.

Ultra pokiwała z niedowierzaniem głową.

– Czy takiego sprzętu nie mogą mieć szpitale? Dzieciaki, cukrzycy nie baliby się pobierania krwi...

Sokrates przyjrzał się jeszcze raz uważnie nowej koleżance.

– Ty chyba rzeczywiście jesteś nowa?

– No i co z tego? – burknęła zaczepnie.

Naukowiec klasnął dłońmi o kolana.

– Wiesz, co by było, gdybyśmy sprzęt wojskowy, szpiegowski i tak dalej oddali cywilom? Wszyscy by się o tym dowiedzieli, także wróg. Koniec całej konspiracji, tajnych metod wywiadu, czegokolwiek! Wiesz, co by to było?! – powtórzył pytanie.

– Może dobrze by było... – mruknęła dziewczyna cicho, wyciągając rękę po urządzenie.

ROZDZIAŁ 8

Wika wyszła na korytarz. Schowała indeks do plecaka i rozejrzała się dookoła. Kilkanaście par oczu czekających na egzamin z parazytologii i inwazjologii miało w spojrzeniach jeden wielki znak zapytania.

– No i co? – spytała wreszcie niecierpliwym tonem grubawa dziewczyna w okularach. – Ciężko?

Wika uśmiechnęła się, rozkładając ręce, jakby chciała powiedzieć: „*c'est la vie*”^{*}.

– Ale „do przodu”? – mruknął zdenerwowany krótko ostrzyżony blondyn, który tylko na chwilę zdołał oderwać się od notatek.

– Raczej tak – odpowiedziała dziewczyna, spuszczać wzrok. Miała nadzieję, że nie będzie zmuszona opowiadać wszystkiego, z czego ją pytano. Zarzuciła więc plecak na ramię i pobięła w stronę schodów.

– Mogłaby coś powiedzieć, pipa jedna – mruknęła niepocieszona, puszysta okularnica, odprowadzając Wikę gniewnym wzrokiem.

– Daj jej spokój, maglował ją przez pół godziny – skarcił koleżankę długowłosa chudek w lennonkach.

– Bo pan docent chce ją przelecieć równie gorąco jak ty – mruknął znowu blondyn, który widocznie doszedł do wniosku, że kłótnia z chudkiem będzie stanowiła dobry pomysł na rozładowanie się przed egzaminem. Długowłosa jednak nie podjął tematu, nawet nie odwrócił się w stronę kolegi, zbywając uwagę lekceważącym spojrzeniem w sufit.

Wika wybiegła na zewnątrz i od razu odwróciła twarz do słońca. Na niebie nie było nawet jednej chmurki. Stała tak przez chwilę, wygrzewając się, co po trzydziestu minutach w chłodnej sali egzaminacyjnej sprawiło jej dodatkową przyjemność. Zdjęła lekki polar i została tylko w białej bluzce. Plecak rzuciła na pobliską ławkę i jeszcze przez parę sekund nie otwierała oczu, układając w myśli zdania:

*Umyłam skrzydła mojemu aniołowi
w psim szamponie*

^{*} *C'est la vie* (franc). – Takie jest życie.

*Z pomiętych ust
wymaszerował i stanął na baczność
i co miałam z nim zrobić?
taki Zapluty był*

Usiadła wreszcie na ławce. Rozejrzała się, czy nikt nie idzie, po czym wyjęła czarną, grubą książkę. Otworzyła na pierwszej stronie tekstu. Dotknęła opuszkami palców i jak niewidoma przebiegła delikatnie palcami po literach.

„Na początku Bóg stworzył niebo i ziemię. Ziemia zaś była bezładem i pustkowiem: ciemność była nad powierzchnią bezmiarów wód, a Duch Boży unosił się nad wodami.

Wtedy Bóg rzekł: «Niechaj się stanie światłość»...»^{*} szeptała, jakby bawiąc się poszczególnymi słowami.

Teraz zamknęła oczy i przebiegła dalej opuszkami palców po tekście, za wszelką cenę usiłując wyczuć choćby najmniejsze ciepło różniące pierwszą, drugą, trzecią stronę od zwykłej niezapisanej, pustej kartki jej pamiętnika. Nic... Sięgnęła po swój *Dziennik* i otworzyła na czystej stronie.

„Krew brata twego głośno woła ku mnie z ziemi...” – nieposłuszny długopis powykrzywił kształt niektórych liter. Odłożyła czarną książkę i zaczęła tym razem już wolno i starannie pisać:

Wika – *Dziennik*, 6 czerwca

Abel^{}, wasz brat, był pierwszy, nie ma co, pośpieszył się, a ludzkość się splotała. Jakoś nikt nie zawracał sobie głowy straconym dziewictwem Azaela^{*}. Abel – zabójca pierwszego baranka, szukał spełnienia w krwawych okrawkach. Czerwoną niewinnością wytarty biały ołtarz. Zgryzione soczyste Pater noster^{*}. Z nienawiści utkany werdykt. Runda pierwsza – zwycięstwo. Sędziwy sędzia, znany z braku jeszcze wtedy doświadczenia, ogłosił wyrok. W zawilości racji zaplątała mu się broda. Może to mój brat.*

Nie wiedzieć czemu, nagle zebrało jej się na płacz. Rozejrzała się z lękiem, czy nikt się nie zbliża. Uspokoila się na szczęście po kilku chwilach, wyjęła pośpiesznie chusteczkę i wytarła wilgotne oczy. Spojrzała w kierunku słońca, starając się nie zamykać powiek. Wytrzymała tak może dwie sekundy i ukryła twarz w dłoniach. Gdy ponownie przyłożyła

^{*} Księga Rodzaju – ten cytat i następne wg Biblii Tysiąclecia, Poznań-Warszawa 1983.

^{*} Abel (hebr. Hebhel) – w Biblii młodszy syn Adama i Ewy, zabity przez starszego brata Kaina.

^{*} Azael – Anioł ukarany za utrzymywanie stosunków cielesnych z córkami ludzkimi.

^{*} *Pater noster* (łac.) – *Ojcze nasz*.

długopis do kartki, przez dłuższy czas niczego nie widziała prócz biało-żółtej, niewyraźnej plamy. Po pewnym czasie znów mogła napisać:

”Tułaczem i zbiegiem będziesz na Ziemi...”

Wika po przepisaniu tego zdania długo wpatrywała się w każdy z wyrazów. Chwilę trwało, zanim znowu zaczęła pisać:

Kain – pierworodny Adama, pierwszy cud płodności, stworzony z ludzkiego ciała. Kto inny mógł ściągnąć na siebie przekleństwo. I czyja tu zazdrość? Zgryziona ziemia, wzgardzona matka będzie o Tobie pamiętać. Odrzucony za bezkrwawą miłość, skazany na nieśmiertelność. Kain – do dziś wbrew woli chłepcący śmierć. Z czarną kawą siada czasem na płocie – to tylko kolejna nierozliczona senna mara. Siedem krain, wśród nich Twoja Arka. Zatańczysz ze mną jeszcze? Runda druga – remis – powiedział jedyny Niezależny – Syn Jutrzenki...*

Zajęta pisaniem, na kilka minut straciła czujność. Usłyszała za sobą kroki dość późno. Szybko zamknęła *Dziennik*, ale nie była pewna, czy osoba, która właśnie do niej podeszła, cokolwiek zdążyła przeczytać.

– Gratuluję! – usłyszała za sobą głos Pawła Langa, kolegi z grupy, przystojnego, ale, niestety, jednego z najbardziej nachalnych na roku.

– Czego? – Wika delikatnie się uśmiechnęła.

– Piątki z egzaminu. Wszedłem po tobie i widziałem na liście u docenta.

– Jak ci poszło? – spytała dziewczyna.

– Gorzej. – Lang usiadł obok plecaka i książki Wiki na ławce. Najwidoczniej nie widział tego, co pisała w *Dzienniku*, ale książka przykuła jego uwagę. – Nie wiedziałem, że jesteś aż tak religijna.

Jego uśmiech nie spodobał się Wice.

– *Se non è vero è molto ben trovato** – odparła, nie patrząc na niego.

– Cokolwiek powiedziałaś, na pewno masz rację – pokiwał głową Lang. – Co ciekawego pieszysz? – wskazał na *Dziennik*.

– To dość osobiste – odparła najbardziej uprzejmie, jak potrafiła.

– No pokaz! – chłopak sięgnął po jej zeszyt, ale gdy tylko jego dłoń spoczęła na okładce, Wika chwyciła palec wskazujący Langa i wygięła go silnie do tyłu, aż krzyknął z bólu. Twarz dziewczyny przy tym nawet nie drgnęła. Jej uśmiech stał się trochę bardziej ostrzegawczy.

– OK! W porządku!!! – jęknął, ledwo uwalniając się z jej uścisku. – Trzeba było

* Arka – tu: wg kabalistów ziemia zamieszkała przez Kainitów.

* *Se non è vero è molto ben trovato* (włos.) – Nawet jeśli to nie jest prawdziwe, to jednak bardzo dobrze wymyślone (Giordano Bruno, *De gl'heroici furori*, 1585).

powiedzieć! Ty jesteś jakaś nienormalna! – pomstował, zrywając się z ławki.

Chwilę patrzył oburzony na wciąż uśmiechniętą uprzejmie dziewczynę, aż wreszcie pobiegł w stronę budynku, przyciskając do ciała obolały palec.

Wika spokojnie otworzyła z powrotem *Dziennik*. Upewniła się, czy nikt nie będzie jej przeszkadzał, po czym przepisała zdanie z czarnej książki:

„Ktokolwiek by zabił Kaina, siedmiokrotną pomstę poniesie”.

Schowała czarną książkę do plecaka, złożyła ręce jak do modlitwy, ale milczała. Nie ma o czym tu mówić. Jest o czym myśleć i o czym pisać. Przez moment jeszcze zastanawiała się i znowu zaczęła:

Ktoś przecież w końcu musi. W Tibalu nie zamieszkamy – mdli mnie kwaśny zapach krzyku, drżąca słodycz strachu. Ciebie palą oświecone dusze grzeszników. Może uda mi się wykupić Kaina, pomścić Abła. To tylko błędy, a zwisają z nieba, nie mieszczą się już w piekle. Wspólny dom – Ziah – ziemia niezaspokojonego pragnienia. Ja tylko czekam na rozstrzygnięcie.

* * *

Palce Ultry dotknęły lekko chropowatej ściany. Na korytarzu było ciemno i cicho. Poczula na opuszkach lekkie mrowienie, jak wtedy, nad urwiskiem dwa lata temu, gdy śmierć miała ją na wyciągnięcie ręki. Na jednej ze skał w górach bez nazwy, daleko, za oceanem, chwila nieuwagi zatrzymała jej oddech. Jeszcze nie umiała zrozumieć, że wyrok może zapaść tak nagle, w ciszy i bez ostrzeżenia. Chwila, kiedy kończymy życie, najczęściej jest przerażająco nieuroczysta. Nie ma prologu, rozwinięcia, punktu kulminacyjnego czy puenty. A ważne momenty takie przecież powinny być, prawda? – pytała zachrypniętym głosem, gdy w pośpiechu znoszono ją na noszach do helikoptera. Nikt nie słuchał jej słów. Wśród hałasu tnących powietrze skrzydeł ratowali jej życie, szybko, profesjonalnie, spokojnie.

Obudziła się tak naprawdę dopiero następnego dnia, niewiele pamiętając. „Spadłaś na półkę skalną...”, „Była trochę pochyła, nieprzytomna zsunęłaś się z niej...”, „Wisiałaś na obluzowanej ondzie^{*}, nie widać było nawet, gdzie spadniesz, zdążyli, to był cud...”.

Pod dwóch tygodniach wróciła do Quantico.

Opuszki palców drętwiały jej jeszcze nieraz – przed walką, egzaminem, przed strachem, przed miłością...

Przykleiła się teraz do ściany plecami, słuchając szumu windy i głosu dziecka, które przed chwilą zaczęło płakać za jakimiś drzwiami. Patrzyła tępo na brzydkie okno klatki schodowej kilka metrów na lewo, za którym zapadał mrok. Nieumyte, pęknięte. Nie chciała tu być. Dzwonek do drzwi nacisnęła tylko na sekundę, jakby to mogło pomóc w łatwym

* Onda – rodzaj haka do wspinaczek wysokogórskich.

rozwiązaniu. Tak opłacało się teraz stchórzyc...

Kamil Lechowicz otworzył jednak niemal natychmiast. Był nieuczestny, a oczy zdradzały nieprzespaną noc. Dopiął natychmiast koszulę, patrząc na Ultrę ze strachem, jakby bał się, że znowu szybko ucieknie, nie da mu zasnąć przy sobie lub choćby na chwilę się przytulić, że odejdzie i tym razem już nie wróci.

– Jesteś... – szepnął zbyt cicho, aby mógł to usłyszeć ktokolwiek oprócz niej.

– Jestem.

– Zostaniesz?

– Chcę cię tylko zobaczyć.

Kamil zrezygnowany spuścił głowę.

– Ja chcę po prostu dostać szansę... – powiedział, nie odrywając wzroku od jej butów.

– Wiem. Jesteś sam?

– Oczywiście – oburzył się Lechowicz i szeroko otworzył drzwi, aby weszła.

Ultra nie zatrzymała się w przedpokoju. Przechodząc obok wieszaka, zostawiła tam tylko torebkę. Kiedy przekroczyła próg sypialni, dopadł do niej, przytulił się do pleców i pocałował delikatnie w szyję.

Nie bronila się, ale też nie zareagowała. Stała z nieobecnyim spojrzeniem jak posąg, na nic nie czekając, niczego nie planując.

– Zostań – szepnął znowu cicho, prosto do ucha dziewczyny.

– Nie spodoba ci się to – odparła, nie odwracając się.

– Nic mnie już nie obchodzi, możesz okazać się wampirem, morderczynią, wysłanniczką piekieł, kimkolwiek! Tylko już nie odchodź...

– Jak chcesz – odparła wolno i jakby smutno.

– Nie będę o nic pytał!

– Nie o to chodzi, Kamil. Ja tylko ostrzegam, że kiedyś możesz bardzo pożałować tego, że mnie poznałeś.

– Już ci mówiłem, nie dbam o to.

Ultra odwróciła się do niego. Spojrzała spokojnie na jego twarz, nic nie mówiąc przez dłuższą chwilę.

– Pamiętaj, ostrzegałam cię – rzekła i dotknęła delikatnie palcami jego twarzy.

Kamil przywarł ustami do jej dłoni. Dopiero teraz dziewczyna nieśmiało się uśmiechnęła.

– Spodziewasz się kogoś? – spytała.

– Nie, mówiłem ci już.

Ultra sprawnie rozpięła bluzkę.

– To idź sprawdzić, czy drzwi są zamknięte, i wracaj tutaj jak najszybciej. Dziś darujemy sobie dyskusję o polityce.

Obudziła się pierwsza. Kamil spał spokojnie. Całą niemal noc był do niej przyklejony jak

dzieciak, co nie pozwoliło usnąć dziewczynie choćby na kilka minut. Dopiero około piątej nad ranem, gdy już mocno spał, odwrócił się do niej plecami i Ultra zyskała trochę swobody. Iniektor oczywiście już od dawna tkwił w jej puderniczce na dnie torebki. Zrobiła to szybko i bez kłopotów. Lechowicz nawet nie drgnął. Jego miarowy oddech odmierzał bez przeszkód zdrowy sen.

Dziewczyna spojrzała na zegarek. Dwanaście po siódmej oznaczało, że na nią już czas. Oparła głowę na łokciu, aby móc jeszcze przez chwilę na niego popatrzeć. Spał jak mały chłopiec, zadowolony, szczęśliwy i ufny. Oparła czoło o jego plecy i zamknęła na chwilę oczy.

– Tak bardzo mi przykro, Kamil – szepnęła niemal bezgłośnie. – Tak bardzo przepraszam...

Musnęła ustami jego ramię i ostrożnie wstała. Szybko się ubrała i podeszła do stolika. Pośpiesznie napisała coś na kartce, po czym ostrożnie wyszła z mieszkania. Kamil wciąż spokojnie spał.

* * *

– Zabezpieczyliśmy wszystko, panie komisarzu – zameldował policjant. Podał fiszki raportowe Snopczykowi i potarł o siebie dłonie na znak dobrze wykonanej pracy.

– W porządku – skinął głową podkomisarz i machnął ręką na Rudiego, kiedy tylko dostrzegł, że Williams przestał rozmawiać przez telefon.

– Co jest? – spytał psycholog, wyraźnie zajęty własnymi myślami.

– Krentz tu jedzie – odparł spokojnie Snopczyk.

– No i co z tego?

– Trochę za dużo ludzi.

– Daj spokój, nie rób z niego kosmity – machnął niedbale ręką psycholog. – Jak nie będzie mu się podobało, to pogada z nami gdzie indziej.

Snopczyk wzruszył ramionami i wyszedł na dwór. Wozy stojące do tej pory przy bramie powoli zaczęły odjeżdżać, a opieczętowany dom czekał na zamknięcie. Policjant usiadł na drewnianym krzeselku w ogródku i wystawił twarz do słońca.

– Jak w domu? – spytał Rudi.

– Wspaniale – mruknął podkomisarz, nie otwierając oczu.

Williams milczał przez chwilę, dając czas przyjacielowi na udzielenie bardziej zbliżonej do prawdy odpowiedzi.

– Dziewczynki źle to znoszą – podjął po kilkudziesięciu sekundach Snopczyk.

– Jak to tłumaczysz Joasi?

– Gorzej jest z Melanią, złości się. Mała niewiele jeszcze rozumie.

– Rozumie, tylko trochę inaczej. A bunt nastolatki tylko wtedy szybko mija, kiedy nie

natrafia na realną podstawę.

– Potrafisz pocieszyć człowieka – wyszczerzył złośliwie zęby Snopczyk.

– Nie będę ci pieprzył głupot – oświadczył Rudi. – Wiem, jak jest. Ale gdy będziesz miał większą świadomość tego, co naprawdę jest grane, lepiej i szybciej przez to przejdziesz. One też.

Podkomisarz otworzył oczy i przyjrzał się krytycznie Williamsowi, mając szczerą nadzieję, że się wreszcie zamknie.

– Jeśli wykażesz surową konsekwencję w stosunku do Doroty, będziesz mógł się spodziewać... – ciągnął psycholog.

– Rudi! – przerwał mu Snopczyk.

– No co?

– Daj mi spokój i zostaw te swoje mądrości dla niego – wskazał na otwierającego furtkę Krentza.

Rudi zrobił kwaśną minę, szukając w myślach jakiegoś rozsądnego argumentu na poparcie swoich słów. Ku uldze podkomisarza nie zdążył już jednak wydusić z siebie niczego twórczego, bo pułkownik, nie oglądając się na nikogo, szybko skierował się wprost do nich.

– Dzień dobry, panie komisarzu, witam, panie doktorze – uklonił się kurtuazyjnie, ale było w tym coś z rytuału, jaki odstawia poborca podatkowy, zanim zabierze się do rzeczy.

– Dzień dobry, pułkowniku – wydusił z siebie uśmiech Snopczyk.

Rudi podał rękę Krentzowi, wyraźnie zdziwiony, że tym razem przyjechał sam.

– Nie przeszkadzam? – spytał agent.

– Zbieramy się już. Niepotrzebnie pan się fatygował, mogliśmy porozmawiać przez telefon.

– Rozmawialiśmy przez telefon – zauważył uprzejmie pułkownik.

Rudi wolał nie drażnić tajniaka, ale Rysio wyraźnie miał dzisiaj humor sprzyjający wywoływaniu kłopotów.

– Badamy ślady, jak skończymy, zadzwonimy – oświadczył Snopczyk.

– Nie macie niczego, co zwróciłoby waszą szczególną uwagę?

– Niczego konkretnego. Na razie.

– I dlatego ślęczycie tu już trzeci dzień? – Uśmiech zniknął z twarzy pułkownika, ale ton, jakim zadał to pytanie, był nadal uprzejmy.

Rudi doszedł do wniosku, że już starczy.

– Znalezliśmy ślady krwi, które nie należą do denata – mruknął nieśmiało.

– I to jest nic? – Krentz nadal był opanowany, ale Williams wiedział, że o miłej pogawędce mogą zapomnieć.

– Nie wiemy, czyja to krew – odparł Snopczyk. – Szukaliśmy jakiegoś potwierdzenia, dlatego to tyle trwało.

– Dużo jest tej krwi?

– Tylko ślad po skaleczeniu na wystającym ze ściany gwoździu, tuż przy drzwiach, ale powinno starczyć.

– A pan co sądzi? – Krentz odwrócił się w stronę Rudiego.

– Wszystko jest jak do tej pory – odparł psycholog. – Ofiara przybita do podłogi, ściany umazane krwią, ale w pewnym momencie musiało ją coś lub ktoś wystraszyć. To skaleczenie to przypadek. Uciekała, przejechała ręką po ścianie przy framudze drzwi i natrafiła na stary, ostry, niemal niewidoczny kawałek gwoździa. Zakładając oczywiście, że to jej krew. Wiemy na razie tylko tyle, że nie jego.

Pułkownik zastanawiał się przez chwilę.

– Dajcie nam próbkę.

– Jesteśmy w trakcie analizy wykresowej i porównawczej – zaniepokoił się Snopczyk. – Damy panu wyniki natychmiast po obliczeniu wszystkiego.

– Nie przerywajcie własnych badań, ale dajcie próbkę.

– Nam pan nie wierzy? – nie wytrzymał podkomisarz.

– Wierzę i proszę o próbkę. My też mamy kilka próbek, i to z materiałami genetycznymi podejrzanych, którymi być może nie dysponujecie. Po prostu zsumujemy wyniki.

Pułkownik wyraźnie nie chciał się spierać. Rudi doskonale zdawał sobie sprawę, że tajniak w każdej chwili mógł trzasnąć pięścią w stół, zabrać im wszystko i zabawa by się skończyła. Znosił jednak fochy Rysia dzielnie, nie próbując choćby niewielkim prztyczkiem w nos utemperować przynudzastego gliniarza. Klasa facet. Ale nawet Matka Teresa miała swoją wytrzymałość.

– Oczywiście, panie pułkowniku – wybuchnął więc z entuzjazmem. – Najpóźniej za godzinę wyślemy do pana próbki.

– Nie chcę sprawiać kłopotu, przyślę do was kogoś.

– Wspaniale.

– Ale... – zaczął Snopczyk.

– Musimy już iść, Rysiu, czas nagli – przerwał mu Rudi, obejmując przyjaciela za ramię.

– Chciałbym jednak... – upierał się podkomisarz.

– Niczego byś nie chciał – zapewnił go Williams.

– To ja już się pożegnam – przyszedł mu z pomocą Krentz. – Za godzinę będzie u was mój człowiek. – Podał dłoń obu oficerom i szybko odszedł w stronę swojego samochodu.

– Jedziemy – mruknął Rudi, gdy czarna limuzyna Krentza odjechała.

– Spierdalaj na bambus! – warknął Snopczyk.

– Jest takie stare arystokratyczne przysłowie: „Zanim usiądziesz na sraczu, sprawdź, czy masz papier”! Więc zanim zaczniesz toczyć pianę, zerknij z łaski swojej na rachunki – przypomniał Williams. – Nie damy bez nich rady.

– Wiem, masz rację – mruknął Snopczyk. – Ale i tak spierdalaj na bambus.

ROZDZIAŁ 9

Warto było przypomnieć sobie to dalekie popołudnie, kiedy patrząc pod słońce, widziała ostatni raz twarz ojca. Cień był niewyraźny, jego rysy rozmazały się, ale stał tak dłuższą chwilę, wysoki jak heros. Niewiele wtedy mówił. Kiwnął głową, może nawet się uśmiechnął. Dziwne, że nie pamięta, aby się gniewał czy robił wymówki. Odwrócił się i wszedł chyba do autobusu. Wszystko na świecie było wtedy większe, ale bardziej przyjazne. Zło czy głupota nie bolały tak bardzo, wiosny i lata były dłuższe, a zima weselsza. Wraz z wiedzą przyszedł strach – szukający odpowiedzi, zakłócający równowagę umysłu, mający inteligencję za sprzymierzeńca, a co najgorsze za pomagiera. Świadomość zawsze była matką nieszczęść, a człowiek za swoją władzę nad światem płacił potwornym cierpieniem. Władcy wszystkiego byli zawsze niecierpliwi i nieodporni. Natura pozbawiła ich zmysłów, a zastąpiła je śmiesznymi atrapami, z których każdy kot śmiałby się do rozpuku, gdyby tylko warto się było śmiać. Ojciec nie powiedział jej o tym, nie dał rozwiązania i nie nauczył. Ostrzyż pazury musiała sama, budzić się co rano musiała sama i pytać musiała samotnie i... okrutnie.

Jaguarundi cierpi teraz za ścianą. Jej ukochany został daleko, po drugiej stronie. I choć jest piękny, a jego dusza błyszczący jak posąg, nigdy nie będzie jej kochankiem, choć być może umrze w jej ramionach.

Serwal idzie powoli i uważnie, aby nie wystraszyć myśli zza ściany. Teraz już będzie ostrożniejszy.

Drzwi skrzypnęły i Wika pojawiła się w progu. Ultra wolno odwróciła głowę w tamtą stronę. Do tej pory leżała na łóżku niemal bez ruchu, wpatrzona w nieokreślony punkt za oknem, co najmniej od godziny.

– Usiądę tu na chwilę, dobrze? – spytała Wika.

– Jak chcesz. – Wyraz wściekłości i smutku Ultra starała się na twarzy zastąpić obojętnością.

– Takie rzeczy mijają.

– Jakie rzeczy?

– Takie, które chodzą ci teraz po głowie.

– Jestem zmęczona.

– To porozmawiajmy trochę o tym zmęczeniu, Emilio. Myślę, że trochę się na tym znam.

Ultra po raz pierwszy chyba od rana lekko się uśmiechnęła.

– Mamy święto – powiedziała już raźniej. – Po raz pierwszy chyba zwróciłaś się do mnie po imieniu.

Wika odpowiedziała na uśmiech zawadiackim przymrużeniem oczu, licząc na to, że na dobre rozweseli przyjaciółkę.

– O czym myślałaś, kiedy podsłuchiwałaś moje myśli za ścianą? – spytała Ultra, próbując złośliwie naśladować sposób mówienia Wiki.

– O ojcu.

– O ojcu... – powtórzyła jak echo. – Opowiedz.

– Może lepiej porozmawiajmy o tobie.

– Nie, porozmawiajmy o twoim tacie. Kilka razy próbowaliśmy i zawsze mi uciekałaś. Teraz chcę wiedzieć. Te twoje ataki, ten smutek, drgawki... może to wszystko się łączy, może po prostu...

– Rundi! – przerwała jej gniewnie Wika. – Leżysz półmartwa na łóżku, ja przychodzę, aby spróbować coś na to zaradzić, a ty mnie nagle pytasz o ojca. Może ja bym ci tak wreszcie pomogła?

– To mi właśnie pomoże. Zawsze uciekasz od tego, zawsze coś wymyślasz. A ja odnoszę wrażenie, że na twoje kłopoty pomoże szczerza rozmowa, a na moje – milczenie. Ja muszę zapomnieć, ty musisz się wyleczyć z depresji. Moje sprawy to przy twoich pierdółki. Kiedy zajmuję się tobą, czuję się najlepiej.

– Naprawdę? – Wika była szczerze zaskoczona, ale poczuła przyjemne ciepło wędrujące wzdłuż kręgosłupa po plecach.

– Naprawdę – uśmiechnęła się Ultra. – Może to ty tak naprawdę jesteś jaguarundi?

Wika uśmiechnęła się od ucha do ucha.

– Rzeczywiście mamy chyba dzisiaj wyjątkowy dzień, skoro mówisz w ten sposób. No dobrze. *Quid pro quo*, jak mawiał niejaki doktor Lecter. Coś za coś. Co się dzieje?

– Zgoda. Ja pierwsza. Muszę zrezygnować z kogoś na rzecz czegoś ważniejszego.

– Co może być teraz ważniejszego od faceta? Przecież jesteś tylko studentką?

– Szykuje mi się nowa praca. Ważna.

– Dlaczego to koliduje?

– Powiedzmy... że ona koliduje trochę z jego poglądami. Byłby nieszczęśliwy, gdybym poświęcała się jej, a nie jemu. *Quid pro quo!*

– W porządku. Ojciec to tylko jedna z istotnych spraw, ale odszedł z mojej winy.

– On tak powiedział?

– Ja tak mówię.

– A gdybym tak pojechała do niego, porozmawiała...

– Nie wiesz, gdzie mieszka.

– To mi powiesz.

– Nie powiem. *Quid pro quo.*

– Nie umiem rozpoznać w ludziach tego, co najważniejsze. Miałam marzenia, chciałam pomagać ludziom, a wszystko powoli się pieprzy.

– Bo ludziom nie da się pomóc. Da się pomóc osobom. Ludzie to tylko bezradne zwierzęta, którym trzeba mówić, w co wierzyć, do kogo się modlić i co ma się im podobać. Osoby to poszukiwacze sensu.

– Nie zgadzam się. *Quid pro quo!*

– Boję się śmierci.

– Jak każdy.

– Czasem myślę, że ja bardziej. Nie chodzi o fakt nieistnienia, zagadki życia po życiu, pustych nadziei czy innych idiotyzmów. Czuję naturalny, straszliwy lęk przed... niewiedzą. A przede wszystkim przed utratą szansy. Może umiemy odpowiedzieć na te wszystkie zagadki, a nie mamy odwagi wziąć się do tego? Może rozwiązanie jest tuż-tuż i wystarczy tylko po nie sięgnąć?

Ultra wypuściła głośno powietrze z płuc.

– Nie umiem myśleć w taki sposób. Chyba po prostu nie do końca rozumiem, o co ci chodzi. Dla mnie życie jest tym, co dała nam natura. Rodzimy się, robimy tyle, ile możemy, i umieramy. Radość czerpiemy z drobiazgów, a czasem, jak jest szansa, z rzeczy – z naszego punktu widzenia – wielkich. Jestem za upraszczaniem wszystkiego. Jeślibym zaczęła tak jak ty... pogubiłabym się. Zostaw te dziwne myśli, Wiko! Zobacz, za oknem jest słońce, chmary przystojniaków, ulice, drzewa, kwiaty, kina, sklepy z hamburgerami, to wszystko dla nas. Pieprzmy te filozofie dla koleśków z brodami do kolan.

Wika pokiwała z niedowierzaniem głową.

– I to jest ta Emilia, która jeszcze przed chwilą wyglądała, jakby chciała powiesić się na kłance.

– To nie ma nic do rzeczy! – niemal krzyknęła Ultra. – Nie można mieć wszystkiego, a ja być może mam zbyt mało samodyscypliny, aby umieć sobie z tym poradzić. Ty lubisz słowa „wszechświat”, „wieczność” czy jakiś pieprzony „transcendent”, a ja chcę po prostu żyć. Chrzanię transcendent! Chomik naszego sąsiada też chrzani transcendent i jest szczęśliwy. Po cholere się umartwiasz jak jakiś pieprznięty święty Aleksy*. Żyj! Jesteś zdrowa, piękna! Każdy chciałby wyglądać tak jak ty, ja też!

– Poważnie? – Wika była szczerze zaskoczona.

– Co „poważnie”?

– Czy rzeczywiście chciałabyś wyglądać tak jak ja?

– Co ty, nie masz lustra? Łazisz z tą swoją wystawową gębą, masz piersi i tyłek, jakbyś właśnie wróciła od „plastyka”, a nawet nie wiesz, co to jest operacja plastyczna! – Ultra powiedziała to z taką pasją, że Wika nie mogła wymówić słowa przez co najmniej kilka chwil.

– Wiem, proces zamiany szarych komórek na silikonowe, zwykle na żądanie pustych jak ruski rurociąg „Przyjaźń” panius, które chcą wcześniej umrzeć na raka.

Ultra przez dłuższy czas patrzyła na przyjaciółkę, aż obraz w oczach stał się niewyraźny. Poczula, jak łzy płyną jej po policzkach.

– Kocham go, Wika! – wybuchła rozzłoszczona, jakby chciała wyciągnąć pistolet i zastrzelić wszystkich winnych.

* Św. Aleksy – bohater legendy o synu bogacza, który dobrowolnie stał się żebrakiem, aby zasłużyć na świętość.

Zerwała się z łóżka i przytuliła mocno do przyjaciółki, tak że dziewczynie na kilka sekund zabrakło tchu. Przez chwilę nic nie mówiły. Wika wczepiła palce we włosy Ultry i zbliżyła usta do jej ucha:

– Widzisz? To jednak ty jesteś pięknym jaguarundi. A ja? Choć stąпам ostrożnie, cicho, nieufnie, wciąż szukam nowych miejsc dla siebie i aby przeżyć – poluję. I dalej szukam. Jak serwał.

* * *

Trener zauważył, że jej ręce zdecydowanie za bardzo się trzęsą.

– Opuść broń, to nie ma sensu! – rzucił, machając z dezaprobatą głową.

Ultra uspokoiła szybko nerwy cichą modlitwą do diabła i mocy piekielnych, złożoną z najbardziej wymyślnych przekleństw, a następnie przywołała na twarz uśmiech. Rozluźniła przegub dłoni, w której trzymała glocka*, jednocześnie drugą masując spięte mięśnie szyi. Dwa stanowiska dalej Sławomir Hegier, porucznik z wywiadu, rok temu przyjęty przez Krentza, strzelał seriami, nie zważając na trening dziewczyny. Ultra odnosiła wrażenie, że ten młody, szczupły blondyn jest niemal w jej wieku, ale było w nim coś wyniosłego, może nawet tajemniczego. Rzadko rozmawiali, ale z tego, co zdążyła zaobserwować, Hegier był milczkiem i z nikim nie wdawał się w dłuższe dyskusje.

– Strzela, jakby walił do teściowej – parsknął złośliwie trener.

Agentka podniosła broń.

– Poczekaj! – powstrzymał ją instruktor.

Wziął od niej pistolet, ustawił się obok i wymierzył w tarczę.

– Jeszcze raz. Stajesz w pozycji klasycznej, czyli lewa noga lekko z przodu – przypomniał – albo w pozycji izraelskiej, czyli obie nogi mniej więcej na tej samej linii, ale lekko ugięte kolana. Bierzesz spluwę w prawą dłoń, dopasowujesz, żeby było wygodnie, i dopiero wtedy dokładasz lewą. Kciuk wzdłuż, bo przy niektórych pistoletach oberwiesz po strzale kurkiem. Rozumiesz?

– Tak jest.

Trener wręczył jej glocka.

– Powoli unosisz broń i tworzysz linię celowniczą – podpowiedział.

– Nie widzę wyraźnie tarczy.

– Bo jest daleko. To nieważne. Masz widzieć zarys tarczy, a celujesz delikatnie pod dziesiątkę.

– No nie widzę, do cholery, tej dziesiątki!

* Glock – pistolet kalibru 9 mm firmy Gastona Glocka z Deutsch-Wagram. Słynny z nietypowej budowy. Z tworzyw sztucznych wykonane są: szkielet broni z uchwytem, korpus magazynka i jego podajnik, język spustowy oraz oś prowadnicy sprężyny powrotnej. Lufa i zamek plus wszystkie sprężyny, kołki i części składające się na wewnętrzną budowę pistoletu, to wysokiej jakości stal.

– Nie denerwuj się, tylko spokojnie unieś pistolet. Nikt z tej odległości nie widzi wyraźnie cyferek. Ale ósemka, dziewiątka i dziesiątka po to zamalowane są na czarno, abyś widziała z daleka, gdzie jest środek. Masz duży czarny punkt, celuj lekko poniżej środka.

– Celuję, ale trzęsie mi się ręka.

– Opuść broń – powiedział spokojnie trener. – Ręce zawsze się trzęsą, ale nie możesz zbyt długo zwlekać, bo wtedy trzęsą się za bardzo. Przeciwnik też nie będzie czekał, aż ty się ustawisz. Co wyście tam robili w tym Quantico?

– Taktyka, walka wręcz, wytrzymałość, psychologia, akcja, strzelanie sytuacyjne.

– I jak ci idzie strzelanie sytuacyjne?

– Dobrze. Kiedy biegnę, szybko wyciągam broń, klękam czy padam na ziemię, strzelanie wychodzi mi dobrze. Trafiam bez problemu. A jak mam stanąć, medytować dwie godziny przed tarczą, to kicha.

Trener wzruszył ramionami.

– Nie rozumiem, ale dobrze. Spróbujmy jeszcze raz. Pozycja, celujesz, kładziesz palec na spuście. Tylko nie pociągaj na siłę, bo zerwiesz strzał i poleci w niebo. Naciskasz wolno spust. Strzał ma cię zaskoczyć. Rozumiesz? Strzał ma być dla ciebie zaskoczeniem, wtedy trajektoria jest dobra. Jasne?

– Jasne.

Ultra opuściła broń, a następnie ponownie ją podniosła, wymierzyła i strzeliła.

– No dobrze – instruktor wykrzywił usta, zastanawiając się, do czego by tu jeszcze się przyczepić. W tym momencie zadzwonił jego telefon komórkowy, więc odszedł na bok. Pozwoliło to dziewczynie rozluźnić się i rozmasować zmęczone napięciem mięśnie. Trener po minucie wrócił.

– Muszę teraz iść – zakomunikował. – Oddaj jeszcze dwie serie po pięć strzałów i wracaj! – rozkazał i wyszedł ze strzelnicy.

Agentka wzięła do ręki pudełko z nabojami, ale widząc, że Hegier się zbiera, postanowiła się przywitać.

– Hej! – machnęła do niego ręką i podeszła bliżej.

– Hej! – odpowiedział porucznik, witając ją miłym uśmiechem.

– Trening? – spytała trochę bez sensu, ale właściwie nie wiedziała, jak zacząć.

– Tak – odparł nadszpiewanie wesoło Hegier, przyglądając się uważnie dziewczynie.

Ultra dała mu chwilę, aby miał szansę przekonać się, że stojąca przed nim nowicjuszka jest atrakcyjną dziewczyną, a sama w tym czasie obmyślała plan, który przyszedł jej do głowy.

– Jesteś tu prawie od roku, prawda? – spytała.

– Tak.

– A ja od niedawna i mam mały problem. Pomożesz mi?

– Zrobię, co w mojej mocy – zadeklarował jak zwykle uprzejmie.

– Gdybym tak chciała pomóc mojej przyjaciółce... a ona by o tym nie wiedziała, bo to dla jej dobra... i to tak jakby niespodzianka...

Hegier przyglądał się uważnie dziewczynie, aż wreszcie postanowił przyjść jej z pomocą.

– Nie kręć, Ultra, mów prosto z mostu, o co chodzi.

– Potrzebuję kilku danych na temat pewnej osoby. Jak mogę je zdobyć?

– To prywatna inicjatywa?

– Raczej tak.

– Nie możemy inwigilować ludzi, którzy są poza zasięgiem naszych działań – wyrecytował poważnie, ale po chwili dodał: – Wiesz, wszystko zależy od okoliczności. Pójdź do szefa.

– Do szefa?!

– Spokojnie. Krentz to nie jest trep z jakiejś mazowieckiej szkółki. Skończył dwie elitarne uczelnie, piętnaście lat mieszkał w Anglii i Stanach Zjednoczonych. Ma, jak by ci to powiedzieć... dość światowe podejście do wielu problemów.

Ultra nie rozumiała, dlaczego ktoś wychowany w polskich szkołach nie miałby mieć „światowego podejścia” do wielu problemów, ale wiedziała, o co Hegierowi chodzi. Kiwnęła mu w podziękowaniu głową i pożegnała dyżurnym na każdą taką okazję uśmiechem. Porucznik w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku przybrał ponownie służbową minę, spakował się i wyszedł. Ultra została jeszcze przez chwilę. Chciała przemyśleć ewentualną rozmowę z pułkownikiem, licząc oczywiście na cud, że jeszcze dzisiaj ją do niego wpuszczą.

Cud się zdarzył. Piotr Krentz miał stosunkowo luźny dzień, a Koziejuk nie dopytywał się nawet, o co jej chodzi. Widocznie uznał, że nowa agentka otrzymała polecenie częstego składania meldunków i sprawa jest oczywista. Gdyby jednak spytał o cel spotkania, nie mogłaby skłamać, że jest obłożone klauzulą poufności, bo to najprawdopodobniej oznaczałoby koniec jej kariery w agencji, a przynajmniej jej radykalne zahamowanie.

Zapisał ją na szesnastą, więc musiała czekać niecałe dwie godziny. Zjadła obiad, przeszła się jeszcze do sali wysiłkowej, ale nie wysilała się zbyt mocno. Skorzystała raczej z okazji, aby pobyć trochę sama, bo w porze obiadu rzadko kto tam bywał. Pobawiła się trochę hantlami, rozważając wszystkie za i przeciw.

O szesnastej pułkownik przyjął ją jak zwykle uprzejmie, a nawet ciepło, sprawiając wrażenie rozluźnionego i świeżego, jakby właśnie wrócił z wakacji.

– Gratuluję udanej akcji – powiedział na przywitanie, wstając zza biurka, aby podać jej rękę.

– Dziękuję.

– Ciężko było?

– Poszło gładko. – Ultra starała się nie zmieniać obojętnej miny.

Krentz przez moment obserwował dziewczynę, licząc na to, że może uda mu się zauważyć coś, czego nowicjuszka nie chce powiedzieć, ale z satysfakcją stwierdził, że

zaczyna zachowywać się coraz bardziej profesjonalnie.

– Siadaj. Czy wszystko w porządku? – upewnił się pułkownik, zajmując miejsce za biurkiem.

– Mam mały problem, chciałabym zasięgnąć rady.

Krentz rozłożył zachęcająco ręce.

– Co się stało?

– Mam przyjaciółkę. To ta studentka, która mieszka ze mną. Cierpi na depresję.

– Tak, wiem.

– Wie pan? – Ultra była nie tyle zaskoczona, ile zmieszana.

– Jesteś naszym człowiekiem, musieliśmy przyjrzeć się twojemu otoczeniu. Delikatnie, ale jednak to konieczne. Czy to dla ciebie kłopot?

– Nie, właśnie o to mi chodzi. Wiem, że wiele osób narzeka na stany depresyjne, ale być może, jeśli dowiem się, jakie są przyczyny, coś będę mogła zrobić.

Krentz przez chwilę siedział bez ruchu, po czym głośno roześmiał się, czego Ultra nigdy jeszcze w jego wykonaniu nie widziała. Był człowiekiem bardzo wyważonym, dość chłodnym, a jeśli już uśmiechał się, robił to dyskretnie, delikatnie i można powiedzieć – elegancko. Teraz roześmiał się od ucha do ucha, jakby był w trakcie oglądania filmu *Czy leci z nami pilot?* Dziewczyna zmieszala się jeszcze bardziej.

– Przepraszam – zreflektował się pułkownik, ale uśmiech wciąż nie zniknął z jego twarzy.

– Widzę, iż opinie kolegów, że jesteś nieuleczalnym zbawcą świata, są prawdziwe.

Agentce nie spodobał się opiekuńczy ton dowódcy, a Krentz szybko to wychwycił.

– Nie obrażaj się – powiedział już poważniej. – To piękna cecha. Co prawda, raczej ściśle podporządkowana twojemu wiekowi, ale niewiele to zmienia.

– Nie rozumiem, panie pułkowniku, co w tym naiwnego. To chyba naturalne, że ludzie sobie nawzajem pomagają.

– Nie nazwałem twojego postępowania naiwnym.

– Tak odczytałam z kontekstu – podjęła hardo.

Krentz pokręcił głową z uznaniem. Od dawna już wiedział, że jego wybór dotyczący nowej agentki był wyjątkowo trafny, ale każde spotkanie z nią przyjemnie go w tym przekonaniu utwierdzało.

– Nie uważasz, że będzie lepiej, jak leczeniem depresji zajmą się psychiatrzy? – spytał, usiłując za wszelką cenę jej nie zranić.

– Oczywiście. Ja tylko chciałabym... odpowiednio postępować w domu.

– Doktor Stelmach to dobry psychiatra – zauważył Krentz.

No tak. Skoro nawet znasz, mądralo, nazwisko psychiatry, do którego chodzi, to też masz świadomość, że trzeba ją tam zaciągać wołami, z pistoletem przy skroni.

– Może doktor Stelmach byłby tego samego zdania co ja – spróbowała Ultra. – Z jednej strony lekarz, z drugiej – przyjaciele...

– No dobrze – zgodził się pułkownik. – W czym ja mogę tu pomóc?

– W udzieleniu informacji.

– Słucham? – To jeszcze nie było zdziwienie, ale z pewnością już nuta niepokoju.

– Chcę się jak najwięcej dowiedzieć o niej. Wierzę, że to da mi przesłanki do skuteczniejszego działania.

Krentz sięgnął do szafki po butelkę coli.

– Napijesz się? – spytał.

– Nie, dziękuję.

– Mówisz o młodej kobiecie tak, jakby to był obiekt akcji. A to jest zwykła studentka weterynarii, wrażliwa, twórcza... Podobno pisze wiersze?

– Tak. Moim zdaniem, bardzo dobre.

– No widzisz. Artyści dość często mają tego typu osobowość. Odczuwają skłonności depresyjne, są kapryśni, czasem niezdolni, ale to nie zmienia faktu, że wciąż są obywatelami tego kraju. I nie widzę powodu, dla którego mam udostępnić ci materiały operacyjne, w dodatku noszące charakter wyłącznie wstępnego rozpoznania. Każdy Polak ma prawo do prywatności. Więc jeśli nawet zaglądamy komuś za płot, to tylko po to, aby mieć na przykład pewność, że nasza agentka jest w towarzystwie tego kogoś bezpieczna. Rozumiesz, o czym mówię?

– Rozumiem. Przepraszam, panie pułkowniku. – Ultra zorientowała się, że zabrnęła za daleko.

– Nie ma za co przepraszać. Nie włamałaś się do biura danych, nie prowadzisz własnego śledztwa, przysłałaś tylko, jak to ujęłaś – po poradę. To nic złego.

Pułkownik pokręcił głową.

– No dobrze – rzekł po namyśle. – Teczki ci nie dam, ale jeśli chcesz, możesz zadać mi kilka pytań, jeśli będę mógł na nie odpowiedzieć, odpowiem. Zgoda?

– Zgoda.

Ultra wzięła głęboki oddech.

– Nie chce mi nic powiedzieć o swojej rodzinie.

– Niewiele o tym wiemy. W papierach na studia są imiona rodziców, nazwisko panińskiej matki, miejsce zamieszkania. Nic szczególnego.

– Czy ojciec opuścił rodzinę?

– Nie badaliśmy tego.

– Kim byli ci rodzice?

– Ojciec muzyk, matka... nie pamiętam, poczekaj.

Krentz sięgnął po myszkę od komputera.

– Robiliśmy to stosunkowo niedawno, powinienem to mieć jeszcze u siebie, hm... artystka, malarka.

– Jak się nazywała? To chyba nie jest tajne?

Pułkownik uśmiechnął się pod nosem.

– Nazwisko panięskie – Skotnicka. I to ma pomóc w leczeniu depresji tej twojej Wiki?

– Gdzie teraz mieszka ta Skotnicka?

– Nie powiem ci. Nie mam żadnego argumentu, aby złamać ustawę.

– A coś o dzieciństwie? Szkole? Gdzie Wika chodziła do szkoły?

Krentz znowu się roześmiał.

– Nie bądź taka cwana. Mówiłem ci, że nie powiem, gdzie mieszkała. Pojedziesz tam, wystraszysz ludzi i będzie problem. Pomyślą, że dziewczyna wpakowała się w kłopoty i że szuka jej policja.

– Chcę pojechać po prostu jako jej koleżanka, absolutnie prywatnie.

– To się absolutnie prywatnie dowiedz, gdzie mieszka.

– Ale właśnie ja...

– Jeśli zajrzysz do jej dokumentów, bez jej zgody – popełnisz przestępstwo.

Ultra uśmiechnęła się chytrze.

– A więc jej adres jest jednocześnie adresem jej rodziców. W przeciwnym razie nie mówiłby pan w ten sposób do mnie.

Krentza również to rozbawiło, ale starał się przynajmniej zachować powagę.

– Daj sobie spokój, Ultra. Ty tu naprawdę zajmujesz się poważnymi rzeczami, a zamiast robić to, do czego agencja została powołana, wyglupiasz się jak dzieciak. Jesteś najlepsza w zabawie w „Tarcze i trzciny”, widziałem, jak na ćwiczeniach robisz chłopców w konia za każdym razem. Naucz się tak samo w życiu. Pamiętasz naszą „trasę” za Białorusinem?

– Oczywiście.

– Facet zniknął. Oficjalnie odwołany.

– Zauważył nas? Zorientował się?

– Możliwe. Być może nigdy już się nie dowiemy. Wszystko jednak wskazuje na to, że któryś z moich ludzi był nieuważny.

– Rozumiem, panie pułkowniku. Nie będę panu już dzisiaj zawracała głowy, dziękuję. – Ultra wstała.

– Nie pytasz o wynik swojej akcji?

– Mojej akcji?! U Lechowicza? Myślałam, że badania nie są jeszcze gotowe.

– Nie trzeba było robić genetyki. Żaden ze śladów krwi znalezionych u pana Tran Van Khaya nie pasuje nawet do grupy krwi pana Lechowicza.

– A więc nie było go tam?! – dziewczynie trudno było ukryć radość.

– To wysoce prawdopodobne, ale z całą pewnością możemy stwierdzić tylko to, że nie zostawił żadnych śladów – pułkownik pokręcił głową zmartwiony. – Mówiłem ci, uważaj na osobiste kontakty z podejrzanymi.

– Bez tych kontaktów nie mogłabym wykonać zadania! – Ultra poczuła nagle, jak zbiera jej się na płacz.

– Nieprawda. Było wiele innych sposobów. To ty wybrałaś tę drogę. To, że major Bauer zasugerował, abyś przejęła możliwie najskuteczniej kontrolę nad jego uczuciami, to jeszcze nie oznacza, że masz sobie pozwolić na wzajemność. Nikt tutaj nigdy nie sugerował żadnych kontaktów intymnych. Ale skoro już nastąpiły, przystosowujemy się do sytuacji.

– Nie mówiłam, że nastąpiły – dziewczyna była wściekła.

– Wiem, że nie mówiłaś.

Ultra zatrzymała jeszcze przez chwilę wzrok na Krentzu, a następnie ruszyła w stronę drzwi.

– Wiemy, do kogo należała krew u Tran Van Khaya. Dziewczyna zatrzymała się w drzwiach i pytająco spojrzała na dowódcę.

– Jeszcze nie mamy całkowitej pewności – poprawił się pułkownik. – Musimy skończyć badania genetyczne, ale na dziewięćdziesiąt procent to koledzy partyjni Kamila Lechowicza.

Ultra stała jak wryta przy drzwiach.

– Lechowicz nie musi być zaplątany w te rozboje – mówił spokojnie. – Ale przyznasz, że raczej nie powinniśmy chyba zejść z tego tropu?

– Ktoś robi to co ja, z tymi z KPPP?

– Ich materiał genetyczny zdobyliśmy w zupełnie inny sposób, jeśli o to pytasz – uśmiechnął się Krentz, usiłując rozluźnić nieco dziewczynę.

– Gdybym nagle przez przypadek dowiedziała się, gdzie mieszka matka mojej przyjaciółki, nie popełnię wykroczenia, rozmawiając z nią? – spytała chłodno Ultra, powracając niespodziewanie do poprzedniego tematu.

– W tym kraju każdemu wolno rozmawiać z każdym, chyba że to sprawy wyjątkowe, które regulują osobne przepisy. Wolno ci rozmawiać z jej rodzicami, ale nie wolno do tego celu używać przywilejów nadanych przez tę agencję. Jeśli wyciągniesz jakąkolwiek legitymację...

– Wiem, wiem – przytaknęła dziewczyna. – Mogę się odmeldować?

– Ultra...

– Tak?

– Weź kilka dni wolnego. Zwolnię cię z ćwiczeń. Chcę, żebyś była wypoczęta, kiedy przyjdzie czas.

– Ale ja się świetnie czuję...

– To rozkaz! – przerwał jej surowo pułkownik.

– Kiedy mam się zameldować?

– Skontaktujemy się z tobą. Oczywiście melduj, gdyby Lechowicz się do ciebie zgłosił.

– Nie zgłosi się, jest zbyt dumny.

– Jasne – westchnął z przekąsem Krentz. – Na wszelki wypadek, gdyby rzeczywistość okazała się jednak nie tak oczywista, jak myślimy, bądź przygotowana. Wie, gdzie mieszkasz?

– Nie chcę, żeby wiedział.

– Hm – mruknął pod nosem, jakby zastanawiał się nad czymś. – Ale tak czy owak, bądź czujna.

Ryszard Snopczyk wyszedł z sali sądowej i ciężko opadł na ławkę. Spod okna po przeciwległej stronie korytarza zdecydowanie niedomyty jegomość przyglądał mu się kaprawym wzrokiem, mlaskając oblesnie od czasu do czasu. Być może dodawał sobie w ten sposób odwagi, bo wyglądało na to, że jego sprawa jest trudna i będzie musiał wykrzesać z siebie cały swój, niestety w dużej części zagubiony na dnie butelek, intelekt. Wreszcie nie wytrzymał napięcia i beknął donośnie. Wyraźnie go to wyluzowało, bo nawet zdecydował się zaprezentować Snopczykowi część ciemnowych, a co najgorsze, w znacznej mierze wybrakowanych zębów.

– Ciężko jest? – zbulgotał, otwierając nieco szerzej oczy.

– A widzisz, żeby komuś tu było lekko? – burknął niechętnie Snopczyk.

– Wiem, jak jest, gościu. Wszystko to te liberały narobiły. Nawet ta pizda kartkie za nich wrzuciła.

– Nie klnij tu, człowieku – mruknął Snopczyk.

– A coś ty taki porządny, gościu. Z mendowni cię wypluli czy coś?

– Raczej – „czy coś”.

– Co?

– Nic, daj mi spokój, człowieku.

Chwilę istniała szansa, że jegomość przynajmniej przez pewien czas będzie milczał, ale nadzieja znikła już po minucie.

– Moja też mnie zadencjon... zadencjon... no wpierdoliła mnie w kłopoty. – Snopczyk milczał. Ukrył twarz w dłoniach i zbierał myśli. – Delikatna się, w dupę mać, zrobiła – kontynuował jego towarzysz z naprzeciwka. – Przecie nie lałem jej siekierą czy pogrzebaczem! Po bożemu tylko, ręką ukarałem. No jak pyskowała, to wkurwiłem się jak każdy i piąchą jebnąłem, ale się głową o ścianę walić nie musiała, pizda jedna.

– Zamknij się – mruknął zniecierpliwiony Snopczyk.

– A bo co? – jegomość rozejrzył się po korytarzu i wstał z ławki.

– Chcesz nowych kłopotów?

– Mówię po dobroci, a ty mi tu...

– Zamknij się i siadaj.

Obleśniak wyraźnie łatwo wpadał w złość.

– Sąd nie sąd, jak zara wypalę ci w mordę, to będziesz inaczej gadał! Obrońca parchów i kurw!

Snopczyk również rozejrzył się uważnie po korytarzu. Byli sami. Na pewno nie był w humorze sprzyjającym takiej konwersacji.

– Jakich parchów? Jakich kurw? Wytrzeźwiej, idioto, i siadaj! Nie wiesz, o czym mówisz.

– Jak będę chciał! – krzyknął tak, że chyba mogło być to słyszane nawet za ścianą w salach sądowych. – Wypalę ci w ryj, gościu, i nie będziesz mi tu pyskował!

Snopczyk miał już go dość. Zanim obleśniak zdążył się zorientować, wymierzył mu silny cios górną częścią stopy między nogi. Najwyraźniej trafił idealnie, bo jegomość zawył jak zarzynane zwierzę, zatoczył się i runął na swoją ławkę, jęcząc, jakby go obdzierali ze skóry. Chwilę później uchyliły się drzwi sali sądowej po jego stronie. Wyrzała z nich młoda kobieta w czarnym stroju.

– Pan Pachała Stefan! – zawołała. – To pan? – dodała ciszej, patrząc na podkomisarza.

– Nie, ja mam sprawę w innej sali. To chyba ten pan – Snopczyk wskazał wijącego się jak dżdżownica na ławce obleśniaka.

– Co mu jest?! – spytała zaniepokojona kobieta.

– Chyba bardzo przeżywa rozstanie z żoną. Opowiadał mi o tym.

Kobieta podeszła do Pachały, ale Snopczyk nie zwracał już na to uwagi, bo z zakrętu korytarza wytoczyła się korpulentna postać... Rudolfa Williamsa. Szedł prosto do niego, wymachując dziwnie rękami.

Podkomisarz szybko podbiegł do niego.

– Co ty tu robisz, do cholery?! – syknął zezłoszczony.

– Wiedziałem, że tu będziesz – odparł rzeczowo Rudi. – I jesteś – dodał zadowolony.

– Oczywiście, że jestem, przecież to moja sprawa rozwodowa, ale co ty tu robisz?!

– Co mu jest? – spytał Williams, wskazując ławkę, przy której już kilka osób usiłowało jakoś pomóc zwijającemu się z bólu mężczyźnie.

– Jakiś atak czy coś... nie wiem. Co ty tu robisz? – spytał ponownie podkomisarz.

– Nie mogę sobie dać sam rady.

– Z czym?

– Krentz dzwonił.

– Czego chciał?

– Zrobili genetyczne badania porównawcze krwi z tego gwoździa z mieszkania Rosensafta.

Snopczyk złapał za ramię Williamsa i pociągnął za sobą. Kiedy byli za rogiem korytarza, rozejrzał się dookoła, czy nie ma nikogo w pobliżu, i wpił wzrok w Rudiego.

– No i co?

– Ten rozbój u Wietnamczyka, to wiesz?

– To już mieli dwa dni temu. Krew należała do dwóch oszołomów z tego KPPP.

– A krew z gwoździa?

– Jeśli nie kantują nas to... to nie ma sensu.

– Dlaczego?

– To nielogiczne, nic mi się tu nie zgadza.

– Czasem tak jest, Rudi. Psychologia to nie jest nauka o wszystkim. Czyja to krew?

– To oni mordują.

– Ci z KPPP?

– Tak. Jeśli badania były dobrze zrobione, to nie ma wątpliwości.

Williams podszedł do najbliższej ławki i usiadł ciężko.

– Cała robota na nic – jęknął.

– Nie cała robota na nic, tylko mamy nowe materiały, które wzbogacą twoją rozległą, kurwa, wiedzę.

– Posłuchaj, Rysiek – Rudi szukał w myślach jak najbardziej odpowiedniego sformułowania. – Nie da się tak podrobić ludzkich zachowań aberracyjnych, racjonalizacyjnych czy zakrzywień internalizacyjnych...

– Mów po ludzku.

Rudi machnął ręką, zniecierpliwiony.

– To nie film amerykański, gdzie koleś zabija pięćdziesiąt osób, a pan psycholog mówi – to schizofrenia. Albo – to psychopata i koniec tej szalenie dogłębnej analizy osobowościowej. Człowiek składa się z bardzo wielu cholernie skomplikowanych grup cech osobowościowych. Nabytych, wrodzonych, wypracowanych, zakrzywionych...

– No dobrze, dobrze... – przerwał Snopczyk. – Nie wierzysz w to, co nam mówią?

Williams westchnął głęboko.

– Nie mam innego wyjścia. Krentz po telefonie przesłał mi próbki. Wszystko się zgadza.

– A więc zdarzył się wyjątek. Pomyliłeś się i trudno. Jesteś świetnym psychologiem, ale czasem się tak zdarza. Zdarzały się już dziwniejsze rzeczy. Słynny rosyjski morderca dzieci z lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku Andriej Czekatiłło miał inną grupę krwi w nasieniu, a inną w żyłach i tętnicach. Gdyby był normalny jak reszta ludzi, złapano by go trzy lata wcześniej. A pamiętasz sprawę „Śpiewaka”? Głos ludzki ma ponad dwieście niepowtarzalnych cech, z których sfalszować można trzydzieści. Z badań jesteśmy w stanie wywnioskować prawie wszystko o wykształceniu, chorobach, inteligencji, o tysiącach rzeczy. A on nas zrobił!

– Wiem, pisałem o nim w doktoracie.

– No właśnie. Za dwie godziny będę w pracy. Skontaktujemy się z Krentzem i ruszamy z miejsca. Nie wymkną nam się. I nie bądź taki smutny. To ty, do cholery, powinienesz mnie pocieszać, w końcu to ja się rozwodzę.

– Przepraszam, mam mętlik w głowie.

– Muszę wracać – Snopczyk zaczął iść w stronę drzwi sali sądowej. – Aha! – zatrzymał się na chwilę. – Znam gnoja, którego krew jest na gwoździu?

– Może czytałeś w aktach. Nazywa się Kamil Lechowicz, to jeden z nich. Nie było go u Wietnamczyka.

– Chyba pamiętam. Ludzie Krentza uważali go za przywódcę młodzieżówki. Skąd mieli

próbkę?

– Jakaś ich agentka zdobyła parę kropel jego krwi.

– Kobiety... – podkomisarzowi udało się nawet uśmiechnąć. – Niebezpieczne istoty. Zawsze trzeba trzymać rękę na pulsie.

Zanim Ultra nacisnęła dzwonek przy bramie, obeszła ostrożnie dom dookoła. Teren wokół posesji miał co najmniej hektar. Ogród wypełniała starannie przystrzyżona trawa, kilka rozrzuconych po całym terenie klombów z kwiatami, kilkanaście karłowatych drzew i jałowce rozsiane wzdłuż muru. Pośrodku stała duża, okazała, trzypiętrowa willa. Z tego, co można było dojrzeć zza muru, który mierzył przynajmniej półtora metra, dom miał kilka balkonów, trzy albo cztery poziomy dachu i czarne wykończenia okien, dachu, narożnych części ścian oraz balustrad. Na terenie agentka dostrzegła dwa dobermany, spokojnie się jej przyglądające, ale czujne, co było dość typowe, oraz czarnego jamnika, którego z kolei kompletnie nowy gość nie obchodził i który już ze schematu się lekko wyłamywał. Leżał abnegacko pod jednym z jałowców, wygrzewając się na słońcu i jak łatwo się domyślić – trawił śniadanie. Od strony bramy na parterze był duży taras, gdzie stał leżak i mały stolik z napojami. Nikt z domowników jednak nie przebywał na zewnątrz, choć wszystko wskazywało na to, że ktoś jest w środku. Uderzała sterylność niemal czystości i porządek. Ultra jeszcze raz spojrzała z niedowierzaniem na kartkę z adresem i porównała z numerem wypisanym na tabliczce przywierconej tuż obok bramy.

– No, Wika – mruknęła do siebie dziewczyna. – Jeśli tu rzeczywiście mieszkają twoi starzy, to od jutra płacisz cały czynsz.

Wczoraj, pod nieobecność przyjaciółki, Ultra, łamiąc wszelkie zwyczaje, którym do tej pory hołdowała, weszła do jej pokoju. Wyrzuty sumienia zdusiła już kilka godzin wcześniej, tłumacząc sobie, że działa w dobrej wierze i ze szlachetnych pobudek. Szczęście jej dopisywało. Indeks Wiki leżał na biurku wśród weterynaryjnych książek, a w nim legitymacja studencka, której nie wiedzieć czemu prawie nigdy nie zabierała. Ultra wszystkie swoje legitymacje zawsze nosiła przy sobie i nawet do głowy jej nie wpadło, aby mogła którąkolwiek z nich zostawić w domu. Dotyczyło to nawet karty bibliotecznej.

– Mam nadzieję, że nie zabijesz mnie kiedyś za to, co robię – dodała sobie animuszu agentka i nacisnęła dzwonek. Po dłuższej chwili odpowiedział jej kobiecy głos.

– Tak, słucham panią? – kobieta mówiła dość wyniosłym tonem, ale uprzejmie.

– Dzień dobry, szukam pani... Skotnickiej.

Korzystając z krótkiej ciszy, agentka znalazła w bramie ledwo widoczną minikamerę.

– Proszę poczekać – usłyszała po chwali ten sam głos.

Jakiś mężczyzna wyszedł na zewnątrz, zawołał dobermany, po czym wraz z psami zniknął gdzieś z tyłu domu. Jamnik oczywiście ani drgnął. Furtka obok bramy cicho jęknęła i otworzyła się samoczynnie. Na tarasie pojawiła się starannie uczesana w kok pięćdziesięciolatka w prostej, ale gustownej, ciemnoniebieskiej sukni. Poczekała, aż Ultra się

do niej zbliży, i wyciągnęła rękę na powitanie.

– Aldona Skotnicka, czym mogę służyć? – W ruchach i sposobie mówienia miała coś z arystokratycznego dystansu, ale jednocześnie nie sprawiała wrażenia sztucznej. Kobieta była pewna siebie i dystygowana.

– Nazywam się Emilia... – Ultra zaczęła, czując się niezręcznie. – Przepraszam... szukam mamy Wiki... nie wiem, czy...

– Hm – pani Aldona uśmiechnęła się przyjaźnie. – Domyślam się, kim pani jest. Wynajmuje pani wspólne mieszkanie z Wiką.

– Tak – Ultra odetchnęła z ulgą. – Ja...

– Proszę usiąść – zachęciła gospodyni, widząc, jak mężczyzna od psów wnosi krzesło i stawia przy stoliku. – Czy z Wiką wszystko w porządku?

– Tak, jak najbardziej – agentka poczuła się już pewniej. – Ale jeśli nie sprawiłoby to pani kłopotu, chciałabym porozmawiać o pani córce.

– Wika nie jest moją córką – pani Aldona usiadła na leżaku. – Poproszę o lampkę koniaku – zwróciła się do mężczyzny, który wyraźnie czekał na jakieś polecenie. – Napije się pani czegoś, pani Emilio?

– Nie, nie. Dziękuję.

– A więc jeden kieliszek. – Mężczyzna zniknął za błyszczącymi od popołudniowego słońca szklanymi drzwiami.

– Wika opowiadała mi o pani – przyznała Skotnicka. – Uważa panią za najlepszą, a nawet chyba jedyną przyjaciółkę.

– Jesteśmy sobie dość bliskie.

– To dobrze. – Gospodyni przymrużyła oczy, jakby się nad czymś zastanawiała. – Trudno zdobyć jej zaufanie.

– Wika nie wie, że tu jestem – zaczęła odważnie Ultra.

– Dziękuję za szczerość, postaram się ją odwzajemnić. – Pani Aldona odebrała kieliszek od mężczyzny, który przed sekundą wszedł z powrotem na taras, by zaraz znowu zniknąć.

– Wika... ma kłopoty z depresją. Próbuję jej pomóc.

Gospodyni uśmiechnęła się przyjaźnie.

– Widzę, że życie nie wyleczyło jeszcze pani z optymizmu.

– Nie rozumiem – zmieszała się Ultra.

– Idealizm to chwilowy luksus, na który mogą pozwolić sobie młodzi ludzie. Niestety, z czasem mija. Wcześniej, później, ale mija zawsze.

– Depresja to choroba jak każda inna. Można jej skutecznie przeciwdziałać – podjęła agentka. – Trzeba tylko jak najwięcej wiedzieć o osobie, której to dotyczy.

Uśmiech nie zniknął z twarzy pani Aldony, ale przez dłuższą chwilę nic nie mówiła. Wyraźnie się zastanawiała. Wreszcie delikatnie zakołysała kieliszkiem i wolno wyrecytowała:

– Rozumiem. Wiem, kim pani jest, i wiem, ile pani znaczy dla Wiki, dlatego

porozmawiam z panią, jeśli uważa pani, że to pomoże. Proszę jednak to, co pani usłyszy, zachować dla siebie.

– Oczywiście.

– Wika jest córką mojej siostry, ale ja ją wychowałam. Jej ojciec odszedł, kiedy miała cztery lata. Wiem, że nie mówiła pani tego. Znam ją.

– Tylko wspominała o ojcu.

– To i tak dużo. Henryk nigdy nie ożenił się z moją siostrą. Zresztą od początku ich związek nie miał sensu. Mówiłam jej to wielokrotnie, ale oczywiście nie słuchała. Henryk był ubogim, choć przynajmniej na początku pełnym zapału artystą. Trzeba jednak przyznać, że przy tym dość dumnym – pani Aldona powiedziała to z przekąsem, a Ultra po raz pierwszy na jej twarzy dostrzegła delikatną, ale jednak złośliwość.

Agentka poprawiła się na krześle. Nie wiedziała właściwie, jak się zachować. Wszystko, co mówiła ta kobieta, mogło się przydać i być w przyszłości ważne, mimo to jednak jakoś było jej wstyd.

– Był muzykiem. Pisał piosenki, muzykę filmową, stworzył nawet koncert fortepianowy. Wszystko to robił z wielkim zapałem, pietyzmem, mrówczą pracowitością. Miał to w sobie. Nie miał, niestety, w najmniejszym nawet stopniu choćby odrobiny... talentu.

Pani Aldona umoczyła delikatnie usta w koniaku.

– Moja siostra malowała. Również była kompletnym beztalenciem. I tak dwójka nieudaczných artystów spłodziła Wikę...

Kobieta roześmiała się gorzko i spuściła głowę, milcząc przez kilkanaście sekund.

– Moi rodzice mimo to zawsze bardziej ją kochali. Byłam brzydsza, z mniejszym wdziękiem, za to twardo stąpałam po ziemi i umiałam liczyć. Skończyłam ekonomię. – Gospodyni pociągnęła głębszy łyk z kieliszka. – Nasza rodzina od ponad trzystu lat mieszka tu, pod Tomaszowem. Chociaż ten dom ma niecałe czterdzieści. Odnowiłam go niedawno. Podoba się pani?

– Bardzo – odparła szybko Ultra.

– Katarzyna, moja siostra, nie skończyła nawet pierwszego roku studiów – pani Aldona pokręciła z zażenowaniem głową.

– A Wika? – spytała delikatnie Ultra, uważając, aby rozmowa nie zeszła na nieodpowiednie tory.

– Wika... – pani Aldona przymrużyła tajemniczo oczy. – Pewnie nie będzie to dla pani niespodzianką, ale od początku wszystkich przerastała. Nauczyła się czytać w wieku czterech lat. Zanim poszła do szkoły, była już po lekturze Baudelaire'a, Gautiera, Rimbauda, Thomasa, Blake'a, no i oczywiście jej ukochanej do dzisiaj Sylwii Plath. Mickiewicza miała w małym palcu, mimo że ją nudził. W latach szkolnych przerobiła dogłębnie romantyków, modernistów, dekadentów, współczesnych, ale z całej plejady naszych poetów potrafiła docenić chyba tylko... Norwida, może Baczyńskiego i trochę księdza Twardowskiego. Kiedy

miała dziewięć lat, twórczość Poświatowskiej nazwała pretensjonalną, a wiersze Miłosa określiła jako oszustwo. Uważała, że Chopin był największym geniuszem wszech czasów, a Beethoven największym pajacem. Pod koniec szkoły podstawowej dostała od mojej przyjaciółki *Kaskaderów literatury*. Dwa dni później wrzuciła książkę do pieca, mówiąc, że nie będzie traciła czasu na tchórzy. Nie rozmawiała z panią nigdy na temat sztuki?

– Rozmawiała. Często daje mi do czytania swoje wiersze.

– A tak. Są ciekawe. Nie rozumiem ich, ale chyba są ciekawe. Niech pani uważa – kobieta znowu się uśmiechnęła, ale tym razem dość smutno. – Zakochał się w niej kiedyś pewien chłopak z sąsiedztwa. Miała szesnaście lat. Już wtedy była piękna. Poprosiłam, aby zaprosiła go na obiad. Kiedy podczas jedzenia oświadczył, że wyda jej wiersze, złapała srebrny widelec do ryb i wbiła mu w dłoń tak mocno, że niemal przybiła go do stołu. Była z tego straszna afera.

– Wika?! – Ultra była zszokowana zarówno samym incydentem, jak i szczerością gospodyni.

– Już wtedy to się zaczęło. Udało mi się sprawę wyciszyć. Sporo to kosztowało, ale rozeszło się po kościach. Miała różne wyskoki, ale tego już było za wiele. Wtedy obiecała, że to się nigdy nie powtórzy. I dotrzymała słowa.

Pani Aldona przerwała, aby uważnie przyjrzeć się gościowi. Jej spojrzenie stało się dociekliwe, a nawet krępujące.

– Mówiła pani, że już wtedy to się zaczęło – przypomniała Ultra.

– Jej depresja. Miała stany lękowe, były dni, że nie wstawała z łóżka. Kilka razy zdemolowała w ataku złości swój pokój. Ale dopóki siebie ani nikogo nie krzywdziła, tolerowałam to. Byliśmy z nią u najlepszych psychiatrów i muszę pani powiedzieć, że dało to pewien efekt.

Pani Aldona znowu pociągnęła łyk koniaku.

– W szkole średniej zaczęła się fascynować dzikimi afrykańskimi kotami. Myślę, że teraz jej wiedza na ten temat przerasta poziom niejednego specjalisty.

– Tak, wiem – uśmiechnęła się Ultra. – Kupuję jej wszystkie nowe wydawnictwa.

– To bardzo jej pomogło. Wyglądało na to, że choroba ustępuje. Kiedy wyjeżdżała na studia, była w świetnej formie. Ale gdy odwiedziła mnie tu kilka miesięcy temu, przyznała się, że kłopoty wróciły. Dlatego nie zaskakuje mnie to, co pani mówi.

Ultra ciężko westchnęła. Obserwowała tę dystygowaną kobietę, która ze swobodą opowiadała o sekretach swojej rodziny, jakby rozmawiały o polityce lub pogodzie. Nie ulegało wątpliwości, że ona sama chyba nie potrafiłaby zdobyć się na taką szczerość wobec właściwie obcej osoby. Słuchała jednak z przejęciem, mimo że, jak sądziła, opowieści pani Aldony są z pewnością ubarwione niejednym ukrytym ozdobnikiem.

– Wika... ma jakiś kontakt z rodzicami? – spytała agentka.

– Henryk któregoś dnia po prostu spakował swoje rzeczy i wyjechał. Nie potrafił się w

tym wszystkim znaleźć, nie rozmawiał z Katarzyną już od wielu miesięcy. Pożegnał się wyłącznie z córką. Napisał do nas chyba tylko raz, z Francji. Nie wiem, skąd miał pieniądze. Stąd nie wziął ani grosza. Ukryłam list przed Wiką. Zdawało się, że jego wyjazd nie zrobił na niej większego wrażenia, ale ja wiem, że było inaczej.

Pani Aldona wstała i przeszła się po tarasie.

– Na pewno niczego się pani nie napije?

– Nie, dziękuję – powtórzyła Ultra.

– Nie wiem, jak to się stało, ale dość szybko to ja zaczęłam się zajmować Wiką – ciągnęła gospodyni. – Henryk od początku nie nadawał się do tego, aby być ojcem, a Katarzyna nawet nie próbowała mi w tym przeszkadzać. Po jego odejściu coraz częściej wyjeżdżała, wreszcie została za granicą. Podobno wyszła za męża. Nigdy między nami nie było specjalnej zażyłości, ale od tego czasu w ogóle nie utrzymujemy kontaktów.

Ultra wolała darować sobie ten fragment opowieści, lecz pani Aldona ciągnęła dalej:

– Ta egoistka zajęta własnym „niedocenionym talentem” miała genialne dziecko, które potrzebowało pomocy, a ona nie wiedziała nawet, do której chodzi szkoły. Szkoda słów.

– Czy nikt nigdy... – Ultrze udało się przerwać wreszcie drażliwy temat – nie zainteresował się Wiką? Była wybitnie zdolna, takie dzieci posyła się chyba do specjalnych szkół?

– W amerykańskich filmach, drogie dziecko – odparła gorzko pani Aldona. – A my urodziliśmy się w Polsce, czyli nigdzie. – Machnęła ze zrezygnowaniem ręką. – Był tu jakiś mężczyzna z Krakowa. Pozachwycał się nią, naobiecował i pojechał. Nigdy więcej się nie pokazał. Była pewna pani z Warszawy, podobno specjalistka od dzieci wybitnie zdolnych, ale ona z kolei powiedziała, że zajmuje się dziećmi, które wykazują szczególne predyspozycje do matematyki, a Wika interesowała się przede wszystkim literaturą i sztuką.

– A pani? – spytała nagle Ultra.

– Ja?

– Tak. Jakie są wasze stosunki? Przepraszam, że o to pytam, ale nigdy... nie wspominała mi o pani...

– Proszę się nie wstydzić – ponowny smutny uśmiech pani Aldony zwiastował kolejną przykrą wiadomość. – Właściwie traktuje mnie dobrze, ale nie uważa za swoją matkę. Jak to kiedyś powiedziała... jestem administratorem jej życia. No więc co mi zostało? Staram się administrować jak najlepiej. Tyle tylko że ona niewiele ode mnie chce. Mogłaby swobodnie wynająć dom w Warszawie, a jednak woli mieszkać w pięćdziesięciometrowym mieszkaniu z panią. Mogłaby studiować za granicą w najlepszych uczelniach, ale studiuje w SGGW na Ursynowie. Mogłaby spędzać wakacje w Hiszpanii albo na Filipinach, ale nigdy nie poprosiła o pieniądze. Tyle że czasem tutaj przyjeżdża.

Pani Aldona wypła koniak do dna.

– Nie pomoże jej pani – westchnęła ciężko. – Jest na to zbyt inteligentna.

Dopiero teraz Ultra zorientowała się, że z pewnością nie był to jej pierwszy dzisiaj kieliszek.

– Cały ten świat nudzi ją – ciągnęła gorzko pani Aldona. – Jest samotna. Zastanawiała się pani, dlaczego zamiast studiować jakąkolwiek literaturę, sztukę, filologię, wybrała weterynarię?

– Lubi zwierzęta. Kocha koty...

– A pani nie lubi?

– Nie aż tak. – Ultra z pewnością nie chciała, aby ich rozmowa zamieniła się w seans terapeutyczny z cyklu „pomóżmy anonimowym alkoholikom”.

– Nic pani o niej nie wie. – Kobieta zdążyła już odebrać od faceta od psów kolejny kieliszek koniaku.

– Dlatego tu przyjechałam. – Agentka stwierdziła, że pora już się zbierać. – Dziękuję, że zgodziła się pani ze mną porozmawiać. Sporo się dowiedziałam.

Ultra wstała.

– Myli się pani. – Tym razem gospodyni, nie dbając o konwenanse, wypła od razu kieliszek do dna. – Tak naprawdę nawet nie zaczęłam jeszcze opowiadać tego, co najważniejsze. – Prychnęła śmiechem. – Niech pani jeszcze kiedyś przyjedzie.

– Spróbuję. – Ultra nie chciała tu dłużej siedzieć. Niezależnie od tego, co mogłaby jeszcze usłyszeć, miała dość tej rozmowy. – Jeszcze raz dziękuję.

Podążyła gospodyni rękę na pożegnanie i wolno zeszła ze schodów tarasu.

– Opowieść o widelcu robi wrażenie, co?! – dogonił ją wyraźnie już nietrzeźwy głos ciotki Wiki.

– Wszystko, co pani mówiła, robi wrażenie – odparła Ultra i szybko odeszła w stronę bramy.

Czasem tak jest, że podczas prowadzenia samochodu kierowca popada w rodzaj letargu, pozwalającego na normalną jazdę, ale jak to niektórzy nazywają – „bez świadomości”. Człowiek prowadzi pojazd, normalnie reaguje na to, co dzieje się na jezdni, ale później nie pamięta, co i w jaki sposób za kierownicą robił. To wbrew pozorom częste zjawisko, szczególnie u kierowców z dużym stażem, którzy czują się pewnie w samochodzie, zwykle poruszając się dobrze znaną trasą. W rzeczywistości umysł pracuje wtedy prawidłowo i w pełni świadomie, pozwala jednak swojemu właścicielowi na inne, zupełnie niezwiązane z jazdą myśli. W taki właśnie sposób Ultra dojechała bez przeszkód do Warszawy. Dochodziła dziewiąta wieczór i agentka bardzo już chciała odpocząć. Wika wyjechała na trzy dni w góry, będzie więc czas przemyśleć to, co usłyszała w Tomaszowie od jej ciotki, niezależnie od tego, ile w tym było prawdy, a ile chęci zwrócenia na siebie uwagi przez bogatą, samotną, nieszczęśliwą kobietę. Ultra ciekawa była, czy pani Aldona kiedykolwiek wyszła za mąż i jak się to ewentualne małżeństwo skończyło, bo że teraz rolę jedynej jej towarzysza grał facet

od upijania gospodyni koniakiem, była niemal pewna. Kobiety w tym wieku nigdy nie pomijają w rozmowach obecności swojego męża, korzystając z najmniejszej okazji, aby o nim wspomnieć, ale zawsze unikają tego tematu, jeśli coś jest nie tak. Starannie uczesany i elegancko ubrany czterdziestolatek, będący skrzyżowaniem dozorczy i barmana, nie wyglądał na towarzysza życia gospodyni, a w żadnym momencie Ultrze nie udało się dostrzec w jego oczach choćby cienia jakiegokolwiek troski. W umyśle agentki kiełkowała nieznośna myśl, że wyjazd do Tomaszowa był błędem. Oby tylko Wika się nie dowiedziała.

Po zaparkowaniu przed domem, Ultra sięgnęła po telefon. Postać, która pojawiła się jak spod ziemi i zastukała w szybę, wystraszyła dziewczynę. Odwróciła się raptownie i ujrzała, że obok samochodu stoi Kamil Lechowicz i przygląda się jej z nieprzyjemnie zaciśniętymi zębami.

Ukryła zaskoczenie, udając bardziej zmęczoną, niż w rzeczywistości była.

– Co się stało, Kamil? Właśnie chciałam do ciebie zadzwonić – gładko skłamała, wychodząc z wozu.

– Oczywiście – nie krył ironii Lechowicz. – Wpadłem, aby cię zaprosić na pewną uroczystość.

– Skąd wiedziałeś, gdzie mieszkam? – musiała zadać to pytanie, bo cała sytuacja już na pierwszy rzut oka nie wróżyła niczego dobrego.

– Wika mi powiedziała – odparł bez żenady. – Jeszcze u nas w dworku.

– Ukrywałeś to przede mną, cwaniaku – Ultra próbowała nadać rozmowie ton niewinnej pogawędki.

Lechowicz nie zmienił jednak wyrazu twarzy. Wpił w dziewczynę ostry wzrok, w którym, jak oceniła, było coś mocno niepokojącego. Stał jak desperat, gotowy na wszystko, i to chyba zdecydowało, że Ultra musiała pogodzić się z tym, że właśnie wraca z krótkiego urlopu do pracy.

– Co to za impreza? – spytała na wszelki wypadek.

– Niespodzianka. Spodoba ci się.

– Kiedy?

– Zaraz.

– Trochę to zaskakujące, Kamil.

– Przecież lubisz mocne życie. Może choć teraz będę w stanie ci jakoś zaimponować – odparł gorzko.

Ultra nie miała zamiaru się kłócić.

– Zawsze mi imponowałeś, przestań się wygłupiać.

– Zdecydowanie przestałem się wygłupiać. Mam propozycję: pojedziemy na tę imprezę i może tam dojdziemy ostatecznie do wniosku, jaka będzie nasza przyszłość.

– Brzmi poważnie. – Ultra uśmiechnęła się niewyraźnie, ale twarz Lechowicza pozostała chłodna i nieprzystępna.

To ostatecznie upewniło dziewczynę w postanowieniu, że pojedzie z Kamilem.

– Dobrze. Mam nadzieję, że po drodze polepszy ci się humor.

– Mam świetny humor – mruknął chłodno.

– Wsiadaj – Ultra otworzyła ponownie drzwi swojego auta i wskoczyła do środka.

– Pojedźmy moim – Lechowicz wskazał opła stojącego po drugiej stronie jezdni.

– To nie jest twój samochód – zauważyła.

– Mój jest w naprawie. Ten pożyczyłem od kolegi.

– Z partii? – upewniła się agentka.

– Tak.

– Domyślam się, że to partyjna uroczystość?

Kamil przez chwilę milczał, zastanawiając się, co ma powiedzieć.

– Tak. To partyjna uroczystość.

– Dobrze – odparła, udając obojętność. – Idź tam i poczekaj na mnie. Muszę wziąć kilka rzeczy z samochodu.

Lechowicz posłusznie przeszedł na drugą stronę ulicy i wsiadł do wozu. Ultra dyskretnie wyjęła ze schowka broń i schowała w kaburze pod nogawką spodni.

– Boże drogi, Kamil... Oby to nie była prawda – jęknęła błagalnie.

ROZDZIAŁ 10

Kamil dojechał do Wisłostrady i skręcił w lewo, w kierunku Gdańska.

– Powiesz mi przynajmniej, dokąd jedziemy? – spytała Ultra.

– Mówiłem, że to niespodzianka – odparł, nie odwracając się od przedniej szyby. – Nie bój się. Jesteś ze mną.

Nie masz pojęcia, idioto, czego się naprawdę boję – pomyślała z rzeczywistym niepokojem. Uznała jednak, że musi zyskać przewagę. Nie chciała, aby coś, czego się nie spodziewa, doprowadziło do jakichkolwiek błędów.

– Dość tego, Kamil – powiedziała cicho, ale zdecydowanie. – Zapada noc, a ty wiesz mnie w kierunku lasu. Jak wiesz, lubię eksperymenty, ale to już trochę za nowatorskie, nawet jak na mój gust.

Dostrzegła na jego twarzy lekkie wahanie.

– Po prostu mi zaufaj – odparł, ale znacznie już mniej pewnym głosem.

– Albo mówisz, gdzie i po co jedziemy, albo wysiadam! Lechowicz zaczął nerwowo pocierać lewą ręką o kierownicę.

– Jak się skaleczyłeś? – spytała tonem bardziej przypominającym przesłuchanie niż wpływającym z troski i wskazała niewielki plaster na jego środkowym palcu.

– Nożem do lodu, ostry był cholernie. Robiłem sobie drinka. To już kilka dni temu, tylko nie zauważyłaś, bo nie nosiłem plastra, ale zaczęło mi się paćkać. To niewielka rana, tyle że dość głęboka, zachlapałem cały bufet...

– Dokąd jedziemy? – przerwała agentka, nie dając mu rozwinąć opowieści, która zepchnęłaby rozmowę na inne tory.

– Kocham cię, Emilia. Ponad wszystko – powiedział cicho.

– Wiem, Kamil. Dokąd jedziemy?

– Już dojeżdżamy. Chcę, abys... – zawahał się. Przetarł lewą dłońią oczy i przyśpieszył.

– Co chcesz, „abym”? – nie rezygnowała Ultra.

– Chcę, abys wiedziała. Nie chcę mieć przed tobą tajemnic. Wiem, że zrozumiesz. Przecież tak naprawdę wiele nas łączy: poglądy, zainteresowania, temperament... – Lechowicz wziął głęboki oddech.

– Cokolwiek chciałeś mi powiedzieć, mogłeś to zrobić w domu. – Agentka poczuła, jak

drętwieją jej opuszki palców.

– Nie mogę. Sama zobaczysz. Walczę o ważną rzecz, a tego nie robi się w domu. – Kamil zaczął hamować i włączył kierunkowskaz.

– Skręcamy tu? – spytała Ultra.

– Tak.

– Tu jest Puszcza Kampinoska. Jedziemy tam? W nocy?!

– Tak – odparł spokojnie.

Lechowicz skręcił w wąską drogę i zaczął powoli zbliżać się do ściany lasu.

– Pamiętasz, ile rozmawialiśmy o Polsce? – spytał po chwili. – Pamiętasz, co pisałeś w swoim artykule? Nasi politycy są nieskuteczni, nie potrafią wprowadzać myśli w czyn. Nie ma w nich zdecydowania, pokory w stosunku do historii. Nie mają wiedzy i są niekompetentni.

– Co ma z tym wspólnego nocna wycieczka do lasu?!

– Polityka, Emilia, to nie tylko warcholstwo w sejmie czy puste gadanie w telewizji. Polityka to ludzie. Ich ideały, dążenia, marzenia. Albo o tym tylko rozmawiamy, albo działamy. Pamiętasz, jak mówiłem, że są w narodzie ci, którzy muszą troszczyć się o bezpieczeństwo tych, nieumiejących się obronić?

– Oczywiście, że pamiętam, Kamil. Ale każdą, nawet najbardziej szlachetną, ideę można wypaczyć błędną interpretacją. Wychodząc ze słusznych pobudek, możemy dojść do fatalnych wniosków.

– Ulegasz propagandzie tchórzy – podjął Lechowicz. – Ale rozumiem cię. Na tym polega choroba tego kraju. My to zmienimy.

Ultra z trudem starała się uspokoić oddech. Już na całej długości rąk czuła coraz silniejsze mrowienie. Nie zareagowała nawet na pierwsze dwa sygnały swojego telefonu komórkowego.

– Jak dojedziemy, wyłącz komórkę – poprosił spokojnie Kamil.

– Dobrze – odparła niemal automatycznie. Przygotowywała się. Pozostała jeszcze niewielka nadzieja, że to tylko histeria odrzuconego mężczyzny, ale rzeczywiście niewielka. Położyła swobodnie ręce na udach, zamknęła na chwilę oczy i kilka sekund poświęciła na skupienie. Przeleciało jej nawet przez głowę, żeby już teraz wyłączyć telefon i nie odebrać połączenia, ale zrezygnowała z tego. Da sobie radę.

– Tak, słucham – powiedziała do słuchawki niemal pogodnie.

– Tu Krentz – usłyszała odpowiedź.

– Nie mogę teraz rozmawiać – Ultra przybrała beztroski ton.

– Czy on jest tam z tobą? – spytał tak cicho pułkownik, że nawet ona ledwo słyszała.

– Tak, Gosiu, ale jadę na pewną imprezę i nie mogę gadać. Może jutro?

– Uśmiechaj się dalej i słuchaj – kontynuował Krentz.

– Gośka! – Ultra niemal prychnęła śmiechem. – Przestań się nim wreszcie przejmować. Faceci po prostu już tacy są. Jak wpadnę do ciebie, to pogadamy.

Ultra zasłoniła słuchawkę.

– To koleżanka ze studiów – rzuciła do Kamila.

– Spław ją – mruknął.

– Już, za chwilę.

Ultra ponownie wzięła głęboki oddech.

– No jestem – powiedziała do słuchawki.

– Szukamy go od kilku godzin.

– Dlaczego? – spytała, jakby wciąż była rozbawiona.

– Przygotuj się, Ultra. Nie rób gwałtownych ruchów, nie dziw się i dalej się uśmiechaj. Mamy wyniki badań. U Tran Van Khaya nie znaleźliśmy jego śladów, ale u Rosensafta była jego krew. Ponad wszelką wątpliwość. Skaleczył się, uciekając, o wystający gwóźdź.

– I co ja mam teraz z tym zrobić? – spytała wesołym tonem. Las za przednią szybą stracił ostre rysy. W oczach Ultry pojawiła się mgła. Poczowała, jakby świat nagle oddzielił się od niej, a ona wylądowała w nieokreślonej próżni. Słowa wypowiadała automatycznie, jak nakręcona lalka, z którą cały jej umysł miał niewiele wspólnego. Wyćwiczona na setkach treningów, obudzona w najodpowiedniejszym czasie, idealnie fałszywa.

– Możesz się wycofać?

– Za późno, Gosiu, zdecydowanie za późno.

– Udaj, że się rozłączasz i schowaj telefon do kieszeni. Zlokalizujemy cię.

– Oczywiście, ale naprawdę muszę już kończyć, Gosiaczk. Całuski!

Ultra schowała telefon, tak jak rozkazał Krentz. Przełknęła ślinę i skupiła się na tym, co widzi za oknem. Przetarła oczy. Kilkadziesiąt metrów przed nimi stało kilka samochodów z zapalonymi światłami.

– To piknik? – spytała, wyduszając z siebie resztki spokojnego i rezerwowego tonu.

– Nie – odparł ponuro Kamil. – To nie piknik. Wsiadamy.

Zatrzymał wóz. Ultra wyskoczyła z samochodu i dopiero teraz dostrzegła przywiązanych ludzi do drzew. Mieli na głowach szmaciane worki. Było ich pięcioro. Czterech mężczyzn i jedna kobieta. Mężczyźni stali w samych spodniach, kobietę również pozbawiono koszuli, ale zostawiono biustonosz. Ultra słyszała jej cichy płacz. Spod worka jednego z przywiązanych ściekała strużka krwi.

– Wiem, że to może być dla ciebie szok, Emilio, ale kiedyś ci to wytłumaczymy, zrozumiesz.

– Co ona tu robi?! – usłyszeli gniewny głos ostrzyżonego na zapałkę blondyna. W światłach samochodów jego twarz miała ostre, surowe rysy. Dodawał sobie animuszu przesadną gestykulacją i aroganckim wyrazem twarzy bezmyślnego trepa po pierwszym treningu karate.

– Jest ze mną – odparł stanowczym głosem Kamil.

– Czyś ty zidiociał?! Ledwie znasz tę dziwkę!

Lechowicz podszedł szybko do niego i uderzył mocno pięścią w twarz. Blondyn zachwiał się na nogach i upadł na kolana. Z nosa trysnęła mu krew. Kamil podszedł do samochodu i wyjął z bagażnika kij bejsbolowy, po czym ruszył w stronę wściekłego, ale wciąż oszołomionego krzykacza.

– Co ty?! Mnie bijesz?! – wrzeszczał piskliwie. – Jak Żyda?!

– Jeszcze raz tak o niej powiesz, a cię zatłukę – powiedział dobitnie Lechowicz, gdy znalazł się tuż przy nim.

– Ja dla dobra sprawy!!! – Blondyn spojrział błagalnym wzrokiem w stronę stojących przy samochodach towarzyszy. Żaden z nich z pewnością nie miał więcej niż dwadzieścia pięć lat. Przyglądali się uważnie zajściu, ale nie reagowali. Kiedy uznali, że już po kłopotcie, podszli do swoich samochodów i wyjęli kije bejsbolowe oraz pałki przypominające te używane przez oddziały interwencyjne policji. Ultra wykorzystała cały ten czas na ocenę sytuacji. Przeciwników było co najmniej dziesięciu. Sami mężczyźni. Nie wiedziała, czy mają broń, nie wiedziała, do czego są zdolni.

– Zaczynamy? – spytał Kamila najwyższy z nich.

– Za chwilę – rzucił w ich stronę Lechowicz, po czym odwrócił się do dziewczyny.

– Chcę, żebyś wzięła w tym udział – powiedział spokojnie.

– W czym? – wycedziła przez zęby. – W zabijaniu ludzi?

– To Żydzi, którzy dostali już jedno ostrzeżenie. Zabierają uczciwym Polakom pracę, usiłują brać udział w rządach, ograbiają nas z pieniędzy!

– Ta piątka biedaków stanowi zagrożenie dla Polski?! – krzyknęła Ultra. – Ta kobieta, którą obdarliście z ubrania?! Nie widzę ich twarzy, ale ten chłopak przywiązany do tamtej brzozy nie ma jeszcze osiemnastu lat!

– To rodzina sklepikarzy, stanowią przykład dla innych. – Kamil zbliżył się do Ultry i zaczął mówić szeptem, aby nikt nie słyszał. – Nikogo nie zabijamy. Nie jesteśmy mordercami jak hitlerowcy, to tylko rodzaj lekcji.

– Nie jesteście... – Ultra oddychała ciężko. – To nawet inspirujące miejsce, niedaleko są Palmiry.

– Nie mów tak! Napędzimy im trochę strachu i tyle. Powiedzą swoim, wyjadą do swojego kraju, a my zwyciężymy. Osiągniemy cel!

– Oni uważają, że to jest ich kraj!

– Tak? Wiesz, jak zginęli rodzice mojego ojca?! Ukrywali w czasie okupacji rodzinę Żydów. Takich jak oni – wskazał na przywiązanych do drzew. – Moi dziadkowie mogli się uratować, ale jeden z tych Żydów na przesłuchaniu wygadał, kto ich ukrywał. Myślał, że uratuje skórę, a zabił w ten sposób ludzi, którzy próbowali walczyć o ich życie.

– To była okupacja! – Ultra patrzyła na Kamila zamglonym wzrokiem. Wytarła po raz kolejny dłońmi oczy, ale wciąż trudno jej było się uspokoić.

– Okupacja... – prychnął z irytacją Lechowicz. – Kilka lat temu mój starszy brat zdawał

do Akademii Muzycznej. Był bardzo zdolnym skrzypkiem. Przewodniczący komisji doprowadził do tego, aby na jego miejsce przyjęto niejakiego Jakuba Urbacha. Mój brat widział później, jak ściskali się na korytarzu. „Musimy trzymać się razem” – szeptał pan przewodniczący. Miał do wyboru mniej zdolnego, ale swojego, oraz – wybitnego, tyle że Polaka. Dla niego wybór był prosty. Dziś mój brat nie żyje. Policja mówiła, że to wypadek samochodowy, ale kto wie, jaka jest prawda. Dla niego muzyka była treścią życia, lecz pan przewodniczący miał to gdzieś. Takich opowieści mógłbym ci przytoczyć tysiące. To taki kraj. Tak tu żyjemy jak zahipnotyzowani i godzimy się na to. Nie zaprzeczaj, dziś to już niemal banały.

– I dlatego między innymi musiał zginąć Szymon Rosensaft?

– Jaki Rosensaft?

– Kochałam cię, Kamil – Ultra poczuła w oczach nieprzyjemne uczucie parzenia, jakby ktoś nasypał jej tam piasku.

– Jaki Rosensaft?!

– Wierzyłam, że to nie ty... – Dziewczyna szybko otarła łzy z policzków.

– Jaki, do cholery, Rosensaft?! – niemal wrzasnął Lechowicz.

– Ten, którego zabiłeś, Kamil. Ty, a może i oni.

Piotr Krentz niemal biegł korytarzem, wydając rozkazy przez telefon.

– Zabierz dziesięciu ludzi! Natychmiast! – krzyczał. – Nie wiemy, czego się można tam spodziewać.

Pułkownik obejrzał się, słysząc, jak dogania go Krzysztof Bauer.

– Gdzie są? – spytał szybko major. – Przed chwilą dopiero się dowiedziałem.

– Pod Warszawą, w Puszczy Kampinoskiej.

– Kurwa mać! W nocy w lesie?

– Ultra mówiła o jakiejś „imprezie”. Rozumiem, że chciała nam przekazać, że nie będą sami.

– Co zamierzasz?

– Albo odkryli, kim ona jest, albo to znowu jakiś samosąd.

– Jak masz zamiar to rozegrać? Będzie trudno. Nie mamy rozpoznania, nie wiemy, ilu jest przeciwników, nie wiemy, co z naszą dziewczyną?

Krentz spojrzał gniewnie na majora.

– No coś ty?! A ja myślałem, że jesteśmy elitarną jednostką do rozwiązywania takich kłopotów!

– Czego na mnie krzyczysz? – obruszył się Bauer. – Ja tylko mówię, że będzie trudno.

– A mógłbym usłyszeć od ciebie coś bardziej twórczego? Mam tam świeżą dziewczynę oraz bandę fanatyków i morderców!

– Powinniśmy być dobrej myśli. Może i są niebezpieczni, ale to tylko gnoje. Amatorzy.

Krentz pokręcił z irytacją głową.

– Idź do łączności. Robimy normalne S-15. Jeśli się coś zmieni, koordynuj jak zwykle. Ja biegnę do garażu i jadę z chłopakami.

Bauer skręcił na schody, a pułkownik ponownie przyłożył słuchawkę do ucha.

– Nie – powiedział po chwili. – Żadnego helikoptera! Zanim się zbliżymy, zdążą dziesięć razy zabić dziewczynę. Już idę! Wiem, że to duży kwadrat... ale ona... Ona da sobie radę... Nie szkodzi... wiem, co mówię... da sobie radę.

* * *

Do Kamila i Ultry podszedł najwyższy z mężczyzn, patrząc ze zniecierpliwieniem na to, co się dzieje.

– Chyba nie po to, Kamil, tu przyjechaliśmy, aby dyskutować. Weźmy się do roboty! – powiedział ponaglająco.

Ultra wiedziała, że nie arogancki blondyn, który dopiero co się pozbierał i dołączył do reszty, jest tu najgroźniejszy ze swoją krzykliwą i rozezaltowaną gadką, ale właśnie ten człowiek. Jego spokojny, a jednocześnie zdecydowany sposób bycia, chłodne, rybie spojrzenie i kompletny brak emocji wróżyły kłopoty, których nie mogła nawet przewidzieć. Strach dopadł ją nagle, jakby w tym momencie zdołał pokonać ostatnią barierę, którą z takim mozołem budowała. Wpiła paznokcie w uda, aby powstrzymać drżenie rąk.

Lechowicz przytaknął głową i spojrzał jeszcze raz na dziewczynę.

– Włóż maskę.

– Nie.

– Rozpoznają cię.

– To wypuście ich. – Ultra, ukrywając bezsilną złość, miała zacięty wyraz twarzy.

– Włóżcie maski, zdejmijcie im te worki, pokażcie bejsbole, ale spuście im lekkie manto, aby nie przesadzić, jak „Puszczycy” ostatnio – zwrócił się do wysokiego.

– Nie tym razem, Kamil – odparł spokojnie. – Rozmawiałem z chłopakami.

– Co nie tym razem?

– Dziś załatwimy to inaczej. Ta nasza cała akcja „Shalom” jest głównie warta. Czy to coś dało? Ktoś wyjechał? Ktoś się przestraszył? Zauważyłeś jakieś zmiany?

Reszta mężczyzn podeszła do nich, aby uważnie przysłuchać się rozmowie.

– Jak chcesz to załatwić? – spytał gniewnie Lechowicz.

– Tak jak trzeba. Koniec cackania się z parchami.

– Nie dam wam ich pozabijać! – krzyknęła Ultra.

– Zamknij się z łaski swojej, panienko – rzucił beznamiętnie w jej stronę wysoki. – I tak narobiłaś już dzisiaj dość zamieszania. Na twoim miejscu raczej martwiłbym się, co my zrobimy z tobą.

– Ty się zamknij, „Zuber” – mruknął ostrzegawczo Lechowicz, wyraźnie akcentując zaimek „ty”. – Na razie ja tu rządzę!

– Nikt cię już nie chce słuchać, Kamil – wysoki nie tracił spokoju. – Jesteś nieskuteczny. Ustaliliśmy z chłopcami, że ja przejmuję dowództwo. Możesz się przyłączyć, ale najpierw chcę wiedzieć, czy jesteś z nami, czy przeciwko nam?

– Widzę, że ich też potrafiłeś wykołować – wtrąciła posepnie Ultra. Strach powoli przestawał paraliżować jej ruchy. Czują, jak stopniowo wracają jej siły.

– A tym razem o co ci chodzi, kobieto? – spytał wysoki.

– Ten kulturalny i dystyngowany na co dzień działacz na rzecz lepszej Polski to w rzeczywistości seryjny morderca, znacznie bardziej bezwzględny, niż ty próbujesz być, pieprzony faszysto – odparła cierpko Ultra. – Niezła przykrywka ta banda niedorobionych skinów.

Wysoki po raz pierwszy zaniemówił na chwilę, nie mając pojęcia, co ma powiedzieć.

– Co ty robisz, Emilia? – jęknął Kamil.

– Kończę to – Ultra sięgnęła po broń i błyskawicznie odbezpieczyła pistolet.

Zaskoczenie było tak wielkie, że sparaliżowało na moment nawet wysokiego.

– Boże, skąd ty masz broń?! – wybuchnął Kamil.

– Jeszcze się nie domyślasz? – warknął przez zęby „Zuber”. – Właśnie zważyłeś nam na kark policjantkę.

Lechowicz odwrócił się bezradnie w jej stronę.

– To prawda?

– Wszyscy łapy do góry! – krzyknęła głośno Ultra. Od pewnego czasu słyszała dźwięki, które wydały jej się znajome. Teraz miała pewność, że Krentz już tu jest. Wiedziała, że są mu potrzebne co najwyżej sekundy.

– A więc to wszystko było kłamstwo? – mówił jak w transie Lechowicz. – My, nasze rozmowy, twoje poglądy, artykuł...

– To nie czas na takie dyskusje, Kamil. Podnieś rękę!

– Jesteś policjantką?! – nie zważając na wycelowaną w niego broń, zaczął iść w jej stronę.

– Pracuję dla tajnych służb specjalnych. Podnieś, do cholery, rękę!!!

– Nie – rzekł jakby nieobecny głosem, nie zatrzymując się.

Agentka instynktownie wystrzeliła. Kamil zachwiał się i upadł na ziemię.

Z ponurej ściany lasu wyłonili się błyskawicznie agenci Krentza. Wszystko stało się tak nagle, że żaden z towarzyszy „Zubera” nie zdążył nawet zrobić kroku. Po kilku sekundach każdy z nich miał przystawioną do skroni lufę karabinu. Stali przerażeni, patrząc na leżącego Kamila.

– Nic ci nie jest, Ultra?! – krzyknął Krentz, wyłaniając się z ciemności.

– Nie. – Dziewczyna podbiegła do Lechowicza.

– Rozwiązać ich! – rozkazał pułkownik, wskazując na piątkę uprowadzonych.
– Emilia... – jęknął Kamil. – Słyszałem... Ultra... tak naprawdę się nazywasz?
Dziewczyna ukłękła przy nim, oglądając pośpiesznie ranę.
– Tak. Tak mnie nazywają w pracy.
– Po cholere żyć, jak wszystko jest kłamstwem, co? – spytał gorzko.
– Nie wszystko było kłamstwem. – Ultra próbowała rozerwać jego koszulę w pobliżu wątroby, gdzie kula przebiła ciało.
– Emilia... ale dlaczego?
– Zabijałeś ludzi, Kamil.
– Być może dzisiaj umrę – powiedział spokojnie Lechowicz. – I przysięgam ci na wszystko, co mi najdroższe. Nikogo... nigdy... nie zabiłem.
Oddychał coraz ciężiej. Patrzył jednak spokojnie na twarz dziewczyny, szukając w jej oczach potwierdzenia.
– Znalaziono twoją krew w domu zamordowanego pięć dni temu Szymona Rosensafta. Wbrew temu, co myślisz, zauważyłam twoją ranę na palcu natychmiast, kiedy do ciebie przyszłam, ale wtedy nie skojarzyłam faktów i nie wiedziałam tego, co dzisiaj wiem. Twoja rana nie jest od noża, tylko od wystającego ze ściany, ułamanego gwoźdźcia. Zabójcę coś wystraszyło, uciekał i wtedy się zranił. Poprzedniego dnia, czyli w środę, jak sądzę, skończyłeś przygotowania. Wyjechałam wtedy na trening.
– Nie było mnie u tego człowieka – Kamil jakby odzyskał na chwilę siły. – Nie znam go. A w środę... byłem u ciebie.
– Co?! – Ultra na chwilę przestała zajmować się raną Lechowicza.
– Przyszedłem do ciebie, ale była tylko Wika. Powiedziała, że wyjechałaś. Chciałem na początku wyjść, ale ona... Nie mogłem znieść, że mnie tak traktujesz.
– Spałeś z nią? Wtedy?! – Ultra poczuła, jak gorąca plama przemieszcza się wolno po jej kręgosłupie.
– Nie mogłem tego znieść – głos Kamila zaczął się załamywać. – Boję się... zimno mi...
– Gdzie się skaleczyłeś, Kamil?
Sanitariusz ukłękął obok Lechowicza.
– Później z nim pogadasz, Ultra – rzucił szybko do niej i śpiesząc się, wyjął z torby sprzęt.
– Jeszcze chwilę – odparła, niemal nie zwracając na niego uwagi, i zbliżyła się do twarzy Kamila. – Gdzie? – powtórzyła pytanie.
– U ciebie – powiedział z wysiłkiem.
– Cholera, to wątroba – jęknął sanitariusz.
– U mnie?! – krzyknęła Ultra.
– Mówiłem – uśmiechnął się smutno Kamil. – Zapaćkałem ci cały blat.
– Zabieramy go! Szybko! – krzyknął sanitariusz w stronę podjeżdżającego samochodu, z

którego wyskoczyło dwóch mężczyzn z noszami. Sprawnie umieścili na nich Lechowicza i pobiegli z nim z powrotem do wozu.

Ultra została sama, wpatrzona w swoje umazane krwią ręce.

– Trzymasz się jakoś? – usłyszała za sobą głos Krentza.

Nie miała na razie siły z nim rozmawiać. Podniosła głowę i patrzyła tępo, jak czwórka ludzi w białych fartuchach reanimuje Kamila.

– Już po wszystkim – klepnął ją pułkownik po ramieniu. – Trzeba teraz odpocząć.

– Kurwa mać! – wrzasnął jeden z sanitariuszy, zdjął rękawiczki i rzucił nimi o ziemię. Reszta stała jeszcze przez chwilę w bezruchu przy otwartej karetce, ale po kilku sekundach odeszli, oddychając ciężko jak po męczącym biegu.

Dziewczyna poczuła nagle mdłości. Jakiś niezrozumiały dźwięk, który wydobyła z ust, zamarł równie nagle, jak się pojawił. Wciąż jednak patrzyła w tamtą stronę, choć wszyscy zaczęli poruszać się jakby wolniej. Odgłosy stawały się cichsze i lekko zniekształcone, a dziwny szum w jej głowie coraz głośniejszy. Wpiła palce mocno w pokrytą sosnowymi igłami ziemię i nie zwracając uwagi na ból, ścisnęła ją z całej siły w dłoniach.

– Ultra! – usłyszała jak przez sen.

Zerwała się nagle i zaczęła biec w stronę samochodu, którym tu przyjechała.

– Ultra! Co robisz?! – usłyszała jeszcze raz.

Wskoczyła do wozu. Pamiętała, że Kamil zostawił kluczyki w stacyjce. Ruszyła ostro, wzniesając tuman kurzu spod kół.

– Co ona wyprawia?! – spytał z niepokojem wysoki agent, który właśnie podbiegi do Krentza.

– Nie wiem – odparł, obserwując jak samochód znika w ciemnościach. – Jedźcie za nią!

* * *

BAJKA

*Zbudźmy się w środku nocy
Pod drzewami ogromnymi jak pamięć
Słoną zieleni wdechajmy głęboko
Jak kwiaty...*

*Swoje ciała oddajmy Bogom
Swoje myśli zostawmy Niebu
W ciszy marząc o wolności
Jak liście...*

*Potem podaj mi rękę powoli
Potem otwórz oczy szeroko
I słuchajmy chciwie księżycy
Jak gwiazdy...*

*To twoje imię gra na liściach
Jak na skrzypcach co uciekły z rąk
Melodię o raju którego nie ma
Lub który jest lecz... daleko stąd*

Wika oparła łokieć o leżący obok kamień. Siedziała na miękkiej trawie, wpatrując się jeszcze przez chwilę w kartkę papieru, na której przed momentem pisała. Głuche, ale donośne pohukiwanie nocnego ptaka, którego nie mogła rozpoznać, towarzyszyło jej od pewnego czasu, przerywając niemal idealną ciszę. Jezioro jak lustro połykało odbłask księżycy, niezbyt dzisiaj pięknego, bo częściowo zasłoniętego i jakby niewyraźnego. Wiatru nie było w ogóle, a drzewa na szczytach gór okalających Mały Staw tkwiły w bezruchu na tle ciemnognatowego nieba, jakby ktoś wyrzeźbił je w skale.

– To piosenka – powiedziała cicho dziewczyna do ptaka. – Nie powinna ci się nie podobać. To nie jest wiersz, to się śpiewa, nie huczy.

Ptak nagle zamilkł jak na komendę, ale już po chwili z powrotem zaczął swoje monotonne zawodzenie. Wika złożyła kartkę, na której pisała, i włożyła do kieszeni kurtki. Robiło się chłodno. Przez chwilę rozważała powrót do schroniska. Spojrzała w kierunku Samotni. Nawet w ciemnościach dość dobrze widoczna była ta jej śmieszna wieżyczka i drewniane dachy opadające na wszystkie strony świata, jakby naśladowały otoczenie, w którym się znajdują. Żółte światło uciekało jeszcze z niektórych okien, choć większość gości już raczej spała. Wika dopiero teraz zgasiła latarkę, ale jeszcze nie wstawała. Dawno nie czuła się tak dobrze. Wrażenie, że spływa na nią siła, która pozwoli przetrwać wiele złych chwil, otulało ją przyjemnym ciepłem.

Ze schroniska wyszedł niski, krępy, lekko przygarbiony człowiek. Widziała go już wczoraj, jak rąbał drewno, a później przywoził zukiem żywność. Teraz rozglądał się dookoła, chcąc pewnie zamknąć drzwi. Wika wstała i pobiegła wąską ścieżką przy drewnianej balustradzie oddzielającej ją od jeziora. Zamachała do niego ręką. Nie chciała, aby przez nią zbyt długo czekał.

– Przepraszam, trochę się zamyśliłam – rzuciła z uśmiechem, gdy dopadła drzwi.

– Nie szkodzi, panienko – zarechotał klucznik. – Nie widziała tam panienska już nikogo?

– Nie, raczej nie.

– No dobra, najwyżej będą się dobijać – zdecydował i zamknął za nią drzwi.

Cmoknęła go w policzek, wiedząc, że sprawi mu tym przyjemność.

Za ladą w bufecie pani Ania cały czas jeszcze stała i liczyła coś na kalkulatorze. Widząc dziewczynę, jak podchodzi do niej, spytała wzrokiem, czy czegoś sobie życzy.

– Nie wiedziałam, że jeszcze czynne – rzekła z uznaniem Wika.

– Nieczynne, ale co tam! – machnęła ręką. – Co podać?

– Zieloną herbatę.

– Zaraz zagotuję wodę. Długo pani zostaje?

– Do jutra. Idę w stronę Szklarskiej Poręby.

– A piękna trasa, piękna. Nawet opłaca się czasem przejść na drugą stronę szlaku, bo tam czeskie schroniska i obiad tańszy.

– Dziękuję, będę pamiętała – odparła, zerkając na zegarek.

– Ależ przystojny ten facet, co wczoraj przyszedł – rozmarzyła się konspiracyjnym szeptem pani Ania, wskazując głową siedzącego tyłem bruneta w swetrze.

– Możliwe – odparła uprzejmie Wika. – Pójdę usiąść.

– Już zaraz będzie herbata, niedawno gotowałam wodę. Zaczeka pani?

– Właściwie czemu nie. I tak zabiorę na górę.

– No właśnie. Podoba się pani Karpacz?

– Tak, bywam tu co roku. Miłe miasto. Dość kosztowne, ale urokliwe.

Pani Ania rozejrzała się dookoła, jakby zaraz miała powierzyć Wice jakąś tajemnicę. Oparła łokcie na ladzie, głowę na dłoniach i z badawczym uśmiechem wpatrywała się w dziewczynę.

– Nie smutno tak pani? – spytała.

– Dlaczego?

– Samej chodzić po górach...

– To nic strasznego – uspokoiła ją Wika. – Są w życiu znacznie bardziej smutne rzeczy.

– A czym pani się zajmuje? – spytała znowu ciekawsza kelnerka.

Wika zerknęła znacząco na gotujący się czajnik, ale odpowiedziała:

– Jestem studentką.

– A widać... tak pani ładnie się wypowiada. A co pani studiuje?

– Weterynarię.

– W Krakowie?

– W Warszawie.

– A wiedziałam, że coś lekarskiego. – Pani Ania podeszła wreszcie do tacy ze szklankami, wzięła jedną z nich, wrzuciła do środka torebkę herbaty i zalała wodą. Wika uśmiechnęła się uprzejmie, biorąc od niej szklankę, ale barmanka nie pozwoliła jej odejść.

– Widziałam, jak to dziecko wczoraj przy stawie upadło i jak je pani opatrywała – wyznała z dumą. – Ta jego matka pojęcia nie miała!

– Dobranoc pani – podjęła kolejną próbę Wika.

– Wierzy pani w to, że sny zapowiadają przyszłość?

– Raczej nie.

– Śnił mi się wczoraj wulkan. – Widać było wyraźnie, że pani Ania bardziej potrzebuje pogawędki, niż się to na pierwszy rzut oka zdawało. – A ja nigdy tak naprawdę nie widziałam wulkanu. Tylko w telewizji. Przestraszyłam się i... odwróciłam tyłem. Wie pani co? Wtedy właśnie jakoś tak przestał być groźny. Tak czułam, normalnie...

Wika postawiła z powrotem szklanę z herbatą na ladzie. Barmanka widząc, że dziewczyna jej słucha, ciągnęła dalej:

– Wtedy pojawiłam się druga ja. To znaczy ja stojąca przodem i ja stojąca tyłem, wie pani, jak to jest w snach?

– Wiem, jak to jest w snach – odparła spokojnie Wika.

– Tak jakby... chciałam siebie, czyli tę drugą, przekonać, żeby uciekać, ale ta druga ja stała tyłem, więc nie chciała uciekać... o Boże, głupia jestem, co?

– To tylko sen – uśmiechnęła się przyjacielsko dziewczyna.

Pani Ani dodało to wyraźnie animuszu.

– Czułam, jakbym tak strasznie się bała, że zaraz ten wulkan mnie jakoś tak chapnie albo co, ale się nie ruszałam. Ta druga ja była taka niemądra, głupia, jakby nic w ogóle nie wiedziała. Wszystko jej było obojętne...

– Dobrze pani to wszystko pamięta – przerwała jej Wika.

– To było dzisiaj. Ja czasem... zapisuję sny. Swoje, innych... Nie będzie się pani ze mnie śmiała?

– Oczywiście, że nie – obiecała, biorąc szklanę do ręki.

– A co pani się dzisiaj śniło? – Barmanka tak się zawstydziała, gdy zadała to pytanie, że aż poczerwieniała.

– Koty – odparła zaskakująco szczerze Wika. Sama nie wiedziała, dlaczego jej się to wyrwało.

– Ale jakie? – Na twarzy pani Ani pojawiła się niezbyt inteligentna mina. – Takie szare, czarne?

– Dzikie – wyjaśniła dość chłodno.

Barmanka wyraźnie odczuła, że dziewczyna chyba rzeczywiście ma już ochotę iść spać.

– Ale co one robią? – mimo wszystko zapytała, licząc na kolejny zapiszek w swoim zeszytiku.

– Nie chcę mnie już... – Wika odwróciła się i odeszła korytarzem, zostawiając zaskoczoną panią Anię. Dopiero po kilku sekundach udało się barmance coś powiedzieć.

– Ale jak to? Dlaczego? Proszę pani! Nie rozumiem... Usłyszała tylko odgłos jej spokojnych kroków po schodach.

Ultra wpadła do mieszkania. Zrzuciła kurtkę i natychmiast wbiegła do pokoju Wiki. Otworzyła z wściekłością jej szafę, mało nie wrywając zawiasów, i zaczęła wyrzucać na podłogę wszystkie rzeczy: ubrania, buty, torby podróżne, których tamta nie wzięła ze sobą.

Dopadła do każdej z nich i dokładnie przeszukała. Gdy to nie przyniosło rezultatu, wdrapała się na krzesło, aby zobaczyć, czy niczego nie ma na górnych półkach. Pusto. Rozejrzała się jeszcze raz szybko po pokoju. Jej wzrok padł na brązową teczkę stojącą obok biurka. Zeskoczyła z krzesła i wyciągnęła ją na środek pokoju. Zamek nie pozwalał zajrzeć do środka. Rzuciła nią o podłogę i pobiegła do swojego pokoju, aby wyjąć z jednej z szuflad duży nóż myśliwski. Gdy z powrotem znalazła się przy teźce, uniosła ją lekko do góry i z impetem wbiła ostrze w sam środek, po czym z niemałym wysiłkiem rozpruła, ile tylko się dało. W środku jednak nie było niczego. Zrezygnowana, cisnęła teczką o ścianę. Wstała i zbliżyła się do biurka. Było na nim kilka książek i notatki z wykładów, ale nie wpadło jej w oko nic, co mogłoby teraz pomóc. Pociągnęła szufladę, lecz ta, podobnie jak teczka, była zamknięta. Sięgnęła ponownie po nóż i po kilkuminutowym mocowaniu się ze starym drewnem w końcu ją wyłamała. Na samym wierzchu leżał gruby zeszyt z napisem *Dziennik*. Ultra zamarła na kilka sekund, jakby bała się go dotknąć. Po chwili jednak wyjęła zeszyt i położyła na blacie. Nie tracąc czasu na przysunięcie sobie krzesła, zaczęła czytać:

„Chodzę jak cień, błędę jak zmierzch... szukam Twojego uśmiechu, może zgubiłaś go pod łóżkiem, za szafą. Muszę odpocząć...”.

Czytała dalej:

„Dzisiaj... dzisiaj kupiłam atlas. Zapach farby kleił się do podniebienia. Zdjęcia manula, margaja, ocelota i serwala. Ich oczy widzą wszystko... Dzisiaj jest dobry dzień”.

Ultra przebiegła wzrokiem kilka akapitów:

„Boję się mojego ciała. Boję się, że ręka robi nie to, co chciałabym, noga stawia bezładne, brzydkie, nieharmonijne kroki...”.

Przeleciała szybko palcem po kolejnych stronach:

„Na kolację podałam mu śmierć... świeżą i krwistą. U tuliłam go i pożegnałam. Liście zagrały marsza *funèbre*. I zatańczyłam lekko, wiosennie, dla Ciebie”.

Poczuła, jak gorąco zaczyna w błyskawicznym tempie uderzać jej do głowy.

„Ciepłe, słodkie, kruche jeszcze ścięgną, jędrny opór... lekki skurcz mięśnia w ręku. Śmierci nie trzeba szukać daleko, wisi na wieszaku obok skórzanego palta. Dynda wyzywająco. Wystarczy wyciągnąć rękę...” „Zachlapana krwią witrażowa lampa odwróciła oczy. Taka scena to dla niej coś dziwnego i niewiarygodnego, nie mogła sobie z tym poradzić”.

Dziennik spadł jej na podłogę, jakby nagle zaczął parzyć. Cofnęła się przerażona kilka kroków, ale potknęła o pozostawioną na podłodze teczkę i upadła. Odczołgała się pod ścianę jak spanikowany dzieciak. Przerażliwy krzyk, jaki wydobył się z jej ust, przeciął nagle ciszę i wypełnił cały umysł. Nie mogła przestać. Łzy ciekły jej po policzkach jedna po drugiej. Nagle zabrakło jej tchu. Usłyszała, jak ktoś wbiega do mieszkania.

– Boże! Co tu się dzieje?! – usłyszała nad sobą głos Koziejuka.

– Zjeżdżaj stąd! – warknęła Ultra, nie odwracając się do niego.

– Co ty wyrabiasz?!

– Wypierdalaj stąd! – wrzasnęła dziewczyna, zrywając się na nogi.

– Mam rozkaz... – nie dokończył, gdy niespodziewanie pięść Ultry wylądowała na jego twarzy. Cios był mocny i celny. Podporucznik zachwiał się, cofnął kilka kroków i opadł na prawe kolano, podtrzymując się szafy w przedpokoju.

Pułkownik Krentz, który właśnie wszedł do mieszkania, ominął znokautowanego Koziejuka, patrząc na niego z politowaniem, i zbliżył się do dziewczyny.

– Boże, Ultra... – powiedział cicho, kręcąc z niedowierzaniem głową.

– To nie on!!! – znowu wywrzeszczała przez łzy.

– Co „nie on”?

– Zabiłam niewinnego człowieka!!!

– Weź się w garść, wytrzymaj twarz i przestań bić mi ludzi! – rozkazał groźnie, po czym rozejrzał się po pokoju. – Czego tu szukałaś?

– Dowodów. Kamil był tutaj na dzień przed ostatnim morderstwem. Skaleczył się przypadkowo nożem do lodu. Rana była chyba dość głęboka, bo powiedział mi, że zapaćkał cały blat... Wtedy być może ostatecznie wpadła na to, jak skierować na niego podejrzenie. Wiedziała, jak przechować krew i co zrobić, żeby chłopak ze skrajnie prawicowej partii został mordercą w oczach policji... To było łatwe. – Kaszlnęła nerwowo. – Jest wybitnie inteligentna – ciągnęła dalej rozedrganym głosem. – Ma wiedzę medyczną i weterynaryjną, bez problemu mogła zdobyć ketaminę i resztę sprzętu, wszystko się zgadza... Uwiodła go, bo wiedziała, że się zbliżyliśmy. Może nawet wygadał jej, że chodzili na te „wypadki” do ludzi, których podejrzewali o antypolskość. Odkąd go poznała, zaczęła przecież mordować działaczy żydowskich. A u mnie w domu... kiedy już wysłała go do łazienki, aby się umył i zdezynfekował... miała jego krew. Tak przygotowała mu śmierć!

Mimo że Ultra co chwila przerywała, aby nabrać głębszego oddechu, mówiła już spokojniej, choć wciąż miała rozbiegane oczy i zacisnięte pięści.

– Co tu znalazłaś? – spytał rzeczowo pułkownik.

– Opisy zbrodni – odparła i zacisnęła mocno usta.

Krentz podniósł z podłogi *Dziennik*.

– Tam są daty – kontynuowała dziewczyna. – Po każdym morderstwie jest opis. Pisała, jakby to było nieprawdziwe, jakby bawiła się wierszem, dziwnymi sformułowaniami, a świat i jego realia jej nie obchodziły. To wygląda jak jakiś pamiętnik z horroru, z piekła...

Pułkownik szybko zaczął przeglądać *Dziennik*, szukając odpowiednich dat.

– Rany boskie... – mruknął pod nosem, ale Ultra go usłyszała.

– Tam jest nawet opis wnętrza domu jednej z ofiar po zabójstwie – dopowiedziała. – Nie mogła tego inaczej zobaczyć. Nie przeczytała o tym w żadnej z gazet, tam była tylko policja.

Krentz zamknął wolno *Dziennik* i spojrzał na dziewczynę.

– Zabiłam niewinnego człowieka – powtórzyła Ultra i od razu poczuła, jak oczy

zaczynają ją z powrotem piec.

– Nie był niewinny – odparł spokojnie pułkownik. – Mówiłem ci, nie angażuj się. On szantażował i atakował tych, którzy myśleli inaczej lub urodzili się w innym kraju. Nie podporządkował się, kiedy wydałaś mu polecenie podczas aresztowania, a już wiedział, kim jesteś. Wiesz, że tam wtedy byłem. Widziałem to wszystko. Nie popełniłaś błędu. Ja też bym w takiej sytuacji strzelił.

– Był jeszcze bardzo młody – zaprzeczyła dziewczyna. – Niemądre poglądy i naiwność to jeszcze nie powód...

– Sama w to nie wierzysz, Ultra – przerwał pułkownik. – Zastanów się, był rasistą i antysemitą.

– Nie chciał nikogo zabijać...

– Krzywdził ludzi! – głos pułkownika stał się groźny. – Histeryzujesz, bo zaangażowałaś się uczuciowo wobec podejrzanego, i teraz mam wrażenie, że masz kłopot z odróżnianiem dobra od zła. Więc mówię jak dziecku! To wbrew pozorom nie takie trudne. Nazizm, komunizm, dyktatura, fanatyzm są złe. Poszanowanie życia, prawa, ludzkiej wolności są dobre! Oprzytomniałaś, do cholery?! Czy mam cię cofnąć do szkoły albo zdzielić jak ty Koziejuka?! Myśl prosto i trzeźwo, a nie filozofuj. Prosty chłop z pola wie, że nie wolno zabijać, zastraszać ani przeszkadzać żyć innym! A on...

– On po prostu się... zagubił – powiedziała cicho Ultra, patrząc wprost w oczy pułkownikowi.

– Ręce opadają – jęknął zrezygnowany Krentz. – Mogę cię tu bezpiecznie zostawić?

– Teraz muszę... odwiedzić przyjaciółkę – warknęła przez zęby.

– Może jednak to my ją odwiedzimy. Doprowadź się do porządku.

Ultra nie odpowiedziała, tylko wciąż patrzyła na Krentza, jakby nie usłyszała, co mówił przed chwilą.

– No dobrze, ale jak zlekceważysz choćby najdrobniejszy rozkaz, osobiście cię zastrzelę.

– Tak jest – odparła dziewczyna, lecz głos uwiązł jej gdzieś w gardle. Odchrząknęła i wyprostowała się, dając do zrozumienia, że z nią już wszystko w porządku.

– Wiesz, gdzie ona jest? – spytał pułkownik.

– Wiem.

Kontury stawały się coraz wyraźniejsze. Noc kończyła się bezdeszczowo, zostawiając tylko za sobą wilgotną od rosy trawę i rześkie powietrze. W samochodzie jednak było ciepło, a cichy szum silnika wciąż wprawiał pasażerów w senny nastrój. Ultra otworzyła trochę szerzej oczy. Krentz, widząc jej ponury i niemal kamienny wyraz twarzy, niezmienny od kilku godzin, zastanawiał się po raz kolejny, czy akcja z jej udziałem ma jakikolwiek sens. Przez całą podróż nie dręczył jej pouczeniami ani tym bardziej pytaniami, ale teraz dojeżdżali już do Karpacza i czas się kończył. Towarzyszący im w vanie agenci nie zwracali zupełnie na

nią uwagi, zajęci zadaniem i cichymi rozmowami. Razem było ich sześcioro. Dwójka „operacyjnych”, „bazowiec”, kierowca, dowódca i... studentka.

– Chyba trochę pospałaś? – spytał ostrożnie Krentz.

– Próbowałam się zdrzemnąć – odparła spokojnie.

– Udało się?

– Nie wiem. Podobno czasem wydaje nam się, że nie zmrużyliśmy oka całą noc, a organizm mimo wszystko odpoczywa i jednak śpimy.

Pułkownik się uśmiechnął.

– Też o tym słyszałem. Możemy porozmawiać?

– Oczywiście.

Krentz wyjął mapę. Odszukał odpowiednie miejsce i z powrotem przeniósł wzrok na dziewczynę.

– Skoro podejrzewasz, że może być w schronisku Samotnia lub w drodze do Hali Szrenickiej, rozdzielimy się w...

Przerwał na chwilę, biegnąc palcami po mapie.

– Nie dojdzie tam dzisiaj – wtrąciła Ultra.

– Do Hali Szrenickiej?

– Tak. Byłam z nią na tym szlaku jesienią. Mimo że jeździ tu podobno co roku, przechodzi tę trasę dość wolno. Jeśli założymy, że wyszła lub wyjdzie z Samotni dzisiaj, z pewnością zatrzyma się przynajmniej na dwie, trzy godziny w schronisku Odrodzenie... Jest tu – wskazała na mapie. – W okolicach przełęczy albo gdzieś po czeskiej stronie. Potem przejdzie przez Śląskie Kamienie, Czarną Przełęcz, Wielki Szyszak i może dojdzie do hali pod Łabskim Szczytem, ale najdalej tam zanočuje. Oczywiście, jeśli będzie dobra pogoda.

– Na siedemdziesiąt osiem procent nie będzie opadów, temperatura dwadzieścia trzy do dwudziestu pięciu stopni.

– A więc musimy założyć, że tam będzie szła, ale nie dalej. To prawie dwadzieścia kilometrów, dla niej to dużo.

Krentz uważnie jej wysłuchał i spojrzał na pozostałych agentów, którzy zaczęli przysłuchiwać się rozmowie.

– Uwaga – mruknął, odkładając mapę. – Nie mieliśmy zbyt wiele czasu, więc musimy improwizować. Mimo że to morderczyni, nie wierzę, aby była uzbrojona, i prawie na pewno nie spodziewa się niczego. Jest sama, a to są góry. Idzie określonym szlakiem i istnieje niewielkie prawdopodobieństwo, że z niego zejdzie.

Pułkownik spojrzał ponownie na Ultrę.

– Jak ty byś to rozegrała na moim miejscu?

Dziewczyna przebiegła wzrokiem po agentach, próbując w ten sposób opanować treść.

– Jeśli zrobiła to, co zwykle, to dojechała do Karpacza, doszła do Samotni, gdzie została dwie noce, a teraz pójdzie w stronę Szrenicy. Ta druga noc właśnie się skończyła. Jeśli jednak

zdecydowała się wyruszyć po pierwszej, to jest już daleko. Odradzałabym kontaktowanie się telefoniczne z Samotnią. Jeśli jeszcze tam jest, a to prawdopodobne, bo mamy wczesny ranek, może się o tym dowiedzieć. A wtedy przejdzie na czeską stronę i zniknie.

– Zgadzam się – mruknął przystojny brunet, siedzący obok kierowcy.

– Co robimy z policją? – spytał barczysty chłopak, niewiele starszy od Ultry.

– Za późno na nich – odparł Krentz. – Zanim wypiszą te wszystkie swoje papierki, minie ruska zima. Zajmę się tym później. Czy ktoś z was szedł kiedyś tym szlakiem?

Zapadła cisza.

– A więc tylko Ultra – pokiwał głową pułkownik. – Mów, co proponujesz.

– Rozdzielmy się – zaczęła śmiało. – Dwóch agentów zostawmy w Szklarskiej Porębie. Wjadą wyciągiem na Szrenicę i będą szli górą w stronę Karpacza. Dwójka, na przykład ja i któryś z kolegów, będzie ją ścigać tym samym szlakiem, ale od strony Samotni. Zamkniemy ją. Ktoś z nas z pewnością się na nią natknie.

Pułkownik skinął głową.

– Niczego lepszego nie wymyślimy, ale trzeba uważać. Ona jest wyspana i wypoczęta. My jesteśmy zmęczeni po ciężkiej nocy, nie spaliśmy porządnie i nie mamy zdokumentowanego terenu. Ultra zna szlak jako jedyna z nas, ale za to jest najbardziej wyczerpana. Oto plan: Śliski i Paulus zostają w Szklarskiej Porębie, powinniśmy tam być za pół godziny. Potem jedziemy do Karpacza. Roman zostaje. Przystojniak i Ultra idą do Samotni, robią wywiad i ewentualnie ścigają podejrzaną, idąc szlakiem na zachód.

Wszyscy pokiwali głowami, dając do zrozumienia, że akceptują plan. Zaczęli sięgać do plecaków i powoli się przygotowywać do akcji.

– Jak z tobą? – spytał cicho Krentz, nachylając się nad dziewczyną.

– W porządku – odparła mechanicznie Ultra.

Pułkownik przez kilkanaście sekund przyglądał się twarzy agentki.

– Idę z wami – zdecydował niespodziewanie.

– Ale ja...

– Koniec dyskusji – przerwał ostro.

Zapadła cisza. Nikt nie komentował postanowienia dowódcy. Żaden z agentów nawet nie spojrzał w stronę Ultry. Wszyscy zajęci byli przygotowaniami, a poza tym uważali, że Krentz ma rację.

– To była twoja najlepsza przyjaciółka? – spytał wreszcie pułkownik.

– Wolalabym na ten temat nie rozmawiać. – Agentka zamknęła oczy i zaczęła rozmasowywać wolnymi ruchami skronie.

– Nie pytam bez powodu – podjął surowym tonem Krentz. – To się może przydać w czasie akcji.

– Odnosiłam takie wrażenie, panie pułkowniku – odpowiedziała po chwili.

– Mówiłaś, że jest bystra. Na jak duże kłopoty powinniśmy się przygotować?

– Liczę, że ją zaskoczymy. Nie ma pojęcia, że pracuję dla agencji. Nie wie, że jest ścigana.

– Jest bystrzejsza od ciebie? – uśmiechnął się prowokacyjnie Przystojniak, który właśnie odwrócił się do niej.

– Tak – odparła poważnie. – I lepiej, żeby wszystko poszło według planu. Jeśli jej nie zaskoczymy, może być nieprzewidywalna.

* * *

Wika – Dziennik, 12 czerwca

Czarne ściany, czarne oczy i ręce baobabu, który właśnie wyszedł ze snu. Na białym ciele odbita noc. Ta opleciona ciemnymi konarami marmurowa figura, błękitna i matowa, bezwładna... ja. Czarne konary dotykają skrupulatnie, badają, smakują, przeżuwają jak liście moją skórę kawałek po kawałku. Słony, wygrzany zapach i suchy, drapiący pomruk – pożegnalny akt pożądania. Beznamiętnie utracone dziewictwo starego drzewa.

Pośród pierwszej mglistej fali orgazmu twarze Twoja i Jego. Odchodzące w skurczu złości. Trzask rozpadających się gałęzi rozbił mnie na tysiące trójkątów. Spokój.

Czas odplywa, kiedyś byłam mu bliższa. W łonie ryba – ja, anioł – on. A dziś zostawił mi tylko na półce wizytówkę „zapamiętasz”, a może „opamiętasz”... Napięte, nagrzane mięśnie na granicy wytrzymałości, ścięgnięta jak struny w nienastrojonej gitarze. Czuję najdrobniejszy ruch powietrza. Słońce powoli oblizuje zaparowane okna. Dach rozcina białe chmury. Jakby rozstawiał wojsko do ataku. Skrada się ciężkie, garbate jutro. W zgiełku jeden strach rozsiadł się w pluszowym fotelu, zapalił papierosa, położył nogi na stole. Obok zegar. 7.30 rano, 7.30 wieczorem. Żeby nie zniknął dzień, trzeba mu zmienić baterie. Jeden z tych, które pamięta się do końca życia. Będzie wracał niespodziewanie co jakiś czas do mnie i do Ciebie. Będzie wtedy wybijał te chwile przenoszone, wytarte jak baobaby z planety Małego Księcia. Już niedługo przytuli nas Koniec – goniec bez głowy i ogona.

* * *

Wika złożyła kolejną kartkę i położyła na półce obok łóżka. Wolno wstała i wyjęła z plecaka czyste ubranie. Była właściwie spakowana. Rozejrzała się tylko dookoła, czy nie zostawiła czegoś ważnego, i jeszcze na chwilę weszła do łazienki, aby obmyć twarz.

Zapowiadał się naprawdę piękny, słoneczny dzień.

Pani Ania była tak zaspana, że nawet nie usłyszała, kiedy blondynka podeszła do baru. Turystka miała surowy wyraz twarzy, ale ubrana była dziwnie. Miała na sobie jakąś czarną skórzaną kurtkę, brązową koszulkę. Ciekawe, jakie nosiła spodnie, ale tego pani Ania nie potrafiła dostrzec, bo bufet dziewczynie sięgał powyżej pasa. W każdym razie nie wyglądała na rasową turystkę, a raczej na wkurzoną wielkowiejską panią, być może właśnie rzuconą przez jakiegoś gacha. Tak, chyba ją ktoś rzucił. W jej oczach tuż za agresją kryje się taki smutek, który rozumieją tylko kobiety. Pani Ania za długo żyła na tym świecie, aby nie rozpoznać takich rzeczy. Przynajmniej dwa razy dłużej niż ta gówniara.

– Śniadanko? – spytała z miejsca barmanka.

– Już jadłam – odparła Ultra. – Szukam przyjaciółki, mówiła mi, że tu się zatrzyma. Dwadzieścia trzy lata, ładna, ciemne włosy...

– Aaa, rozmawialiśmy wczoraj wieczorem – ucieszyła się pani Ania, próbując przesadną uprzejmością wydusić choćby cień uśmiechu z kamiennej twarzy nowej turystki.

– Mam nawet jej zdjęcie – Ultra wyjęła ich wspólną fotografię.

– Tak, tak. Nawet nie wiem, jak ma na imię.

– Jest w schronisku?

– Oj, nie. Wyszła... godzinę, może półtorej temu. Ale wiem, że idzie do Szrenickiej – przepisowy uśmiech nie zniknął z twarzy pani Ani.

– Dziękuję – powiedziała prawie szeptem dziewczyna i szybko odeszła.

Na dworze Krentz i Przystojniak czekali spokojnie na Ultrę. Przyglądali się szczytom po drugiej stronie jeziora, sprawiając wrażenie rozmarzonych urokliwym krajobrazem turystów.

– Nie ma jej tutaj – rzuciła cicho Ultra. – Ale wyszła najdalej półtorej godziny temu.

Krentz i Przystojniak spojrzeli po sobie.

– Mamy szczęście – powiedział pułkownik. – Dasz radę? – spytał jeszcze raz dziewczynę.

– Bez problemu.

– Masz za sobą ciężką akcję, nieprzespaną noc, zastanów się.

– Jestem w świetnej formie – odparła beznamiętnie. Przystojniak pokręcił z niedowierzaniem głową, ale darował sobie komentarz.

– Nie ma sensu sprowadzać teraz jakiegokolwiek sprzętu, musimy dogonić ją na piechotę, zanim zmieni zamiary – zdecydował Krentz.

– Nie zmieni – mruknęła Ultra. – Idzie wolno, podziwia widoki, słucha ptaszków i szumu drzew – dodała zimno. – Dogonimy ją najdalej za dwie godziny.

– No dobra, prowadź, Ultra. Załatwmy to jak najszybciej.

Wika zeszła ze ścieżki, zlekceważyła tabliczkę z napisem: „Nie zbliżać się! Urwisko!”, i podeszła do krawędzi. Skalna ściana opadała w dół co najmniej sto pięćdziesiąt metrów.

Ładne miejsce na koniec życia – pomyślała, ale nie czuła strachu. Spojrzała na swoje stopy, które zatrzymały się na kilka centymetrów od przepaści. Jej umysł ogarnęła nagła, ale kojąca błogość, jakby weszła do przyjemnie ciepłej wody. Wyciągnęła do przodu ręce, tak aby znalazły się nad urwiskiem. Niebo było właściwie bezchmurne, a słońce nie pozwalało otworzyć szeroko oczu. Kiedy tu podchodziła, dookoła nikogo nie było i chyba tylko lekki wiatr wydawał jakikolwiek dźwięk, ocierając się o skały i drzewa. Dlatego odwróciła się dość raptownie, kiedy usłyszała za sobą kroki. Jakiś mężczyzna zbliżał się do niej, patrząc teraz prosto jej w oczy. Miał ładną twarz. Skupioną, młodą, zadbaną. Przez moment nie widziała jego rąk, być może założył je z tyłu, ale już po chwili dostrzegła w jego prawej dłoni pistolet. Początkowo nie zrozumiała, o co chodzi. Pomyślała, że to jakiś bezsensownie tragiczny przypadek. Chciała wzrokiem poszukać pomocy, ale nie miała odwagi oderwać od niego oczu. Cofnęła się odruchowo o krok, na chwilę zapominając, gdzie jest. Nie zdołała utrzymać równowagi. Prawa noga trafiła w pustkę. Upadając, złapała się rękami trawy, ale uderzyła mocno policzkiem o ziemię. Spadała bardzo krótko. Twarda półka skalna zatrzymała ją zaledwie dwa i pół metra niżej. Przeżalenie jednak osłabło dopiero po kilku sekundach.

– Proszę się nie ruszać, bo pani spadnie! – krzyknął mężczyzna, ale nie usłyszała dokładnie jego słów. Potworny ból skręconego stawu skokowego wykrzywił jej twarz. Dopiero po dłuższej chwili spojrzała w górę, w miejsce, z którego przed momentem spadła.

– Kim pan jest?! – wydusiła z wysiłkiem.

Mężczyzna nie odpowiedział. Obejrzał się tylko za siebie. Kiwnął głową, jakby odpowiadał na czyjeś gesty, i odwrócił się ponownie do dziewczyny.

– Jest pani aresztowana pod zarzutem wielokrotnego zabójstwa. Proszę się poddać – powiedział szybko, nie spuszczając jej z oka.

Wika otarła łzy, które pojawiły się na jej policzkach. Trzeba było długich sekund, aby uporządkować myśli. Mężczyzna nagle zniknął za rogiem urwiska, na którym ona stała przed chwilą. Ogarnięta paniką, zlustrowała półkę, czy jest odpowiednio wytrzymała. Nie była zbyt duża, ale chyba nic jej nie groziło. Nie miała jednak szansy ucieczki. Oparła głowę o ścianę i dopiero teraz odważyła się zamknąć oczy. A więc tak wygląda koniec. Nagle i brutalnie. Szybko przebiegła w myślach ostatnie wydarzenia, szukając jakiejś drogi, rozwiązania, ratunku, gdy zza pęku traw rosnących dwa i pół metra wyżej, za którymi znikł mężczyzna z pistoletem, wychylił się zupełnie kto inny. Wika skamieniała.

– Emilia... Jak to możliwe?...

Ultra bez słowa wyjęła pistolet i odbezpieczyła go. Kilka metrów za nią Przystojniak spojrzał z niepokojem na Krentza, ale ten powstrzymał go krótkim ruchem ręki.

Wika otarła szybko kolejne łzy. Patrzyła szeroko otwartymi oczami na agentkę. Wreszcie nabrała głęboko powietrza, aby go za chwilę powoli wypuścić.

– To jest... ta twoja nowa praca... – powiedziała wolno.

– Tak, Wika – odparła chłodno.

– Wszystko już wiesz?

– Dużo już wiem.

Wika spuściła głowę, zrezygnowana.

– Popatrz, jaka piękna katastrofa – wydusiła z siebie smutny uśmiech.

– Mnie też kiedyś chciałaś zabić? – spytała wyjątkowo spokojnie Ultra.

– Tobie już dawno chciałam wszystko powiedzieć. – Wika ponownie nabrała głęboko powietrza. – Odkładałam to dzień po dniu.

– Przecież nawet jeżeli nie byłabym tym, kim jestem, od razu bym cię wydała.

Wika roześmiała się, tym razem głośno.

– Nic nie rozumiesz, Rundi, prawda?

– Przestań!!! – wrzasnęła nagle agentka.

– Nie krzycz w górach – powiedziała spokojnie Wika. – Nie krzycz... – zawahała się chwilę. – Uwierzysz, że tam, nad jeziorem przy Samotni, wierzyłam i wiedziałam, że przestanę? Ze już mogę? Ze już nie będę pytać, podszywać się, szukać?

– Przestań i zamknij się! Po prostu się zamknij... – Ultra zacisnęła mocno usta, aby się nie załamał jej głos.

Przez dłuższy czas patrzyły na siebie, ciężko oddychając.

– Zastanawiałaś się kiedyś, w jaki sposób funkcjonujemy w przyrodzie? – spytała po chwili Wika. – Jak tragicznie różnimy się od zwierząt, roślin, wszystkiego, co żyje? Jak tu nie pasujemy? Jak to, co nas otacza, musi nas nienawidzić?

Ultra spojrzała w górę, na niebo, nie odpowiadając. Wika przesunęła się delikatnie, aby lepiej ułożyć nogę. Sprawiała wrażenie już znacznie spokojniejszej. Wciąż patrzyła na agentkę i mówiła dalej:

– DNA mały różni się od naszego mniej więcej w trzech procentach, ale te trzy procent stworzyło Kopernika, Chopina, Einsteina...

– I ciebie... – dopowiedziała cicho, ale potwornie chłodno Ultra.

– Tak... mnie.

– Dlaczego nie zaprzeczasz?! Nie mówisz, że to jakaś pomyłka? Że jest jakieś wytłumaczenie?! Dlaczego się nie bronisz?

– Właśnie to robię, Rundi. Bronię się, choć nie chcesz rozumieć tego, co mówię.

– Jest już bardzo, bardzo późno, Wika. Nie chcę już cię rozumieć.

Wika kiwnęła głową, jakby godziła się z tym, co usłyszała.

– Co będzie, jeśli skoczę? – spytała nagle znacznie śmielej.

– Umrzesz.

– Powstrzymasz mnie?

– Nie sądzę. Może nawet ci wlepię dodatkową kulkę na drogę. – Ultra wymierzyła pistolet w jej głowę.

– Za Kamila?

– Za mnie, pieprzona suko.

Wika znowu spuściła głowę, nie chcąc patrzeć na broń. Powoli stawała się dziwnie spokojna.

– Kamil... powiedział ci?

– Kamil nie żyje.

– Nie żyje... – pokiwała głową, jakby nie była specjalnie zaskoczona.

– Skacz tam albo łapy do góry i idziesz z nami. Decyduj się! – Ultra powiedziała to niemal szeptem, ale wciąż nie zdejmowała palca ze spustu.

– Skacz tam albo łapy do góry... – powtórzyła jak echo Wika. – Nie sądzisz, że takiej alternatywie należałoby poświęcić trochę czasu?

Spuściła głowę i wybuchła nagłym płaczem. Przyłgnęła do skały, jakby chciała ułożyć się do snu. Wsunęła ręce pod głowę i patrzyła tępo na drzewa po drugiej stronie przepaści. Wiatr osłabł i cisza stała się nie do zniesienia.

Ultra nie opuściła pistoletu nawet na sekundę.

ROZDZIAŁ 11

Ogród Saski pokryty śniegiem zawsze traci na swojej typowo letniej urodzie, ale tamtejsze kaczki chyba nie zgadzają się z tym poglądem. Rażno spacerują po zamrzniętym stawie, nie zważając na większość koleżanek odlatujących niepatriotycznie do ciepłych krajów. Zbierają, co tylko się da, aby nie zgłodnieć, i uważnie obserwują ludzi, szczególnie tych, którzy wyglądają na najbardziej skłonnych do dzielenia się swoim jedzeniem. Jeśli chodzi o ludzi, podobno jest wiele osób, które lubią zimę, ale mimo wszystko należą one do mniejszości. Do tej mniejszości nie należał z pewnością pułkownik Piotr Krentz, który siedział teraz na ławce blisko stawu. Obok Tadeusz Malinowski odrywał kawałki bułki i ochoczo rzucał je pokracznym ptakom, najwyraźniej dobrze się przy tym bawiąc.

– Nie masz kawałka buły dla nich? – spytał Krentza, nie odwracając się od kaczek.

Pułkownik sprawiał wrażenie zamyślnego.

– Nie lubię karmić kaczek. Mam później mdłości w restauracji chińskiej.

Malinowski zachichotał, rzucając kolejny kawałek.

– Jak radzi sobie moja mała u ciebie? – spytał nadal pogodnie, ale już poważniej.

– Ultra?

– Tak.

– Jest za granicą. Wróci za parę tygodni.

– Gdzie?

– Nie mogę ci powiedzieć. Radzi sobie. Zmieniła się. Chyba nie poznałbyś jej dzisiaj.

Malinowski wygodnie rozsiadł się na ławce.

– Wszyscy się zmieniliśmy. Taka praca.

– Ona chyba miała jednak za mocne chrzciny. Nie sądzisz?

– Nie wiem. Może.

– Może?! Jednej doby straciła dwójkę najbliższych sobie ludzi. Czego ty jeszcze chcesz?

– Fakt. Chyba tym samym doceniła ironię historii.

– Daj spokój, Tadiusz. My też zgrywamy na co dzień twardzieli, ale jak jest, sam wiesz.

Malinowski uśmiechnął się, przytakując głową.

– A właśnie, dawno nie rozmawialiśmy na ten temat, coś wiadomo już z tą „Krwawą Mary”?

– Nic nowego. Nadal jest u „czubków”. I chyba nie wyjdzie z zakładu do końca życia, ale proces jeszcze trwa.

– Wiem, sporo w gazetach było o tych dwóch gówniarzach, których wystawiliście pismakom.

– To równi goście – poprawił go Krentz. – Ten psycholog miał w końcu rację. Ten jego kumpel – policjant, też. Dopięli swego.

– Co teraz robią?

– Swoją robotę. Gliniarz się rozwiódł.

– Jak to gliniarz! – Malinowski znów zachichotał. – Widziałeś jakiś film amerykański o gliniarzu, który nie miałby kłopotów z żoną?

Teraz roześmiał się nawet pułkownik.

– Dobra dziewczyna ta Ultra – powiedział Malinowski, poważniejąc na chwilę. – Za naszych młodych czasów takich nie robili. Nie daj jej zginąć.

Krentz przytaknął głową, ale nic nie odpowiedział. Poprawił szalik i postanowił bezmyślnie poprzyglądać się chodzącym po parku ludziom. Zrezygnował z ostatniego dzisiejszego spotkania, które miał za godzinę. Czuł się już bardzo zmęczony.

Lekarka była wyraźnie niezadowolona. Przyjrzała się jeszcze raz uważnie agentce, kręcąc z dezaprobatą głową.

– Ona nie powinna... Nawet z kimś takim jak pani.

– Dam sobie radę, proszę nas zostawić na kilka minut – odparła spokojnym, zdecydowanym tonem.

– Nie wiem, czy będzie chciała rozmawiać, jest na silnych lekach.

– Wiem. Proszę nas zostawić – powtórzyła z naciskiem.

Ultra, nie zważając na groźne pomrukiwania lekarki, weszła do białego jak śnieg pomieszczenia i zamknęła za sobą drzwi. Na krześle tyłem do całego pokoju siedziała sztywno dziewczyna, wpatrzona w okno. Agentka podsunęła sobie krzesło, aby usiąść przy niej. Pacjentka nie przypominała tej Wiki, którą знаła dawno temu. Straszna, biała koszula, rozczochrane, najwyraźniej brudne włosy, zaniedbana twarz.

– To ja, Emilia – powiedziała cicho Ultra.

Wika wolno odwróciła się w jej kierunku.

– To ty... – odrzekła zachrypionym szeptem. – Nie byłaś tu... chyba co najmniej rok... – mówiła z wysiłkiem i bardzo wolno.

– Dużo pracowałam. Co u ciebie?

– Patrzę za okno. – Narkotyczne spojrzenie Wiki spoczęło na rękach Ultry. – Zawsze miałaś piękne dłonie...

– Gdzie mi tam do ciebie.

– Haaa... – wyrwało się z ust pacjentki, lecz nawet jeśli próbowała się uśmiechnąć, nic z

tego nie wyszło. Chrząknęła, ale jej głos nadal był zachrypnięty. – Dbasz o mieszkanie? – spytała.

– Nie mieszkam już tam. Pół roku temu udało mi się kupić swoje. Niewielkie, ale wygodne.

– Ach tak... – odetchnęła ciężko. – To dobrze.

– Strasznie tu białło – próbowała się uśmiechnąć Ultra.

– Nie, to tylko... takie wrażenie. Białły to w odpowiednich... proporcjach... wszystkie kolory naraz. Dostrzegam tylko część z nich...

– Dbają tu o ciebie?

– Oczywiście, wszystko jest dobrze – pokiwała wolno głową.

– Spotkałam niedawno grupę bardzo ciekawych ludzi – tym razem agentce udało się rzeczywiście uśmiechnąć. – Nazywamy ich z kolegami właśnie „Biali”. Są trochę dziwni, ale naprawdę interesujący. Nie jedzą mięsa, wierzą w reinkarnację jak Hindusi, medytują...

– Roślinożercy...

– Tak, z pewnością nie drapieżnicy – Ultra wciąż była uśmiechnięta.

– Opiekujesz się nimi?

– Nie muszę. Dają sobie nieźle radę. A nawet... trochę mi pomagają czasem. Wiesz, fajnie się z nimi gada.

– Dobre czasy – szepnęła Wika. – Roślinożercy opiekują się drapieżnikami...

– Pisziesz jeszcze pamiętniki?

Pacjentka wolno uniosła wzrok, aby spojrzeć na twarz Ultry.

– Jakie pamiętniki?

– Muszę już iść. – Agentka wstała i podeszła do wyjścia.

– Przyjdiesz jeszcze? – spytała Wika.

– Nie wiem. Może kiedyś...

Zapukała w drzwi, aby jej otworzono. Pacjentka odwróciła się znów do okna. Za szybą zapadał zmierzch. Miasto nigdy nie kładło się spać, ale w sąsiedztwie potężnych gmachów szpitala, kilkadziesiąt metrów dalej, gdzie budowa nowego biurowca wypełniała hałasem większość dnia, zachód słońca oznaczał odpoczynek...

PODZIĘKOWANIA

Dziękuję Elżbiecie Ligas, Radosławowi Ligasowi i doktorowi Andrzejowi Kruszewiczowi za ich wiedzę, która pomogła w napisaniu tej książki.

Szczególnie dziękuję jednak Emilii Czechowicz za jej wiersze oraz wszystko to, co wniosła do SERWALA, a bez czego dotarcie do mrocznej duszy Wiki byłoby niemożliwe.